

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



Jak się mebluje
**Polski rząd
na uchodźstwie**
► 7



**WYSOKIE
OBCASY**
Gisèle,
kobiety ci
dziękują

FOT. REUTERS/ BERNADETT SZABO



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



MANUELA GRETKOWSKA

Czas zmienić przysięgę małżeńską. ► 20

FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 3449198



FOT. JACEK POREMBA

**Omenaa
Mensah**
Ratuje małych
niewolników ► 10

**Przychodzi
mafioso do lekarza**
25-lecie rodziny
Soprano ► 34

**Sponsorzy
prezydentów**
Elon Musk nie jest
pierwszy ► 48

**Anonimowi
Alkoholicy**
Spożytkowane
nieszczęście ► 52

Agnieszka
Kublik

Kilka pytań do Karola Nawrockiego

Tak wiem, to już stara sprawa, ale bardzo rozwojowa. Przypominam. Karol Nawrocki, kandydat PiS na prezydenta zapytany na konferencji prasowej, co sądzi o węgierskim azylu dla Marcina Romanowskiego, odparł: „Nie uważam nic. Nie jest to sprawa, która budzi moje zainteresowanie”.

Nie wierzę mu.

To niemożliwe, by wykształcony człowiek, urzędnik państwowy ubiegający się o najwyższy urząd w państwie nie miał zdania w tak ważnej sprawie. By go polityka międzynarodowa nie interesowała. By nie zajmowało go przestrzeganie prawa w Polsce. No, po prostu niemożliwe.

Więc Nawrocki skłamał.

Co znaczy, że pogląd ma, ale woli uchodzić za nieorientowanego niż to zdanie ujawnić. Hm...

Bo albo myśli tak, jak brzmi oficjalny przekaz PiS, że Romanowski jest ofiarą politycznych prześladowań reżimu Tuska, że „każdy, kto się znajduje w rękach tych ludzi, jest skrajnie zagrożony, włącznie z torturami i utratą życia” (to cytata Jarosława Kaczyńskiego), że to „bolszewickie metody” i że są granice „zadawania elitarnego lumpenproletariatu” (to Beata Kempa z Pałacu Prezydenckiego).

Albo jak nieoficjalny, że to, że zwiął, im nie pomaga.

Cokolwiek Nawrocki powie, zawsze się komuś narazi.

A ponieważ nie ma własnego zaplecza, pieniędzy, sztabu wyborczego, żadnych wiernych wyznawców, musi kłamać, by nikogo nie zrazić.

To zjawisko będzie się nasilać. Nawrocki będzie musiał coraz częściej rzucać „nie uważam nic”. I tym samym potwierdzać, jak nic od niego nie zależy. No chyba, że bieganie, ale biegacza roku to my wszak nie wybieramy.

Co Nawrocki odpowie na pytania o stosunek Orbana do Putina? Czy nazwałby Putina, jak Orban, „uczciwym partnerem”?

A w sprawie katastrofy smoleńskiej? Był ruski zamach na prezydenta Lecha Kaczyńskiego? Był wybuch? Czy międzynarodowi eksperci potwierdzili obecność materiałów wybuchowych na pokładzie tupolewa? Podkomisja smoleńska to udowodniła?

Czy PKW to „hydra postkomunistyczna, która cały czas broni i podkarmia pozostałości komunistycznych łże-elit w Polsce dzisiaj dała po raz kolejny głos” (to słowa Andrzeja Dudy).

Czy podpisał by się pod tezą, że „ten klimatyzm jest już czymś w rodzaju religii. A tego rodzaju rewolucyjne religie mają tendencje do tego, by się radykalizować”, a „wpływ człowieka na klimat jest zupełnie minimalny, prawie żaden” (Kaczyński)?

Czy – jak Kaczyński chce „dążyć do tego, by nawet przypadki ciąży bardzo trudnych, kiedy dziecko jest skazane na śmierć, mocno zdeformowane, kończyły się jednak porodem, by to dziecko mogło być ochrzczone, pochowane, miało imię”?

Takich pytań jest bez liku... Ile razy Nawrocki będzie musiał rzucać „nie uważam nic”? ●

Andrzej rysuje



Życzenia na nowy rok Kohabitacja we mgle



Ptaki siedzą sobie na jeleniu w zamglonym londyńskim Richmond Park. Oby nam się też tak dobrze kohabitowało międzyludzko w nowym roku. 29 grudnia 2024 r.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Liczba tygodnia

74

PROC.
Polaków, najwięcej, ufa wojsku. Na drugim miejscu znalazła się WOŚP, na trzecim Google. Najmniej osób (12 proc) ufa politykom. (Wg. raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego)

Powrót do przeszłości Jak szybko biegła Lucy?

Lucy wciąż frapuje naukowców. Jest najsłynniejszą przedstawicielką Australopithecus afarensis – wczesnego hominida, który poruszał się już w postawie wyprostowanej, choć nieco przygarbionej. Nie stronił od drzew, ale wspinanie się na nie nie szło już mu tak dobrze, jak niewyprostowanym antenatom. A najlepszym dowodem wydaje się sama Lucy, którą najprawdopodobniej zabił upadek z wysokości, przypuszczalnie właśnie z drzewa.

Pochodzący sprzed 3,2 mln lat szkielet Lucy znaleziono w 1974 roku w Etiopii w regionie Afar w okolicach osady Hadar. Oficjalna nazwa znaleziska to AL 288-1, a imię „Lucy” wzięło się stąd, że w obozie odkrywców szlagerem był utwór „Lucy in the Sky with Diamonds” Beatlesów.

W ostatnim numerze „Current Biology” (odkrycie opisał też magazyn „Science”)



naukowcy odpowiedzieli na pytanie, jak szybko biegła. Stworzyli cyfrowy model szkieletowo-mięśniowy Lucy, by określić maksymalną prędkość jej biegu i policzyć koszty energetyczne związane z tym sposobem poruszania się.

Wydajność ruchową cyfrowego modelu australopiteka porównano z wydajnością cyfrowego modelu Homo sapiens. Co się okazało? Lucy truchtała z maksymalną prędkością 18 km na godzinę. Dla porównania Usain Bolt uznawany za najszybszego sprintera w historii osiąga 43 km

na godzinę. Była wolniejsza nawet od przeciętnego rekreacyjnego biegacza, który jest w stanie rozpędzić się do 22 km na godzinę. Ale choć poruszała się wolniej, zużywała od 1,7 do 2,9 razy więcej energii niż współcześni ludzie.

Z czego to wynika? Lucy i inne australopiteki miały duże górne partie ciała, długie ręce, ale krótkie nogi. A na dodatek inaczej ukształtowane ścięgno Achillesa i mięsień trójgłowy łydki. Ludzie współcześni mają dłuższe ścięgno Achillesa, co jest kluczowe dla szybkiego biegu. ●
Robert Jurszo

DROGIE CZYTELNICZKI I DRODZY CZYTELNICY,
ze względu na rosnące koszty produkcji i dystrybucji jesteśmy zmuszeni podnieść cenę niektórych wydań papierowych „Gazety Wyborczej”. Od 4 stycznia wydania we wtorek, środę i czwartek będą kosztować 6,99 zł (więcej o 1 zł), a sobotnie wydanie magazynowe 11,99 (więcej o 2 zł). Cena gazety w poniedziałek i piątek nie zmieni się. Liczymy na Wasze zrozumienie.
Wydawca „Gazety Wyborczej”

Robinson Crusoe:
biblia wszystkich
przygód

Sally Rooney:
premiera nowej
powieści

DWUMIESIĘC
GRUDZIEŃ

W SPRZEDAŻY

wyborcza

KSIĄŻKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

**Agnieszka
Osiecka:**
ZAWSZE O KROK
PRZED NAMI

**10 KSIĄŻEK
ROKU 2024**

najlepsze kryminały,
komiksy, debiuty,
okładki, dla dzieci

- Sapkowski dla *Książek*:
Proszę nie przypinać mi
mieczyków Chrobrego



Sponsor numeru:

**Philip
Roth**



**Mnóstwo
starannie
dobranych
prezentów**



Agnieszka Osiecka:
Była zawsze o krok przed nami



Andrzej Sapkowski
o powrocie do pisania o Wiedźminie



**10 najlepszych kryminałów i thrillerów
minionego roku**

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

Z KRZYSZTOFEM GAWKOWSKIM
ROZMAWIA ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI: Rosyjskie służby będą chciały wpłynąć na wynik wyborów prezydenckich w Polsce?

KRZYSZTOF GAWKOWSKI: Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. W tym roku została wydzielona specjalna grupa w rosyjskim wywiadzie wojskowym, która ma wywoływać incydenty w cyberprzestrzeni w krajach Unii Europejskiej. Mówiliśmy o tym na forum międzynarodowym przed wyborami do Parlamentu Europejskiego.

W maju 2025 roku będzie podobnie: rosyjskie służby będą siać panikę i grać na emocjach. Funkcjonariusze GRU spróbują wpływać na naszą scenę polityczną poprzez serwisy społecznościowe, gdzie będą publikować różnego rodzaju dezinformacyjne treści. Pojawią się próby destabilizacji kampanii wyborczej, być może Rosjanie będą chcieli wprost wpłynąć na proces wyborczy.

Nazwę tę sytuację po imieniu: Polska nie prowadzi z Rosją zimnej wojny. My jesteśmy w stanie gorącej cyberwojny z państwem Władimira Putina.

Co jeszcze się dzieje oprócz wpływu na kampanię wyborczą?

– Ze względu na toczące się postępowania mogą jedynie powiedzieć ogólnie o incydentach, które dotyczą infrastruktury krytycznej, czy o sprawach podejmowanych przez Ministerstwo Obrony Narodowej.

Czy to na pewno Rosja?

– Tak, ponieważ od pewnego czasu Rosjanie już nie ukrywają nawet flagi, spod której atakują.

Możemy się spodziewać powtórkę z Rumunii, gdzie w ubiegłym miesiącu nieznany, marginalny polityk wygrał pierwszą turę wyborów prezydenckich za pomocą pieniędzy ze Wschodu?

– Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że powielanie fałszywych treści stało się pewnym standardem kampanii wyborczych. Sztandarowym przykładem są Stany Zjednoczone, co zostało potwierdzone w toku śledztwa prowadzonego przez Kongres. Już osiem lat temu Rosjanie – z powodzeniem – ingerowali w proces wyborczy w krajach demokracji liberalnej.

Dlatego najświeższy przypadek z Rumunii nie powinien nikogo zaskakiwać. Nowością jest to, że dzisiaj musimy nauczyć się nazywać sprawę po imieniu: naprawdę mamy do czynienia z nielegalną ingerencją w procesy wyborcze w demokratycznych państwach. I jeśli pyta pan, czy rozważamy podobny scenariusz w Polsce, odpowiadam bez wahania: polskie służby gromadzą już dzisiaj stosowną wiedzę.

Ale czy jesteśmy gotowi na dokładnie to samo, co stało się w Bukareszcie, czyli na finansowanie rolek na TikToku, które wprost namawiały na głosowanie na prorosyjskiego kandydata?

– Jesteśmy gotowi na każdy scenariusz.

Nawet na przejmowanie systemów do wysyłania SMS-ów i ekranów reklamowych w salonikach prasowych w centrach handlowych? Do takiej sytuacji doszło w październiku 2023 roku kilkadziesiąt godzin przed wyborami parlamentarnymi. To też ciekawy przypadek, bo Rosjanie wtedy nikogo nie faworyzowali, tylko chcieli zasiać zamęt.

– Obserwujemy każde wydarzenie, które może manipulować procesem wyborczym. Wyjaśnię pokrótce, z czym musi się zmierzyć państwo przed każdymi wyborami.

Służby muszą zabezpieczyć system wyborczy, czyli ten, który zapisuje głosy i przekazuje je z okręgowych komisji wyborczych do Krajowego Biura Wyborczego. Równolegle musimy przeciwdziałać dezinformacji, która będzie pojawiała się w serwisach społecznościowych, a więc wszelkim przekłamanym treściom. Dalej: pod naszą lupą znajdują się próby nielegalnego finansowania kampanii w postaci reklam w social mediach, na publicznych ekranach czy w telewizjach.

Przeciwczyliśmy to wszystko dokładnie przed wyborami do Parlamentu Europejskiego w czerwcu, kiedy odnotowaliśmy rekordową liczbę incydentów, i tylko dzięki współpracy służb oraz pracy Połączonego Centrum Operacji Cyberbezpieczeństwa udało się w prawidłowy sposób przeprowadzić głosowanie.

Jakie to były incydenty?

– Szerzenie kłamstwa, sianie dezinformacji, rozpowszechnianie zmanipulowanych treści. Portale społecznościowe były informowane o konieczności szybkiego usuwania takich materiałów. Zgłaszanie wszel-

Będą ingerować w wybory

JUŻ TOCZYMY WOJNĘ ROSJĄ

Wie pan, jak obce służby włamały się na portal PAP i opublikowały fałszywą depezę o obowiązkowym poborze do wojska? Otóż menadżer wysokiego szczebla dał swój telefon służbowy dziecku, a ono zainstalowało na nim gierkę



FOT. DAVID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

kiego rodzaju nieprawdziwych treści – co muszę uczciwie przyznać – działo się w ponadpartyjnej zgodzie i we współpracy wszystkich najważniejszych sił politycznych w kraju.

A czy doszło do czegoś szczególnie niepokojącego?
– Zazwyczaj takie incydenty są objęte klauzulą tajności. Wspomnę jednak o próbie włamań Rosjan na skrzynki e-mailowe czynnych polityków. Była też próba wywołania paniki społecznej kilka dni przed wyborami do Parlamentu Europejskiego związana z podaniem fałszywego komunikatu przez Polską Agencję Prasową.

Wspomniał pan o portalach społecznościowych, które były proszone o usuwanie fake newsów. Jak układała się ta współpraca?

– Raz lepiej, raz gorzej. Niektóre portale dosyć szybko reagowały na nasze zgłoszenia i usuwały niebezpieczne informacje w czasie rzeczywistym, inne działały z pewnym opóźnieniem.

Przed majowymi wyborami prezydenckimi jako Ministerstwo Cyfryzacji pracujemy wspólnie z Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego nad jeszcze lepszą pracą działu przeciwdziałania dezinformacji, który stworzyliśmy w NASK. Musimy błyskawicznie reagować na wirale, czyli szybko rozprzestrzeniające się treści w internecie, przekazywane w mgnieniu oka przez miliony ludzi, które mogą zakłócić proces wyborczy. W maju widzieliśmy wyraźnie luki czasowe, kiedy któraś z platform nie zareagowała szybko na fake newsy zaczynające hulać po sieci. Z każdą godziną rozprzestrzenianie się tych konkretnych treści zwiększało ryzyko chaosu.

Mamy wypracowane szybkie ścieżki kontaktu z platformami społecznościowymi. Na bieżąco rozmawiamy z nimi także o wadze tego procesu. Liczę na to, że będą miały poczucie odpowiedzialności za zło, jakie wyrządza dezinformacja. Mamy jednak swój własny portal, czyli Bezpiecznewybory.pl, gdzie każdy obywatel może zgłaszać niepokojące i fałszywe treści, jakie znajdzie w internecie. Liczą się naprawdę minuty i godziny, bo w tym czasie treści mogą dotrzeć do setek tysięcy ludzi.

Rozumiem, ale to ludzie zatrudnieni przez Facebooka czy TikToka będą musieli ostatecznie podjąć decyzję o usunięciu danych wpisów. Czy ludzie Elona Muska chętnie współpracowali z polskim rządem? W końcu właściciel X (Twittera) nie jest sympatykiem liberalnych demokracji.

– W trakcie ostatnich wyborów ministerstwo najbliżiej współpracowało z Google’em i YouTube’em, a także z Metą, do której należą m.in. Facebook, Instagram i WhatsApp. Oczywiście relacje pomiędzy instytucjami państwowymi a X są nawiązane. Ale nie były to relacje, które pozwalały na szybką reakcję. Wszystkie portale społecznościowe i firmy, które za nimi stoją, powinny mieć takie same prawa i obowiązki, co jest szczególnie istotne w trakcie wyborów powszechnych. Dlatego jeszcze w 2025 roku przyjmieni nowe prawo, które ułatwi nam współpracę z platformami społecznościowymi. Sejm przyjmie krajową implementację unijnego Digital Services Act, który w sposób systemowy pozwoli usprawnić zwalczanie dezinformacji.

Wspomniał pan o kampanii amerykańskiej z 2016 roku, kiedy wszyscy z przerażaniem obserwowaliśmy wpływ służb rosyjskich na głosowanie. Było też referendum brytytów w Wielkiej Brytanii, również „obsługiwane” przez Rosjan. Pocięszam się, że od tamtego czasu sporo się nauczyliśmy. Wiemy już, jak sobie mniej więcej radzić z działaniami służb Putina. A przede wszystkim uwie-rzyliśmy w to, że to naprawdę się dzieje – sam pamiętam, jak wiele osób w 2016 r. traktowało doniesienia o zaangażowaniu Rosjan przeciwko Demokratom z podejrzliwością, jak teorię spiskową nawiedzonych antytrumpistów.
– Uczymy się za wolno. W 2018 roku napisałem książkę „Cyberkolonializm”, gdzie opisałem, w jaki sposób kampanie wyborcze mogą być manipulowane przy wykorzystaniu algorytmów w serwisach społecznościowych. Przestrzegałem, że metody wykorzystane w USA i Wielkiej Brytanii mogą zostać wykorzystane w innych krajach. Recenzenci i eksperci moje ostrzeżenia wtedy wyśmiewali i bagatelizowali. Mówili, że to jednostkowe przypadki. Niestety, to ja miałem rację.

Dotykamy tutaj kilku istotnych kwestii. Chodzi przede wszystkim o poszerzenie kompetencji cyfrowych obywateli. Mówię „poszerzenie”, bo przez lata „kompetencje cyfrowe” potocznie rozumieliśmy jako umiejętność obsługi komputera czy smartfona, zna-

jomość podstawowych programów, poruszanie się po internecie. To większość z nas już potrafi, może z wyjątkiem osób bardzo wiekowych i niewykształconych jednocześnie. Ale zagrożenia w sieci wciąż wielu z nas wydają się abstrakcyjne albo kojarzą się z hakerem czy włamywaczem jak w filmie.

Dlatego teraz obywatele muszą nabyć świadomość, że nowa technologia może być bardzo przydatna w życiu, ale jeżeli nie będzie odpowiednio zabezpieczona, to może nam zaszkodzić. A my jako państwo musimy wytłumaczyć społeczeństwu, czym są algorytmy, na czym polega dezinformacja i w jaki sposób można na własną rękę rozpoznawać nieprawdziwe treści. Cały czas musimy edukować ludzi, mówić im, dlaczego nie warto wchodzić w linki, które dostajemy od obcych ludzi, jak rozpoznawać fałszywe maile, jak nie pozwolić się okraść. Pokazujemy – w różnych kampaniach społecznych – dlaczego nie warto ufać celebrytom, którzy reklamują piramidy finansowe.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że mówimy o osobach o słabych kompetencjach cyfrowych, o kimś, kto nie mieszka w metropolii. Wspomniałem już o ataku hakerskim na Polską Agencję Prasową. Pamięta pan ten czas?

Pamiętam.

– I wie pan, w jaki sposób obce służby włamały się na portal PAP i opublikowały fałszywą depeszę o obo-

W tym roku została wydzielona specjalna grupa w rosyjskim wywiadzie wojskowym, która ma wywoływać incydenty w cyberprzestrzeni w krajach Unii Europejskiej

wiązkowym poborze do wojska? Otóż menedżer wysokiego szczebla dał swój telefon służbowy dziecku, a ono zainstalowało na nim gierkę, przez którą hakerzy wykradli hasło do systemów PAP.

Dlatego chcemy wyjaśnić Polakom najprostsze zasady bezpieczeństwa korzystania z telefonu. Jeśli pracuje pan w miejskich wodociągach i na telefonie służbowym ma pan aplikację, dzięki której może pan wyłączyć wodę w połowie miasteczka, to lepiej, aby nikt oprócz pana z niego nie korzystał.

Choć nieraz trudno odróżnić fałszywe wiadomości od prawdziwych. Jeśli dostałbym wiadomość z adresu roman.imielski@wyborcza.eu, to kliknąłbym w załączonego tam linka. Bo przecież to sam szef we własnej osobie to mnie pisze. Nasze adresy nie kończą się domeną „.eu”, ja to wiem, ale w pośpiechu...

– Każdy musi się uczyć całe życie. Uczyć nie tylko technologii, ale przede wszystkim czujności, nieufności w interakcji z nią.

Opowiem panu o jednym naszym sukcesie. Nie wiem, czy pan pamięta, że w zeszłym roku ludzie zaczęli masowo dostawać SMS-y z fałszywymi danymi do przelewów czy informacje o zalegającej opłacie za paczkę. Ewidentne próby wyłudzenia pieniędzy. Dzięki wprowadzeniu rozwiązań prawnych zwalczaliśmy de facto przestępstwa w komunikacji elektronicznej. NASK przygotował zabezpieczenia, opracował wzorce oszukańczych treści SMS-ów, które przesłano do operatorów sieci komórkowych, a ci je od razu wprowadzali. Od ręki! I w te święta prawie nikt w Polsce nie dostał SMS-a, w którym ktoś próbował wyłudzić pieniądze w ten sposób.

Skoro mi pan nie przerywa, to opowiem o czymś jeszcze. Od kilku miesięcy prowadzimy kampanię społeczną o możliwości zastrzeżenia numeru PESEL. Wydawałoby się, że takie kampanie trafiają w próżnię, że to sztuka dla sztuki, by taka czy inna instytu-

cja mogła odhaczyć pozycję „informowanie i edukacja” w rocznym planie. A wie pan, że do tej pory ponad 5 mln Polaków skorzystało z tej usługi? To oznacza, że te 5 mln Polaków jest obecnie chronione przed wyłudzeniem kredytu.

No dobrze, ale w jaki sposób państwo chce dotrzeć do 57-letniej kobiety mieszkającej na wsi, która ma w telefonie wszystkie znane aplikacje i jeszcze raz na jakiś czas coś sprzedaje w sieci. Ale nie czyta gazet, pobieżnie przegląda wiadomości, a seriale już od dawna ogląda na Netfliksie. Do niej żadna kampania nie dotrze.

– Widzę dwie ścieżki – edukacyjną i regulacyjną. Od początku nowego roku będziemy realizowali program Szkoła Międzypokoleniowa. W 400 szkołach w Polsce junior nauczy seniora obsługi telefonów i tego, co się może tam wydarzyć. A od 2026 r. we wszystkich gminach ruszą Kluby Rozwoju Cyfrowego, w ramach których na Uniwersytety Trzeciego Wieku, spotkania w bibliotekach albo klubach seniora będą przychodziły osoby, które pokażą, w jaki sposób można radzić sobie z zagrożeniami w sieci.

Tego nie da się załatwić zdalnie. Kompetencje cyfrowe możemy przekazać, tylko będąc blisko drugiej osoby, kiedy możemy coś spokojnie wytłumaczyć w trakcie kilku spotkań. A przecież, panie redaktorze, mamy dekady zapóźnienia technologicznego, więc musimy zacząć działać tu i teraz.

A w czym konkretnie jesteśmy zapóźnieni? Przecież w porównaniu z krajami Zachodu całą masę rzeczy – od wyrobienia dowodu aż po płatność przez aplikację mobilną – możemy sami załatwić na własnym telefonie.

– Cyfryzacja usług rozwija się, w tym tych publicznych. Obywatele mają coraz szerszą gamę rozwiązań, które załatwią łatwiej i szybciej dzięki technologii. Ale to jedna strona medalu. Drugą jest właśnie wyrównywanie poziomu kompetencji cyfrowych, podnoszenie tego poziomu, szczególnie kompetencji podstawowych. Jesteśmy dziś poniżej unijnej średniej, dlatego w projektowanej strategii cyfryzacji Polski kładziemy bardzo duży nacisk na intensyfikację działań w tym zakresie.

A ta druga ścieżka?

– Jest związana ze stanowionym prawem i z ochroną konsumenta.

Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości zostanie w tym roku znacząco dofinansowane, pracujący tam eksperci będą świetnie wynagradzani. Muszą być, ponieważ w ciągu jednego roku liczba rozpatrywanych spraw związanych z wyłudzeniem pieniędzy w sieci wzrosła o 100 proc.

Właśnie rozpoczęliśmy realizację jednego z tego typu projektów – na zwiększenie profesjonalizacji policji w zwalczaniu cyberprzestępstw przeznaczymy blisko 40 mln zł. Te pieniądze pójdą przede wszystkim na szkolenia i nowy sprzęt.

Innymi słowy, państwo, które powinno przeciwdziałać tym przestępstwom, na razie nie działa?

– Działa. Ten przykład mówi o czymś innym: cyberprzestrzeń stała się atrakcyjnym miejscem dla przestępców. Dlatego państwo zwiększa fundusze na cyberbezpieczeństwo.

Czyli jakie konkretnie umiejętności będzie miał taki zwykły człowiek mieszkający na wsi?

– Do 2035 roku obywatel będzie miał dostęp do wszystkich usług cyfrowych państwa poprzez aplikacje mobilne. Nie będzie korzystał z papieru w kontaktach z urzędami, więc będzie musiał mieć gwarancję, że wiadomość, którą otrzyma z ZUS-u czy ze skarbówki, jest autentyczna.

Państwo będzie więc musiało zagwarantować bezpieczeństwo przepływu informacji. Skoro w telefonie będziemy mieć wszystkie najważniejsze informacje o sobie, będą musiały być szczególnie zabezpieczone.

Brzmi pięknie, ale co zrobić z dziećmi, które nie potrafią już teraz odróżnić prawdziwej wiadomości od fake newsa, mimo że dzisiejsze nastolatki urodziły się niemal z telefonami w rękach?

– Mam trójkę dzieci: trzyletnią córkę, dziewięcioletniego syna i 15-letnią córkę. Najstarszą jest najłatwiej odciągnąć od telefonu, ale najmłodsza chce non stop dotykać ekranu, jego ciekawa, co ogląda tam jej starsze rodzeństwo. A mówię o tym dlatego, że obserwując, w jaki sposób posługują się telefonami moje dzieci, zdaję sobie sprawę, jak ważna jest edukacja cyfrowa w szkołach. Nie chodzi o typowe zajęcia z informatyki, gdzie dzieci uczą się obsługi Excela, tylko o praktyczne warsztaty na te-

mat szans i niebezpieczeństw korzystania z sieci.

Skoro mówimy dzieciom, do czego służą prezerwatywy, to musimy zacząć uczyć je, jak bezpiecznie poruszać się po internecie. Oprócz uczenia dzieci matematyki i historii jako takiej uczymy, do czego jest przydatna matematyka i jak z historii czerpać patriotyzm albo wnioski na przyszłość, prawda? Na tej samej zasadzie na lekcjach cyfrowych...

...może to lepsza nazwa niż informatyka, zawężająca temat do programowania, a w naszych realiach szkolnych do nauki odtwórczej obsługi kilku programów... – ...musimy rozmawiać również o mechanizmach portali społecznościowych, działaniu algorytmów rekomendacji, możliwościach sztucznej inteligencji, a to wszystko w kontekście odpowiedzialności za siebie i naszych bliskich w sieci.

Dlatego z ministrami edukacji przygotowujemy program dotyczący cyfrowego ucznia. Nasz sposób funkcjonowania zmienia się, przechodzimy do świata cyfrowego i każdy od najmłodszych lat musi być przygotowywany do życia w tym nowym świecie, aby był bezpieczny i aby mógł odnosić z tego jak najwięcej korzyści.

Bo to nie tylko korzystanie ze stron pornograficznych, ale też serwisy społecznościowe, które powielają fake newsy. Czy taki kraj jak Polska może zmusić Facebooka czy TikToka do eliminowania dezinformacji?

– Tak. Już od tego roku Urząd Komunikacji Elektronicznej na mocy unijnych regulacji będzie sprawdzał, czy Big Techy weryfikują wszystkie informacje, które pojawiają się na portalach społecznościowych.

Tylko proszę nie zapominać, że dezinformacja zaczyna się od polityków, którzy próbują manipulować wyborcami. Można opracować idealną legislację, stworzyć idealne serwisy społecznościowe, a na koniec przyjdzie Prawo i Sprawiedliwość i stworzy z nich tubę propagandową, po czym wyeliminuje tradycyjne media i domknie system, do którego nie przedostanie się żadna krytyka władzy. Chodzi więc o kompetencje miękkie.

Jasne: wybudujemy tarczę cyfrową, nasze służby operują z najlepszymi specjalistami skuteczne zabezpieczenia, ale jeśli ludzie nie nauczą się weryfikować informacji, jeśli nie będą w stanie samodzielnie ochronić się przed złodziejami w sieci, to żadne prawo, żadna tarcza i żadnej polityk nie ochroni państwa przed zapaścią.

To może należy zamknąć Facebooka i Twittera?

– Skutki mogą być inne, niż się panu wydaje. Jeśli zablokujemy kogoś na Facebooku albo wyłączymy w Polsce ten czy inny konkretny portal, wówczas dany polityk lub środowisko polityczne zyska olbrzymie poparcie, karmiąc się fałszywą narracją o ograniczaniu wolności i zamachu na demokrację.

I nie wyłączy pan TikToka, nawet jeśli w kwietniu okaże się, że Rosja sponsoruje konta promujące jednego z prawicowych kandydatów na prezydenta kraju?

– Nie mam takich planów, ale uważam, że na służbowych telefonach nie należy instalować tej konkretnej aplikacji. Powinniśmy tak naprawdę uważać na wszystkie serwisy społecznościowe. Jeśli jednak służby będą obserwowały postępującą dezinformację, to żadne rozstrzygnięcie nie jest poza stołem.

Harari w najnowszej książce „Nexus. Krótka historia informacji” opowiada się za państwową kontrolą prac nad sztuczną inteligencją. Zgadza się pan z nim?

– Tak. Co więcej, Ministerstwo Cyfryzacji tworzy przepisy dotyczące sztucznej inteligencji, które wkomponują nas w europejski system. Zapisaliśmy w nich powołanie Komisji Rozwoju i Bezpieczeństwa Sztucznej Inteligencji. Uważam, że bez takiego ciał, które będzie szerzej widziało problemy,

nie będziemy w stanie w prosty sposób implementować nowych rozwiązań w ochronie zdrowia, transporcie, logistyce czy w zakładach pracy.

Czyli za 10 lat, w jaki konkretny sposób będziemy korzystać z AI? Zna pan zapewne te obietnice składane przez lewicowych intelektualistów i inżynierów, że w czasach w pełni zautomatyzowanej pracy państwo wprowadzi dochód gwarantowany. Niektórzy mówią nawet, że dzisiejsza praca w usługach się po prostu niedługo skończy. Czy wyobraża pan sobie, że Polska w 2034 roku wprowadzi tego typu rozwiązania?

– Dochód gwarantowany to temat na zupełnie inną dyskusję, która nie powinna być łączona z rozwojem tej czy innej technologii, a raczej szerszym myśleniem o rozwoju społeczeństwa i roli państwa. Na pewno przyjdzie czas na tego typu dyskusję.

Mamy natomiast świadomość, że technologiczna nowoczesność niesie liczne niebezpieczeństwa dla ludzi, dlatego wspomniany urząd musi powstać. Dostanie kategorię narodowego operatora sztucznej inteligencji i rozwoju świata technologicznego, będzie czuwał nad busolą etyczną wszelkich prac związanych z AI. To ludzie muszą mieć kontrolę nad algorytmami, a nie odwrotnie. I tego powinno przypilnować państwo.

Ale w jaki sposób państwo może ochronić nastolatki przed deep fake’ami albo przed wykorzystaniem zdjęć dziewczyn w filmach pornograficznych? Wszyscy wiedzą, że dzieci potrafią się pomysłowo mścić na kolegach z klasy...

– Już dziś mamy takie narzędzia. Każdy może łatwo zgłosić przez aplikację mObywatel treści pornograficzne z udziałem dzieci. Pracujemy nad wdrożeniem aktu o usługach cyfrowych, co pomoże instytucjom lepiej egzekwować usuwanie takich treści z sieci. Właśnie rozpoczęliśmy proces legislacyjny, który ma ograniczyć dostęp do pornografii czy innych szkodliwych treści dla osób nieletnich.

Państwo nie będzie cenzurować sieci, ale musi dać obywatelom narzędzia do skutecznej ochrony przed szkodliwymi treściami – i my to robimy.

Mówi pan, że jesteśmy cyfrowo opóźnieni, a jednocześnie to rząd PiS wprowadził usługę i aplikację mObywatel; o całe długości wyprzedzamy Niemcy, którzy nie mogą wysłać maila do urzędu, nie mówiąc o płaceniu Blikiem. Czy zatem wszystko, co zrobili poprzednicy, było złe?

– Tego nie powiedziałem. Cyfryzacja państwa jest sztafeta: poprzedni rząd powinien ją przekazać nam, a my – naszym następcom. I nie należy zakopywać wszystkiego, co opracowali na tym polu nasi poprzednicy.

Aplikacja mObywatel jest dobra, będę ją rozwijał. Chcemy, żeby przestała być tylko portfelem na dokumenty, ale stała się także centrum kontaktu obywatela z administracją. Tak aby w cyklu swojego życia i kolejnych pojawiających się potrzeb polski obywatel mógł w tej aplikacji załatwiać wszystkie ważne dla siebie sprawy. Dodamy do niej już niebawem Europejski Portfel Tożsamości Cyfrowej, który pozwoli na korzystanie z e-usług na terenie wszystkich krajów Unii. Z biegiem lat dodamy elektroniczny dzienniczek ucznia i cały szereg usług wspomagających proces edukacji.

Nasza aplikacja powinna stać się wzorem do naśladowania dla innych krajów na całym świecie. Już dzisiaj wszyscy nam jej zazdroszczą, co jest również zasługą naszych poprzedników.

I tu muszę wrócić do cyberbezpieczeństwa, o którym już tak dużo rozmawialiśmy, bo bez niego te wszystkie usługi będą bezwartościowe, gdyż wystawione na atak, a więc niegodne zaufania. Musimy więc zmienić prawo, dostosować je do nowej rzeczywistości, w pewnym sensie wznieść Polskę na wyższy poziom myślenia o techno-

logii, bo ona stała się integralną częścią państwa – codziennego administrowania, obronności, służby zdrowia, transportu, zwykłych zakupów w spożywczaku. Musimy kontrolować firmy, które dostarczają państwu infrastrukturę krytyczną, musimy wiedzieć, co dzieje się w sektorze gospodarki zapewniającym państwu bezpieczeństwo. I musimy zacząć budować centra cyberbezpieczeństwa na terenie całego kraju. One będą stanowiły spójny, skoordynowany system ochrony przed cyberzagrożeniami, które dziś wychodzą poza wyłącznie cyfrowy świat. Bo przecież można sterować zdalnie ujęciami wody, dostawami prądu czy ciepła. Te systemy muszą być niezawodnie chronione. Państwo powinno przystosować prawo, które będzie chroniło obywatela. Trzeba też cały czas przekonywać ludzi, że żyjemy w czasach rewolucji cyfrowej, i namawiać do instalowania zabezpieczeń na wszystkich prywatnych urządzeniach. A kolejnym krokiem będzie rozwój sztucznej inteligencji na wielu poziomach. Nasi poprzednicy sporo zrobili, ale też wiele z tych spraw zaniedbali. Chodzi nie tylko o stworzenie bezpiecznych ram wykorzystania AI w służbie człowieka. Chodzi też o mądre inwestowanie w rozwój AI.

To dlatego tworzymy Fundusz Sztucznej Inteligencji, który ma koordynować wszystkie wydatki państwa w tym zakresie, tak aby pieniądze wykorzystywać mądrze i efektywnie. Aby nie było sytuacji, że z kilku źródeł idą środki na jeden segment, podczas gdy w innych miejscach firmy, start-upy nie mają możliwości uzyskania wsparcia. Tak wyobrażam sobie bowiem państwo inteligentnej cyfryzacji.

Nie kusilo pana inne ministerstwo? Jako wicepremier mógł pan wybrać sobie chociażby obronę narodową.

– Kusilo. Ale spotkałem się z innymi liderami lewicy i wspólnie zastanawialiśmy się, które resorty powinniśmy wziąć. Zdawałem sobie sprawę, że inne ministerstwa mają większe budżety, mają inną rangę, rozdawane urzędy, większe możliwości działania. Ale jednocześnie zadałem sobie pytanie: skoro przygotowywałem się do tej funkcji przez ostatnie 15 lat, kształciłem się, napisałem dziesiątki artykułów, książki, to dla czego człowiek o moich kompetencjach nie powinien po prostu zająć się tym, na czym się zna? A jednocześnie będzie umiał przekuć wiedzę na odpowiednie działania państwa.

Włodek Czarzasty powiedział wtedy: do bra, masz rację, walczymy o ten resort. Tylko zróbcie z tego coś, co będzie pokazywało, że lewica zna się na nowoczesnym państwie, które może poprzez informatyzację dbać o bezpieczeństwo zwykłych ludzi. I o to walczę. Pracujemy m.in. nad tym, aby w każdym ministerstwie pracował pełnomocnik odpowiadający za cyfryzację państwa, która obejmie takie obszary jak rolnictwo, sądy, ochrona środowiska, komunikacja, administracja.

I jak panu idzie przekonywanie zwykłych ludzi, że lewica jest sprawna? Nowa Lewica nie jest obecnie w najlepszej kondycji.

– Stać nas na większe poparcie. Ale udało nam się wrócić do Sejmu w 2019 roku, dzisiaj jesteśmy częścią ekipy rządzącej. Pokazujemy ludziom, że jesteśmy w stanie współrządzić, i nadajemy się do samodzielnych rządów. Możemy też nauczyć naszych współpracowników rządzenia czy też zarządzania państwem, udowodnić skuteczność, co doskonale pokazuje ministra pracy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk.

A byli minister nauki Dariusz Wieczorek?

– Ja go cenię, ale nie potrafił skutecznie opowiadać o sukcesach, dlatego musiał zapłacić polityczną cenę i podać się do dymisji. A przecież to fakt, że nakłady finansowe na szkolnictwo są wyższe w stosunku do roku 2023, wzrosły o 22 proc. Udało się też wynegocjować 1,5 mld zł na uzupełnienie środków na działania prowadzone przez uczelnie, będące pod nadzorem Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. To 2,8 mld zł na rozwój infrastruktury badawczej ze środków unijnych.

A ten rok to wsparcie uczelni, czyli 30 proc. podwyżek dla nauczycieli akademickich, 30 proc. dla doktorantów oraz 20 proc. dla pracowników administracyjnych. I w końcu to 200 mln zł na wzmocnienie cyberbezpieczeństwa na uczelniach.

Ciekawi mnie, w jaki sposób lewica dzięki pańskiej pracy może zyskać nowych wyborców. Krytycy pańskiego podejścia do AI czy platform społecznościowych zarzucają panu daleko idącą próbę ustalania nowych regulacji. A ograniczenia nie podobają się młodym ludziom.

– Wbrew pozorom jestem przeciwnikiem nadmiernego regulowania. Jestem zwolennikiem dobrego uregulowania. Nie jestem przeciwnikiem rozwoju start-upów. Zapewnię miliardy złotych z funduszu sztucznej inteligencji, który będzie wspierał małe i średnie polskie firmy w rozwoju. Wykorzystanie narzędzi AI pomoże zwiększyć konkurencyjność polskich firm, poprawi ich efektywność.

Wierzę też, że jesteśmy w stanie tu, w Polsce, stworzyć nowe rozwiązania. Firmy, które będą budować silną pozycję globalnie i staną się jednoróżkami, tymi najrzadszymi, najwyżej wycenianymi przedsięwzięciami z potencjałem zmieniania rzeczywistości. Mamy jednych z najlepszych specjalistów, inżynierów. Ludzi, którzy są rozchwytywani na całym świecie. Moim celem jest zapewnić im w Polsce warunki do tworzenia innowacji.

A skoro do mojej 72-letniej chrestnej trafia informacja o zastrzeżeniu PESEL-u, a na spotkania online ze mną przychodzi po 20 tys. młodych osób, które chcą rzeczowo porozmawiać o cyberbezpieczeństwie, to oznacza, że tematy, jakimi się zajmuję, trafiają do szerokiego grona odbiorców.

Lewica może udowodnić, że nowych technologii nie należy się obawiać. O ile państwo zapewni wszystkim obywatelom równość i bezpieczeństwo w internecie. ●

Krzysztof Gawkowski

• ur. w 1980 r., wicepremier, minister cyfryzacji, jeden z liderów Nowej Lewicy, od 2019 roku poseł. Studiował prawo i nauki polityczne. Nim z socjaldemokratycznej młodzieżówki i polityki na szczeblu samorządowym wszedł do dużej polityki i stał się jednym z ważniejszych polityków SLD, pracował na słynnym targowisku na nieistniejącym już warszawskim Stadionie Dziesięciolecia, miał firmę reklamową, był nauczycielem akademickim. Wykładowca akademicki z zakresu cyberbezpieczeństwa, autor kilku powieści kryminalnych, książek publicystycznych z pogranicza polityki i socjologii oraz eksperckiej książki „Cyberkolonializm” o ryzykach związanych z niekontrolowanym rozwojem internetu.

STÓŁ Z POPRZYKRĘCANYM NOGAMI



FOTOMONTAŻ

**Nie, Marcin – myślałem – Tusk i Bodnar nigdy się na to nie odważą.
Ale i tak oglądałem się za siebie, wysiadając z tramwaju na dworcu Keleti.**

Bartosz T. Wieliński

Iktor Orbán nie był wcale tak szczodry, jak zapowiadał. Nie przydzielił mi samochodu z ochroniarzem, nie dostałem posady wykładowcy na Uniwersytecie Korwina, a rządowe stypendium okazało się skromniutkie. Gdy zwróciłem na to uwagę, wąsaty wiceminister spraw wewnętrznych z uśmiechem wyjaśnił mi, że i tak mam szczęście, bo uchodźcy na Węgrzech nie mogą liczyć nawet na tyle. A ja w zasadzie byłem uchodźcą...

Lokal, który nam przydzielono na siedzibę, wołał o pomstę do nieba. Kamienica w VIII Dzielnicy, jednej z najgorszych części Budapesztu, nie byłaby taka zła. Ładny budynek, tyle że koszmarnie zaniedbany, tynk odpadał z niego płatami. Wchodząc na górę, bałem się dotykać czegokolwiek. Bynajmniej nie z powodu brudu. Drewniana poręcz była równie stara, jak budynek i ledwo trzymała się schodów.

Najgorsze było jednak to, co znajdowało się za odrapanymi drzwiami na drugim piętrze. Dostaliśmy wprawdzie czteropokojowe lokum, prawie 100 m kw.; całkiem dobre biuro jak na początek. Tyle że lokal był koszmarnie zagraczony. Na podłodze między pokrytymi pajęczynami krzesłami bez siedzisk i połamanymi stolami wałały się sterety poólkłych papierów. Okna chyba od 30 lat nie widziały mokrej szmaty. To nie było biuro, to była melina. Kurzu osiadło tu tyle, że zacząłem mocno kichać. Na chusteczce, którą wycierałem nos, pojawiła się kropla krwi. Po niedawnej operacji jeszcze nie doszedłem do siebie.

– Daniel, ty kiedyś robiłeś remont z Beatą, znasz się na malowaniu – powiedziałem do towarzyszącego mi niskiego mężczyzny o pofarbowanych na kruczoczarny kolor włosach, który w styczniu dołączył do mnie na wygnaniu w Budapeszcie. Choć nawiązałem do spotu wyborczego z minionych czasów naszej chwały, mój towarzysz się najeżył.

– Marcin, nie wyglupiaj się. Tamto malowanie to było dla picu, tu trzeba profesjonalnej ekipy – odszczeknął z taką złością, że miałem wrażenie, iż błysk jego białych zębów rozświetla półmrok w pomieszczeniu. Chciałem zadzwonić do MSW i zrobić awanturę, ale zdałem sobie sprawę z tego, że przecież zamiast w brudnym mieszkaniu w Budapeszcie mogliśmy siedzieć w celach w Białoleśce lub innym Raciborzu. Szykował je dla nas reżim Tuska i Bodnara.

Mateusz wyciągnął zwitek stueurowych banknotów

Gdy rozglądaliśmy się po zapuszczo-nym mieszkaniu, dołączył do nas Mateusz, który w Budapeszcie siedział dopiero od kilku dni. Obejrzał każdy kąt i spojrzał pytająco na nas. Ekipa remontowa z nas żadna, ale Daniel z Mateuszem przyprowadzili przecież po dwóch asystentów. W siedmiu mogliśmy chociaż trochę tu ogarnąć.

W supermarkecie na rogu kupiłem wiadro z mopem, detergenty, gąbki i szmaty. Paragon przeźornie schowałem do rozliczenia z budżetu państwa. Potem połamane meble złożyliśmy w najmniejszym pokoju, stare papiery znieśliśmy na śmietnik.

Gdy uprzątnęliśmy graty, pojawił się nowy problem. Na czym będziemy pracować? Daniel od razu wyciągnął komórkę i zaczął za pomocą translatora przeglądać oferty budapesztańskich sklepów meblowych. Zaglądaliśmy mu przez ramię, wybierał z gestem: drogi konferencyjny stół, krzesła, abażu-

ry. – K... – wyrwało mu się, gdy przyszło do płacenia. Bank odrzucał po kolei jego karty kredytowe. – Zablokowali mi konta – doszło do niego po chwili. Twarz mu pobladła, zrównując się kolorem z jego zębami. Mateusz jakby na to czekał.

Triumfalnie wyciągnął zza pazuchy zwitek stueurowych banknotów. – Powinno wystarczyć – powiedział, wręczając mi pieniądze. Cóż, bankowiec okazał się sprytniejszy od samorządowca z Małopolski – wiedział, że pieniądze trzeba chronić. Jednak robienie ze mnie, byłego wiceministra, chłopca na posyłki bardzo mi się nie podobało. Ale przecież sytuacja była nadzwyczajna. Poza tym bardzo chciałem wyjść z tej nory na świeże styczniowe powietrze.

Pojechałem do Ikei w XVI Dzielnicy. Dziwna to była jazda. Gdy wysiadałem z tramwaju przy dworcu Keleti, zauważyłem jakiegoś dryblasza w ciemnym płaszczu. Rzucił mi nieprzyjemne spojrzenie. A potem poszedł za mną do metra. Stał w wagoniku dwa metry ode mnie, a gdy obracałem się w jego stronę, groźnie patrzył mi prosto w oczy. Ogarnął mnie strach. Agent Tuska i Bodnara?

Przez tygodnie, które minęły od ucieczki z Polski, odganiałem od siebie myśli, że reżim może wysłać za mną w pościg swoich silnych ludzi, którzy zgarną mnie z ulicy i w bagażniku wywiozą do kraju. Porwanie posła na Sejm byłoby wielkim pogwałceniem prawa międzynarodowego, wrogim aktem wobec ważnego europejskiego kraju, policzkiem wobec kibicującego nam prezydenta USA Donalda Trumpa.

„Nie, Marcin – myślałem – Tusk i Bodnar nigdy się na to nie odważą” – uspokajałem się w myślach. Gdy odwróciłem się w kierunku mięśniaka w płaszczu, okazało się, że zniknął. Ale wcale nie było mi z tego powodu lżej na sercu.

Lengyel Koztarsasag emigrans kormanya Magyarorszagon

Pieniądzy Mateusza starczyło na meble i transport z wniesieniem. Zmontować musieliśmy to już sami. Zszedł nam na tym cały następny dzień. Pracowaliśmy już w pięciu. Asystenci Daniela, gdy okazało się, że ich szef jest goły, bo reżim zablokował mu dostęp do pieniędzy, postanowili wrócić do kraju.

Daniel znosił to upokorzenie w ciszy, choć było widać, że w środku wrze. Klucz imbusowy, którym skręcał szafki na akta, co chwila wypadł mu z ręki.

Gdy wszystko było gotowe, wziąłem drabinę i wyszedłem przed dom. Odszukałem fragment fasady z w miarę nietkniętym tynkiem i przybiłem okrągłą tabliczkę z białym orłem w koronie, którą nasza przyjaciółka Basia cichcem zdjęła z gmachu małopolskiego kuratorium oświaty. Pod nim zawisła tablica z napisem: „Lengyel Koztarsasag emigrans kormanya Magyarorszagon”, i polskim tłumaczeniem: „Rząd Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie na Węgrzech”.

Gdy skończyłem, stanęliśmy z Danielem i Mateuszem na baczność. Odśpiewaliśmy „Boże, coś Polskę” i „Rotę”. Przechodnie, lokalne łachudry, przystawali, patrząc na nas z ciekawością. Takiej ceremonii VIII Dzielnica jeszcze nie widziała.

Kilka godzin później pod udekorowanym biało-czerwonymi flagami wejściem do siedziby polskiego rządu zorganizowaliśmy naszą pierwszą konferencję prasową. Byli reporterzy TVRepubliki i wPolsce24, ale niestety, przypałała się też ekipa TVN 24. Nawet dobrze się stało, bo nadawali na żywo,

oglądały nas miliony Polaków na całym świecie.

– Opresyjny reżim Tuska i Bodnara, łamiąc normy cywilizowanego świata i polską konstytucję, doprowadził do sytuacji, w której Polska pod ich rządami przestała być państwem prawa, a stała się dyktaturą porównywalną do PRL. Tak jak wówczas trwała walka z Kościołem, a opozycja jest wsadzana do więzień lub zmuszana do ucieczki. Odmawiamy reżimowi Tuska i Bodnara prawa do reprezentowania Polaków. To nie jest rząd Polski, tylko marionetka w rękach określonych kół z Niemiec i tzw. Unii Europejskiej – mówiłem lekko drżącym głosem.

Gdy brałem oddech, Daniel wszedł mi w słowo. – Sytuacja, gdy Polaków już nie stać na masło i trzeba je przechowywać w sejfach, gdy droższą mąka i chleb, gdy najważniejsze polskie koncerty przynoszą dramatyczne straty, jest niedopuszczalna. Wzywamy naszych współobywateli, by rozpoczęli akcję obywatelskiego nieposłuszeństwa – mówił.

Myśl tę pociągnął poirytowany Mateusz: – Powołując rząd na uchodźstwie, przecinamy nieudolne i nielegalne rządy Tuska i Bodnara. Jutro złożymy wniosek w instytucjach europejskich o uznanie naszego gabinetu, co będzie równoznaczne z przekazaniem nam należnego Polsce miejsca w Radzie Europejskiej i Komisji Europejskiej – mówił.

– Który z panów będzie premierem na uchodźstwie? – zapytał dziennikarz TVN 24.

„K..., dlaczego tego nie uzgodniliśmy?”

– zganilem się w myślach

„Ciekawe, kto złoży ten wniosek?” – pomyślałem. Najlepiej do tego nadawałby się Rychu, nasz obieżyświat, wybitny znawca spraw międzynarodowych. Ale, niestety, od tygodnia siedział w areszcie na Białoleśce. Ludzie Bodnara wzięli go z zaskoczenia, sąd od razu przyklepał tymczasowe aresztowanie. Siepacze reżimu przebrani w mundury polskich policjantów przyszli do niego, gdy w pośpiechu pakował walizkę. Nawet nie stawiał oporu. Kto go zastąpi? Kogo wyznaczmy na alternatywnego polskiego komisarza?

Zaczęły się pytania. Dziennikarz TVRepubliki chciał wiedzieć, jaka kara grozi Tuskowi i jego pomagierom. – Bezwzględne dożywocie – wypaliliśmy jednocześnie z Danielem.

– Choć proszę pamiętać, że ja jestem zwolennikiem przywrócenia kary śmierci – dodał Mateusz. Aż cmoknąłem z zachwytu. Ależ to się ponieście na socialach! Chwilę później jednak zazgrzytałem ze złości zębami. – Który z panów będzie premierem na uchodźstwie? – zapytał dziennikarz TVN 24.

„K..., dlaczego tego nie uzgodniliśmy?” – zganilem się w myślach.

– Nasz rząd nie będzie rozmawiać z antypolskimi mediami. Dziękujemy państwu – odparłem lodowatym tonem i obróciłem się na pięcie. Daniel i Mateusz ruszyli za mną w kierunku wejścia do kamienicy. Facet z TVN

24 zerwał się z miejsca i zaczął wykrzykiwać do mikrofonu jakieś pytania. Drogę zagroził mu jeden z węgierskich policjantów, których wyznaczono do ochrony naszej siedziby. Gdy dziennikarz chciał go wyminąć, do akcji wkroczył jego kolega.

Nie wiem, co było dalej, bo weszliśmy do środka. W myślach dziękowałem Orbánowi za tych stojkowych. Gdyby kamera TVN 24 pokazała tę zaszyfioną kłatkę schodową...

Nieprzeszkoleni z konspiracji kupili bilety na Intercity „Batory”

Przykryty zielonym suknem stół, przy którym miało się odbyć pierwsze posiedzenie rządu Rzeczypospolitej na uchodźstwie, stał w sumie na 16 nogach. W Ikei kupiłem cztery najdłuższe blaty z cienkiej sklejki wzmacnianej kartonem, Mateusz poprzykręcał nogi, cztery stoły ustawiliśmy w rzędzie.

Gdy wszyscy zaproszeni zajęli miejsca, okazało się, że sporo kuchennych krzeseł jest wolnych. Mateusz z Danielem spodziewali się, że rząd na uchodźstwie na Węgrzech będzie liczył 30 ministrów i ich zastępców. Razem z nami było tylko 20. Gdzie reszta?

Włączyłem wyniesiony cichcem z hotelowego pokoju telewizor. TVRepublika pokazywała akcję służb specjalnych reżimu na stacji kolejowej

nych. No i wszyscy kupili bilety na Intercity „Batory”.

Relacja w TVRepublice przeniosła się do Warszawy przed budynek Prokuratury Krajowej, gdzie uzurpatorzy ogłosili dziennikarzom, że wszczęto przeciwko nam śledztwo z paragrafów o zamachu stanu, a posłów, którzy jechali do Budapesztu, podejrzewa się o współudział. Mimo immunitetów zostali zatrzymani, bo złapano ich na gorącym uczynku podczas próby wyjazdu z kraju, by dołączyć do zdrajców.

„Reżim robił z nas złodziei, teraz robi zdrajców. A to przecież nie koniec. O co nas jeszcze oskarżą? O zoolilię!?” – pomyślałem gorzko.

Ciszę w sali przerwał inny Jacek, nasz minister propagandy, który razem z represjonowanym przez reżim synem uciekł do Berlina. Tam zostawili samochód na lotniskowym parkingu i wylecieli na Węgry. – Tak działa selekcja naturalna. Pozbyliśmy się głupców i szeregi nam się oczyściły – oświadczył uroczyście i wezwał, byśmy czym prędzej kontratakowali. Zaczął machać palcem po ekranie tabletu, przewijając nowe filmy i nowe memy, które jego zdaniem powinniśmy od razu wrzucić na nasze profile na serwisach społecznościowych.

– Tylko w ten sposób pokażemy Polakom, że nas nie złamali – argumentował. Cóż, wolałbym, żeby socialami zajmował się Darek. Był bezwzględnie profesjonalny, a jego lojalności mogłem być pewien. Niestety, Darka posadzili po Nowym Roku za jakieś wydumane przekręty finansowe. Został nam Jacek, który grał zawsze na siebie, jego toporne przekazy i udawany entuzjazm.

Złe wieści na tym jednak się nie kończyły. Na komórki przez bezpieczne komunikatory dostawialiśmy kolejne informacje o zatrzymaniach. Dopadli Annę; po Beatę przyszli, gdy lepiła z rodziną pierogi, drugą Beatę podobno wyciągnęli z łazienki, gdy suszyła włosy. Tusk z Bodnarem odcięli całą południową granicę. Patrole z psami tropiącymi sprawdzały samochody, w pogoni za naszymi kolegami przeszukiwano bagażniki. Sprawdzali również górskie schroniska, mimo że warunki były tak fatalne, że nawet najbardziej wytrwałym kolegom nie udało by się przejść szlakami do Czech czy na Słowację.

Robert, desygnowany na ministra rolnictwa, wyjął butelkę stolicznej. Przez chwilę machał nią jak gaśnicą, po czym zaczął rozlewać płyn do kieliszków. – Za nasze cudowne ocalenie! – wznosił toast, zapewniając, że oprócz nadzoru nad polskim rolnictwem bierze na siebie sprawy zaopatrzenia rządu w niezbędne zapasy. Na trzymaną w rękę alkohol patrzyłem z niechęcią. Byłem w tym zupełnie odosobniony. Nawet Zbyszek, minister sprawiedliwości rządu na uchodźstwie, przyjął 100 ml wódki jednym haustem.

– Czy powinieneś pić alkohol w twoim stanie zdrowia? – zgańilem go. Z rezygnacją spojrzał mi w oczy. – Mam to w d... – odparł.

Kto będzie premierem?

Posiedzenie przyszłego polskiego rządu zaczęło się zamieniać w popijawę. Zastukałem łyżeczką w kieliszek i gdy wszyscy umilkli, zapytałem, kto wobec aresztowania Janusza zostanie szefem naszej dyplomacji. Ręka Mateusza wystrzeliła w górę. – Mam z was największe doświadczenie. Jutro wyślę telegram do prezydenta Trumpa. Trzeba też naciskać na Orbána, by czym prędzej uznał nasz rząd. No i Unia Europejska musi zrobić to samo – mówił.

– Ale ty przecież jesteś już ministrem finansów – zaprotestował Jacek. – Poradzisz sobie z dwoma resortami? – zapytał z fałszywą troską w głosie. – Oczywiście! Już to przecież robiłem – odpowiedział Mateusz. I zapowiedział wielką zbiórkę narodową na rzecz rządu na uchodźstwie. Nie tylko Danielowi zablokowano konta, musieliśmy z czegoś przecież żyć.

O jego podwójną funkcję nie było sensu się kłócić, tym bardziej że np. zdrowie, cyfryzacja, rybołówstwo trzeba było dołożyć innym ministrom, bo kandydatów na te resorty reżim umieszczał właśnie w kazamatach. Martwiłem się o MSW, minister i jego zastępca jechali do Budapesztu z Brukseli, ale ich podróż się przedłużała. Według złośliwych plotek zabalowali gdzieś w Bawarii. Nie wierzyłem w to. W końcu poruszyłem najistotniejszą sprawę, którą właściwie powinniśmy byli omówić kilka dni temu: – Kto będzie premierem?

Ręka Mateusza ponownie wystrzeliła w górę, a wtedy przez salę przeszedł pomruk niezadowolenia. – Ty już miałeś swoją szansę i zobacz, gdzie wylądowaliśmy – zareagował Jacek. Zbyszek od razu go poparł. I Daniel. Kilku kolegów podniosło się z miejsc, podwijając rękawy. Wódka lana przez Roberta robiła swoje, awantura mogła w każdej chwili przerodzić się w bijatykę. – Koledzy, koledzy! – krzyknąłem. – Zastanówmy, co o tej sprawie powiedziałby prezes. A może do niego zadzwonimy po radę? – zaproponowałem.

Chwilę później łączyliśmy się przez komunikator z Żoliborzem. – Zostaję w Warszawie. Będę bronił Polski do końca – oświadczył prezes, patrząc w kamerę z determinacją w oczach. – Na następcę i szefa rządu na uchodźstwie wyznaczyłem Mariusza – oznajmił.

– Panie prezesie, Mariusz wpadł na blokadzie dróg pod Zwardoniem. Nie miał szans z tego wyjść – przeczytałem wiadomość, która nadeszła kwadrans wcześniej.

– Przewidziałem taki rozwój wypadków. Premierem zostanie więc Joachim, już jedzie do was bezpiecznym kanałem – powiedział prezes. Z kieszeni w czarnej marynarce wyjął pasek papieru i odczytał numer telefonu zaczynający się od kierunkowego do Hiszpanii, +34... – Nie dzwońcie, piszcie na komunikatorze. Powodzenia! – powiedział. Zanim się rozłączył, zobaczyliśmy, jak zwija papierek w kulkę i go polyka. To była dla nas celna lekcja. Bezpieczeństwo konspiracji przede wszystkim.

Wtedy z hukiem otwarły się drzwi. Staął w nich Antoni, w płaszczu i kaszkiecie. – Nie spodziewaliście się polskiej inkwizycji, co? – zapytał kąpiąc. Nikt się nie uśmiechał. Antoniego nikt do Budapesztu nie zapraszał, nie chcieliśmy go mieć w rządzie. Powiem tyle: mieliśmy swoje powody. Ale skoro się przebił przez kordon na granicy – reżimowa policja zatrzymała tylko jego asystenta – nie można go było wystawić do drzwi. Staął przy mnie i podniósł z biurka listę ministerstw z przypisanymi nazwiskami. – Te bydlaki dopadły Mariusza? To ja wezmę w takim razie obronę. Trzeba zacząć w kraju budować podziemne struktury. Niewykłuczone, że wkrótce okaże się konieczne rozpoczęcie akcji małego sabotażu – powiedział, wykonując teatralny gest.

Robert przerwał mu, podając kieliszek, który napelił po brzegi. – Jestem ministrem rolnictwa na uchodźstwie, to ja odpowiadam za aprowizację ministrów – powiedział, chwiejąc się na nogach. Nigdy nie byłem w stanie wyobrazić sobie Antoniego pijącego stoliczną. A jednak!

Joachim z tureckiego tira

Bezpieczny kanał, którym z Polski na Węgry uciekał Joachim, okazał się tureckim tirem jadącym ze Szczecina do Ankary przez Węgry. Nasz przyszły premier siedział zamknięty w kontenerze. Pisał, że jest strasznie zimno, nie może nawet chodzić od ściany do ściany, by się rozgrzać, bo kontener jest wypełniony częściami samochodowymi; że jakoś jednak daje radę, bo przecież to wszystko robi dla Polski. Kierowca miał go wysadzić na parkingu przy autostradzie biegnącej przez południowe przedmieścia Budapesztu. I to już za godzinę. Joachim – o czym nie mieliśmy pojęcia – w drodze był już od wczoraj.

Znałem Budapeszt najlepiej, więc włożyłem płaszcz i pojechałem odebrać premiera. Mateusz dał mi zwitek banknotów. Joachim uprzedzał bowiem, że kierowcy trzeba zapłacić przy odbiorze 500 euro. Ruszyłem do tramwaju, a potem do metra. W wagoniku zobaczyłem tego samego dryblas a w płaszczu, który chodził za mną, gdy jechałem kupić meble. Znowu stał dwa metry ode mnie i się na mnie gapił.

– Mogę panu jakoś pomóc? – zapytałem po polsku, a potem po angielsku. Nie zareagował. Gdy wysiadłem z metra na dworcu Kelenföld, ruszył za mną. W podziemnym przejściu przyspieszyłem kroku, zrobił to samo, utrzymując kilkumetrowy dystans. Na peronie czekał ze mną, aż nadjedzie

Policjanci pod kamienicą zaszalutowali na nasz widok; zauważyłem, że ten drobny gest bardzo podniósł Joachima na duchu. Gdy weszliśmy do biura, dobry nastrój natychmiast prysł.

W środku najwyraźniej doszło do bijatyki. Stoły i szafki były powywracane. Mateusz z podbitym okiem siedział na krześle unieruchomiony za pomocą srebrnej taśmy montażowej. Taśmą zaklejono mu też usta. Na mój widok zaczął się szarpać i próbował coś wykrzyknąć, ale knebel był fachowo założony.

– Zdemaskowaliśmy agenta Tuska i Bodnara – obwieścił triumfalnie Antoni, a Zbyszek i Jacek potakiwali, trzymając ręce w kieszeniach. Daniel szeroko się uśmiechał, świecąc zębami.

– Wszystko układa się w jedną całość, wystarczy tylko gdzieniegdzie popukać i poskrobać – ciągnął Antoni. – Wiadomo, że za Tuskiem stoją Niemcy, a ich agentura nie pozostaje bierna i robi wszystko, by sypać polskim patriotom piach w tryby. Dotarli także tutaj, do bijącego na obczyźnie serca Polski. Nawet tutaj Federalna Służba Wywiadowcza podłożyła swoje kukulcze jajo... Kto do tego dopuścił? Kto dopuścił do sytuacji, by absolwent niemieckiego uniwersytetu osiągnął wśród nas taką pozycję?! – pytał, rozglądając się po sali.

– Co z tym zrobimy? – zapytałem, patrząc na Joachima. Jemu wszystko było jakoś obojętne. Dalej był oszołomiony po ucieczce z Polski.

Z hukiem otwarły się drzwi. Staął w nich Antoni, w płaszczu i kaszkiecie. Nikt się nie uśmiecha

kolejka podmiejska. Wsiadł zaraz po mnie. W wagonie przeszedłem wzdłuż rządów wyłożonych splowiałą ceratą siedzeń i stanąłem przy drugim wyjściu. Gdy zawył klakson, zapowiadając odjazd, odczekałem ułamek sekundy. Syknęło powietrze, drzwi zaczęły się powoli zamykać, a ja wtedy wyskoczyłem na peron.

Dryblas się tego nie spodziewał. Dосkoczył do drzwi, ale były już zamknięte, a pociąg ruszał. Wybiegłem przed stację i zamówilem bolta.

Gdy dojechałem na miejsce, turecki tir właśnie parkował. Wręczyłem kierowcy dwa stueurowe banknoty, a gdy się obruszył, że ma za transport dostać pięćset, powiedziałem mu, że zapłacę resztę, gdy zobaczę kolegę. Kiedy zza ciężarówki wyszedł skulony z zimna Joachim, rozpromieniłem się. – Witam premiera! – wykrzyknąłem. W odpowiedzi Joachim szeroko się uśmiechnął. Sprawiał wrażenie osoby w szoku. – Świat staje na głowie – powiedział mi turecki kierowca – do tej pory przewoziłem w kontenerach ludzi do Polski. Nigdy w drugą stronę.

„Zdemaskowaliśmy agenta Tuska i Bodnara”

Do siedziby naszego rządu na uchodźstwie pojechaliśmy taksówką. Kierowcy kazałem wyłączyć ogrzewanie, Joachim był sztywny z zimna. Opowiadałem mu o budapeszteńskiej pogodzie, on odpowiadał pólśłówkami.

O sprawach służbowych nie powiedziałem nic. Nie miałem pewności, czy auto i kierowca nie są podstawieni przez siepaczy z zimna, którzy w ten sposób chcieliby poznać nasze sekrety.

– Trzeba wykonać wyrok w imieniu Rzeczypospolitej – ogłosił Antoni.

Poczułem na plecach zimny pot. – Panowie, to jest jakiś nieporozumienie. Uspokójcie się! – krzyknąłem. Postanowiłem oswobodzić Mateusza.

Antoni zastąpił mi drogę. – Jak to się stało, że niemiecki agent osiągnął wśród nas taką pozycję? Może pomagał mu inny agent? Który kończył niemieckie uniwersytety, biegle mówi po niemiecku, utrzymuje kontakty z niemieckimi duchownymi – machał mi palcem wskazującym przy twarzy.

– Tobie faktycznie odbiło! – krzyknąłem. Gdy jednak zrobiłem krok do przodu, Antoni odepchnął mnie z całej siły. Zatoczyłem się, plecami uderzyłem w ścianę.

Błyskawicznie ocenilem, że w starciu z nim nie mam szans, tym bardziej że nikt z obecnych nie kwapił się mi pomóc. Rzuciłem się do drzwi, chciałem wezwać na pomoc pilnujących budynku węgierskich policjantów.

Gdy dotarłem na klatkę schodową, przede mną wyrósł dryblas w czarnym płaszczu. Chwycił mnie za szyję i dosłownie uniósł w powietrze. A potem bez słowa wrzucił do sali obrad rządu Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, był widok Antoniego, który nachylał się nade mną, trzymając w rękę rolkę srebrnej taśmy montażowej. ●

• Wysłuchał w Budapeszcie Bartosz T. Wieliński

• Powyższy materiał powstał bez żadnego trybu, ma charakter satyryczny, jakiegolwiek podobieństwo do znanych osób jest całkowicie niezamierzone i przypadkowe.

Mieliśmy u nas chłopca, którego rodzice sprzedali rybakowi za krowę. I dziewczynkę, której opiekun chciał wyciąć nerkę.

Jędrzej Stodkowski

Daniel wygląda na siedmioletniego brzdąca. Z zapalem opowiada mi o matematyce, jego ulubionym przedmiocie w Kids Haven School. – Ile masz lat? – pytam. Daniel: – Dwanaście.

Jego koleżance dają dziesięć. Jak się okazuje, o trzy za mało. Rita najbardziej lubi zajęcia komputerowe. – Dzięki temu mogę szukać w internecie informacji o mojej rodzinie – wyjaśnia.

Rita posługuje się najlepszą angielszczyzną ze wszystkich Ghańczyków, z którymi miałem okazję rozmawiać przez pięć dni mojego pobytu w tym kraju. Żadnego pidżynu, wymowa jak z Londynu. Kiedy wyjaśnia, że angielskiego zaczęła się uczyć pół roku wcześniej, głupio się uśmiecham, bo myślę, że źle zrozumiałem. Ale nauczyciele Rita potwierdzają. – Pół roku temu to ona przede wszystkim nie potrafiła pisać – dodają.

Daniel i Rita zostali odbici handlarzom żywym towarem przez pracowników Omenaa Foundation oraz salezjańskiej organizacji Don Bosco.

Z Danielem, Ritą i pięćdziesiątką innych byłych dziecięcych niewolników gadamy, tańczymy i muzykujemy na dziedzińcu Child Protection Centre (CPC) w Temie, głównym porcie Ghany, dwadzieścia parę kilometrów na wschód od stołecznej Akry. Trzy kilometry na zachód stąd przebiega południk zerowy i zaczyna się półkula wschodnia.

wyjdzie na wolność. Mafia ma wystarczająco dużo pieniędzy, by posmarować komu trzeba.

Kurpiewski był zszokowany stanem maluchów: – Nigdy nie widziałem tak wygłodzonych i zaniedbanych dzieci. Spały na ziemi pod wiatą. Gryzły je komary roznoszące malarię. Zresztą wszystkie dzieci w naszej szkole miały malarię, nie dziw się, że tak pociągają noskiem – to katar malaryczny.

Dzieci wcale nie cieszyły się z uwolnienia. Byli przerażeni. A konkretnie – przerażeni widokiem Damiana. – Masterworkerzy straszą dzieci, że jeśli przyjedzie po nie biały człowiek, to po to, aby je zabić – wyjaśnia.

Psycholog Raphael, Ghańczyk, przekonał je jednak, by wsiadły do autobusu. Kurpiewski: – Nie miały nic. Chłopiec chodził w jednym bucie. Inny – w kobiecych czółenkach na koturnie w panterkę. Jeszcze inny miał tylko zimową kurtkę. Przez 11 godzin drogi powrotnej żadne dziecko nie odezwowało się ani słowem. Po przyjeździe do ośrodka okazało się, że niektóre pierwszy raz w życiu widzą łóżko. Nie wiedziały, do czego służą muszla klozetowa, prysznic, szczoteczka do zębów...

Tu Kurpiewskiemu głos się urywa. Z tylnego siedzenia osobówki nie widzę jego twarzy. Po chwili Damian zaczyna pociągać nosem. Wiem, że choć dwukrotnie przeszedł malarię, nie jest to katar malaryczny.

Czarne złoto

Wzdłuż wybrzeża wracamy do Akry z miasta Cape Coast. Choć to odległość jak z Łodzi do Warszawy, prowadzący auto Raphael rzadko ma okazję się rozpędzić. Nasza korkowo-wertepowa odyseja trwa pięć godzin. Jest czas na swobodną opowieść. Na ciszę. Na łzy.

Historie o współczesnych niewolnikach mimowolnie rymują się z historiami o niewolnikach z zeszłych stuleci, pod ciężarem których wyczołguje się zza śnieżnobiałych murów Cape Coast Castle. W połowie XVI w. zaczęli tu urzędować Portugalczycy. Sto

Gorzkie kakao

Ośrodkiem kierują salezianie. A mieszkające tu dzieciaki uczą się w Kids Haven School, którą wybudowała fundacja Omeny Mensah, wieloletniej prezenterki i dziennikarki TVN, bizneswoman, filantropki.

Zanim zaczęły się płasy z dzieciakami, odbyła się celebra z okazji rozpoczęcia budowy nowego kompleksu sportowo-artystycznego. Kamień węgielny wmurowała szefowa fundacji wraz z oficjelnymi parostwowymi i kościelnymi, koszykarzem Popsem Mensah-Bonsu oraz Ewą Chodakowską. Popularyzatorka fitnessu zebrała na tę budowę 5 mln zł. Cały budżet.

Kiedy cement osuwał się z kielni trzymanej przez Chodakowską, na nasze głowy spadła ściana wody. Rzuciliśmy się do najbliższego budynku, pozostawiając kamień węgielny na pastwę tropikalnej ulewy.

Czółenka w panterkę

Marzec 2024. W CPC dostają cynk, że na farmę w głębi kraju przyjechał mężczyzna z siódmką ewidentnie nie swoich dzieci. W Temie do autobusu szkolnego wsiadają Damian Kurpiewski, menadżer Kids Haven School, i Raphael Karikari, szkolny psycholog. Podróż trwa 11 godzin.

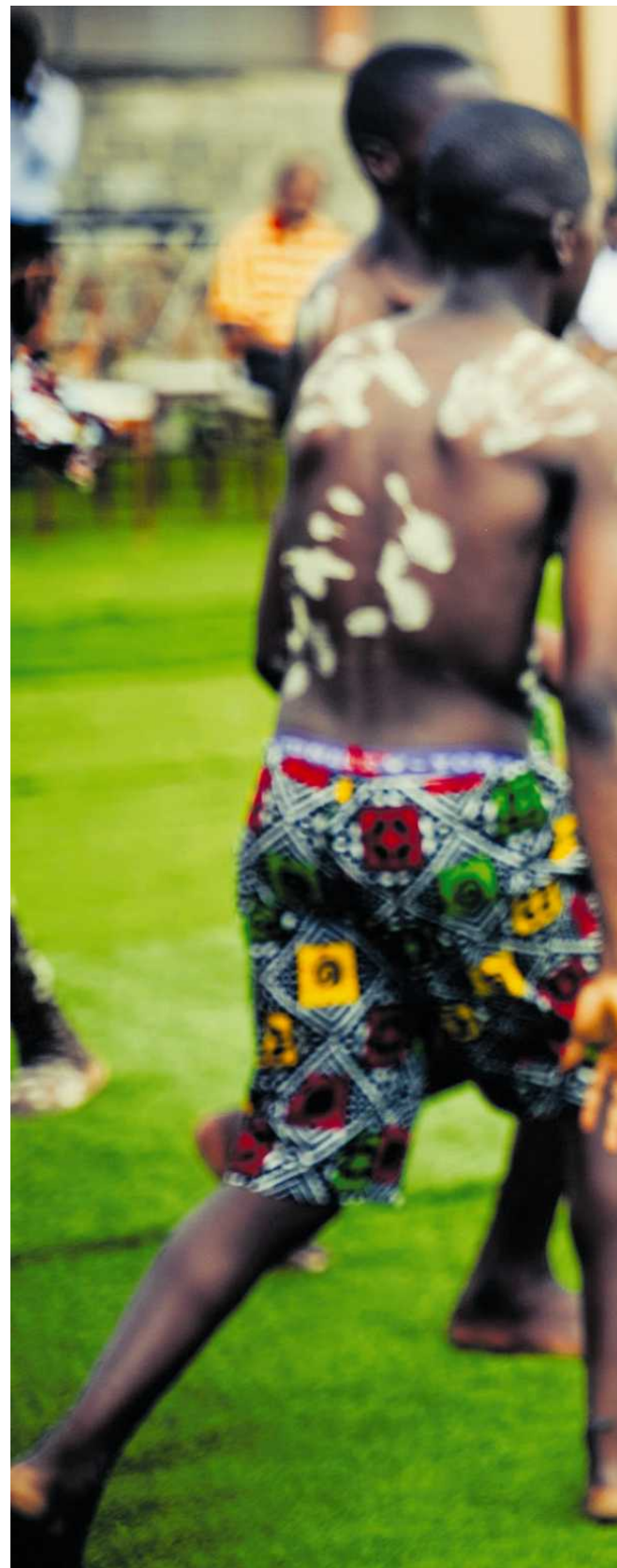
– Wjeżdżamy. Duża, zakrzaczona polana. Kilkadziesiąt krow, których pilnują chłopcy. W drewnianym domku dwie dziewczynki szykują jedzenie. Masterworker, czyli „właściciel” dzieci, nie ucieka. Jest wobec nas wręcz serdeczny – opowiada Kurpiewski. – Potwierdza, że dzieci kupił, i deklaruje, że je nam odda. Śmiejąc się nam w twarz, oznajmia, że wyjeżdża i że dalej będzie robił swoje. Cóż, wiemy, że to prawda. Handlarz, który dobrowolnie odda dzieci, pozostaje bezkarny. A jeśli nawet jakimś cudem uda się go czasem zatrzymać w asyście policji, to szybko

lat później Cape Coast w fort przeobrazili Szwedzi. Potem drewno i złoto wysyłali stąd do Europy Duńczycy i Holendrzy. Fort i port szybko zabrali im jednak Brytyjczycy. I to oni zaczęli uprawiać tu na wielką skalę handel towarem cenniejszym niż złoto. Ludźmi.

Mechanizm tak wyglądał w wielkim skrócie: Europejczycy wytworzyli popyt na niewolników. Jedne ludy i plemiona niewolili inne, a ich członków sprzedawali białym. Biali stosowali też ulubioną metodę kolonizatorów „dziel i rządź”: stawiali jedne afrykańskie królestwa przeciw drugim, potem tanio kupowali pochwyconych jeńców.

Zanim ci ludzie weszli na statek, by przestać być ludźmi, a stać się darmową siłą roboczą w koloniach na Karaibach i w kontynentalnej Ameryce, w Cape Coast Brytyjczycy wciskali Afrykanów do zamkowych piwnic. Pozbawieni dostępu do światła i jedzenia czekali, aż zostaną załadowani na statek. Oczekiwanie mogli urozmaicić sobie słuchaniem pieśni religijnych i modlitw dochodzących ze znajdującej się, o ironio, tuż nad lochem kaplicy.

Buntownicy kończyli w izolatce. Kończyli, bo już nigdy z niej nie wychodzili. – Ich ciała razem z ciałami tych, którzy nie wytrzymali pierwszego etapu nowe-



go, niewolniczego życia, wyrzucano do wody paręset metrów od brzegu – opowiada nasz przewodnik.

Na Złotym Wybrzeżu, czyli wybrzeżu dzisiejszej Ghany, takich fortów – brytyjskich, portugalskich, duńskich i holenderskich – było 35.

Umowa o dziecko

Jak zorganizowany był dawny handel niewolnikami, wiadomo z ksiązek, muzeów. Ale ręka do góry, kto wie, jak wygląda współczesne niewolnictwo.

– Cała procedura jest doskonale zorganizowana i w dużej mierze kontrolowana przez lokalne mafie – wyjaśnia Damian Kurpiewski. – Masterworkerzy szukają po wsiach biednych, wielodzietnych rodzin. Oferują rodzicom, że wykupią dziecko na trzy-pięć lat za 750-1,5 tys. cedi, czyli 50-100 dol. W Akrze 750 cedi to niska miesięczna pensja, np. sprzątaczk. Nie podpisują żadnej umowy.

Najbardziej chodliwym towarem są chłopcy między siódmym a czternastym rokiem życia. Pracują na roli, przy wypasie zwierząt, w rybołówstwie, na budowach. – Kofi, który właśnie kończy naszą szkołę, od siódmego roku życia pracował w kopalni złota – dodaje Kurpiewski. – Na dziewczynki jest mniejsze zapotrzebowanie. Kupowane są do pomocy w domu.

Ale dlaczego w ogóle rodzice sprzedają obcym własne dzieci? – Po pierwsze, raczej są to matki, bo o ojców w wielu rodzinach trudno. Typowy schemat wygląda tak: młoda kobieta poznaje mężczyznę. Mają dziecko, potem drugie, trzecie. Facet znajduje sobie kolejną kobietę. Zostawia poprzednią rodzinę. A matce trójki dzieci jest trudno, więc chętnie pozna nowego mężczyznę. Sytuacja, zwłaszcza przy niskiej świadomości na temat antykoncepcji, się powtarza. Na końcu kobieta zostaje sama z gromadą dzieci

■
*Proszę o spotkanie z królem wioski.
Żeby król zgodził się mnie przyjąć,
muszę mu ofiarować 100 euro
i wódkę*



FOT. JACEK POREMBA

do wykarmienia, bez mężczyzny i bez pieniędzy. Żeby wyżywić chociaż część z nich, zostawia przy sobie najmłodsze dzieci, a starsze sprzedaje.

Taki los spotkał Daniela. Matka związała się z nowym mężczyzną. Ojczym nie polubił chłopca, faworyzował własne dzieci. Mama próbowała o niego dbać, ale nie miała pieniędzy, by zapewnić mu opiekę.

Także Rita musiała opuścić rodzinny dom z powodu biedы. Do szkoły nie chodziła, bo musiałaby przedzierać się przez strumienie i krzaki 8 km w jedną stronę. Bała się.

Tyle o moich nowych znajomych mówi mi Raphael, zastrzegając, żeby w żadnym wypadku nie dał dzieciom poznać, że znam ich przeszłość.

Handlarze rzadko dotrzymują umowy. – Owszem, bywa, że dziecko wraca do domu po paru latach z krową. Taka krowa pomaga wyżywić rodzinę – mówi Kurpiewski. – Większość dzieci jednak już rodziców nie zobaczy. Nie pamiętają, skąd przyjechały. Nie potrafią czytać ani pisać. Jeden z naszych uczniów dopiero u nas się dowiedział, jak ma na imię. Masterworkerom jest to oczywiście na rękę. Niektórzy okaleczają też dzieci. Jeśli w mieście zobaczycie ludzi z bliznami na twarzy, to zapewne dawni niewolnicy.

Seks z dziesięciolatką

– Mieliliśmy u nas chłopca, którego rodzice sprzedali rybakowi znad jeziora Wolta. Za krowę! – krzyczy ks. Piotr Wojnarowski. Kiedyś był dyrektorem CPC w Temie, dziś przyleciał ze Sierra Leone specjalnie na wmurowanie kamienia węgielnego. Próbuje rozmawiać, ale w środku budyneczku, w którym schroniliśmy się przed ulewą, jest głośniejsze niż w ulu. Dzieci i dorośli, Ghańczycy i Polacy gadają jeden przez drugiego, śmieją się, nawołują. Uciekamy z Piotrem

• **W Child Protection Centre w Temie mieszka, uczy się i bawi 55 dzieci odbitych z niewoli**

• **Ekipa Omenaa Foundation z Damianem Kurpiewskim na czele przeprowadziła w 2024 r. 11 akcji ratowniczych, w których uwolniła z niewoli 37 dzieci**

(wszyscy dorośli mówią tu do niego po imieniu) do toalety – jedyne miejsce, w którym da się usłyszeć własne myśli, a czasem nawet rozmówcę.

– Specyfiką Ghany jest ogromne zapotrzebowanie na pracę dzieci w rybołówstwie na jeziorze Wolta – mówi Piotr. Region zna doskonale: 15 lat pracował w Ghanie, trzy – w Gambii. Skończył w Rzymie studia z ochrony nieletnich i wrócił do Afryki. Jest dyrektorem ośrodka Don Bosco Fambul w Sierra Leone, w którym rehabilitację przechodzi 160 młodych ofiar niewolnictwa i innych przestępstw.

Wolta to jeden z największych sztucznych zbiorników na świecie. Jest 260 razy większe niż Zalew Żegrzyński. Moi gospodarze nazywają jezioro upstrzone żyznymi wyspami „niewolniczym rajem”. Rozumiem, do czego mogą się przydać dzieci w polu i na pastwisku, ale po co one rybakom?



FOT. LUKASZ KUS

– Pod wodą są zalane 60 lat temu drzewa. Sieci zaczają o nie. Zadaniem dzieci jest nurkowanie i wypłytywanie sieci z konarów – tłumaczy duchowny.

I wyjaśnia, że nie zawsze w handel zamieszana jest mafia: – Czasem dzieci zostają niewolnikami własnych krewnych. Typowa sytuacja: ktoś lepiej sytuowany z miasta potrzebuje osoby do prowadzenia gospodarstwa. Odwiedza w wiosce kuzynów, którzy mają dziesięcioro dzieci. Miastowi składają ofertę: „Mam duży dom, może dasz mi dwójkę maluchów? Ja je wykształcę. Będą dobrze zarabiać i na starość się wami zaopiekują”. I oni te dzieci sprzedają, a czasem w dobrej wierze oddają.

O tym, co z takim dzieckiem może się stać, Piotr opowiedział w książce „Przywróconą”. Która z kolei zainspirowała Edytę Wróblewską do nakręcenia filmu dokumentalnego „Gdy powieje harmattan”, pokazywanego (i nagradzanego) w 2024 r. na festiwalach. Bohaterką jest 25-letnia Ghanka Barbara, którą jako dziecko rodzice oddali ciotce. Ta obiecywała, że się Basią – jak mówią o niej polscy przyjaciele – odpowiednio zajmie.

– Do pierwszej klasy Basia jeszcze poszła – mówi o. Wojnarowski. – Ale potem ciotka kazała jej sprzątać, gotować, prac. O szkole nie było mowy. Kiedy Basia miała 10-11 lat, ciotka zaczęła spraszać do domu facetów, którzy za pieniądze wykorzystywali Basię seksualnie. To trwało do osiemnastego roku jej życia, aż Basia znalazła się w CPC w Temie.

Basia była tutejsza, знаła język. W znacznie gorszej sytuacji są dzieci, które zostają niewolnikami w innym państwie. – Kilka lat temu opiekowaliśmy się 15 muzułmańskimi dziewczynkami z sąsiedniego Togo, które ghańscy pogranicznicy zatrzymali przed wyłotem do Arabii Saudyjskiej. Zapewne miały tam zo-

stać służącymi i pracownikami seksualnymi. Ale dzieci z Togo są też wykorzystywane w Ghanie. Tam językiem urzędowym jest francuski, więc w anglojęzycznej Ghanie są kompletnie wyalienowane – mówi ks. Wojnarowski.

I dodaje: – Mieliliśmy też dziewczynkę, którą straż graniczna zatrzymała na lotnisku, kiedy okazało się, że mężczyzna, z którym podróżuje, nie jest jej opiekunem prawnym. Za granicą dziewczynka miała mieć wyciętą nerkę.

12 mln małych niewolników

Ilu jest dziecięcych niewolników w Ghanie, nie sposób ocenić. Bo kto i jak miałby to zbadać? – To co najmniej kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset tysięcy dzieci. Ale dzieci zostają niewolnikami na podobną skalę we wszystkich państwach regionu – mówi ks. Wojnarowski.

Międzynarodowa Organizacja Pracy oraz organizacja Walk Free szacują, że w 2021 r. na świecie było 3,3 mln dziecięcych niewolników, z czego połowę stanowiły dzieci zmuszane do seksu.

Ze Światowego Indeksu Niewolnictwa, który w 2023 r. opublikowało Walk Free, wynika, że na świecie jest 50 mln niewolników, z czego 12 mln to dzieci, a 28 mln osoby przymuszone do pracy. Ghana jest jednym z liderów przymusowej pracy w sektorze rybnym. Ekspertki zwracają uwagę, że ghańskie dzieci przymuszane są do pracy na plantacjach kakao. Szacuje się, że w Ghanie i Wybrzeżu Kości Słoniowej, które łącznie produkują 60 proc. ziarna kakaowego na świecie, przymusowo pracuje 16 tys. dzieci. Przymuszającymi do pracy są przeważnie członkowie rodziny.

Z danych udostępnionych mi przez UNICEF Polska wynika natomiast, że pracować musi co piąte ghańskie dziecko między 5. a 17. rokiem życia. To tylko minimalnie lepszy wynik niż dane dla całej Afryki Subsaharyjskiej, gdzie według UNICEF w 2020 r. pracowało prawie 90 mln dzieci. Tu warto przypomnieć, że Ghana, prekursorka dekolonizacji, uznawana jest za afrykańskiego prymusa – zarówno gospodarczego, jak i politycznego, bo od 32 lat demokracja ma się tu całkiem dobrze.

Na kłopoty Omenaa

Droga Omeny Mensah do kraju, z którego pochodzi jej ojciec, nie była ani łatwa, ani oczywista. – To było dekadę temu. Poczułam, że chciałabym zrobić coś dla dzieci z Ghany. Tata zawsze powtarzał mi, że Afrykańczykom można dać tylko edukację, bo wszystko inne mają. Postanowiłam zbudować szkołę. Założyłam fundację i polecałam do miejsca, w którym są moje korzenie – opowiada.

Za moimi plecami huczy szarobury ocean. Dzieci mają dziś święto – jesteśmy w topowym kurorcie nad wodą. Większość z nich po raz pierwszy widzi basen z neowoniebiską wodą i tory do gry w minigolfa (ja zresztą też widzę coś takiego po raz pierwszy). Większy entuzjazm od minigolfa wzbudza boisko do piłki nożnej. Jest jeszcze badminton. I skoki przez linę.

Ja wybieram siatkówkę, ale kiedy po godzinie mierzący może metr wysokości chłopiec serwuje na mnie siedem pitek, a ja nie potrafię odebrać ani jednej, otrzępuję kolana i uznaję, że najlepsze dokonania sportowe dziś już za mną. Tym bardziej że akurat nadarza się pierwsza w tych dniach okazja, by porozmawiać chwilę z wszechobecną, ale także wiecznie czymś zaafetowaną szefową fundacji. Z koleżanką z innej redakcji udaje nam się wynegocjować 10 minut. Rozmowę kończymy prawie godzinę później.

– Przyleciałaś do Ghany i co było dalej?

– pytamy Polkę noszącą najpopularniejsze ghańskie nazwisko.

– Zaczęłam szukać odpowiedniego miejsca na szkołę i operatora, który by tę szkołę poprowadził. Co ja tu wtedy przeżyłam! To jest temat na osobny wywiad rzekę! – łapie się za głowę Mensah. – O, na przykład taka historyjka. Proszę o spotkanie z królem wio-



• – **Mój pochodzący z Ghany tata zawsze powtarzał, że Afrykańczykom można dać tylko edukację, bo wszystko inne mają – mówi Omenaa Mensah. Nowy kompleks sportowo-artystyczny dedykuje mamie, która „kształtowała ją na wrażliwą, odpowiedzialną i sumienną dziewczynę”**

ski. Żeby król zgodził się mnie przyjąć, muszę mu ofiarować 100 euro i wódkę.

Nie daję łapówek, no, ale tu chodzi o dzieci, więc daję pieniądze i butelkę. Król mnie przyjmuje. Opowiadam, że chcę zbudować u nich szkołę. „Nie chcę szkoły. Chcę stołówkę” – odpowiada. Powtarzam, że chodzi mi o miejsce do edukacji dla dzieci z jego wsi. On powtarza, że chce stołówkę. No to się zawinęłam. I tak to mniej więcej wyglądało...

Omenaa Mensah przez półtora roku szukała wiarygodnego partnera, który znałby lokalne realia. – Na końcu mojej listy był ksiądz Piotr Wojnarowski. Jako ateistka jestem sceptycznie nastawiona do Kościoła katolickiego, ale to była ostatnia deska ratunku. Zadzwoeniłam – wspomina. – On jakby już na to czekał: „No cześć, Omenaa, miło cię wreszcie poznać! Słyszałem, że kręcisz się po Ghanie i szukasz miejsca na szkołę. Może wpadniesz do ośrodka CPC w Temie?”. Ten telefon zmienił wszystko, a Piotr okazał się najwspanialszym księdzem, jakiego w życiu poznałam.

Omenaa Mensah: Jako ateistka jestem sceptycznie nastawiona do Kościoła, ale to była ostatnia deska ratunku

Ghana jest krajem wielu religii. Kościoły różnych odłamów chrześcijaństwa sąsiadują z meczetami, a żarliwe oddanie religii miesza się z tradycyjnymi wierzeniami. Chrześcijanie to 70 proc. społeczeństwa, ale katolicy stanowią zaledwie 14 proc. chrześcijan.

O Kościele rozmawiam z nowo poznanym Ghańczykiem. Kiedy mówię, że nie jestem katolikiem, jest zdumiony – myślał, że wszyscy Polacy to katolicy. Opowiadam, że w Polsce Kościół jest w głębokim kryzysie, brakuje księży, a młodzi ludzie masowo z niego odchodzą. – My też widzimy, że duchowni mają za dużą władzę – twierdzi mój rozmówca. – Ale wierz mi, że akurat u nas Kościół katolicki jest jedną z nielicznych pozytywnych sił w sferze publicznej. Co ma być konkurencją dla Kościoła? Protestancy pastorzy, którzy zakładają własne świątynie, bogacą się dzięki pieniądзом zbieranym od wyznawców, a potem idą do polityki? Dla mnie to obrzydliwe.

Omenaa Mensah po raz pierwszy usłyszała o dzieciach niewolnikach od Piotra Wojnarowskiego.

– Zobaczyłam, ile dobra robią dla tych dzieci, i wyłączyłam ideologiczną nieufność. W pewnym momencie stanęliśmy na balkonie, a Piotr pokazał wokół: „Widzisz, mamy tu taką fajną, dużą działkę. Brakuje nam

tylko szkoły”. Wypaliłam od razu: „To ja tę szkołę zbuduję!”. – To prawda, aż krzyknęła, że ją zbuduje – potwierdza salezjanin.

Wróciła do Polski i zaczęła szukać 1,5 mln zł, bo tyle miała kosztować szkoła. – Myślałam, że to będzie proste: idea jest piękna, a ja byłam przecież znaną i lubianą panią z telewizji – wspomina. – Rzeczywistość okazała się zgoła inna. Był nią hejt.

Mensah relacjonuje, że krytykowano ją za to, że zamiast pomagać Polakom, wspiera „czarnuchów”. – „Dlaczego w Polsce nie zbudujesz szkoły?” – pisali w komentarzach. Pisali to w mailach do fundacji! – oburza się. – Tłumaczyłam, że w Polsce mamy szczęście, bo żyjemy w rozwiniętym kraju, gdzie edukacja dzieci jest normą. A w Afryce wiele dzieci nie ma takiej szansy i czas najwyższy, by Polacy zaczęli pomagać innym. Te reakcje były obrzydliwe, ale wiesz co? To mnie tylko napędzało! I utwierdzało w przekonaniu, że to, co robię, jest dobre i ważne.

Zebrań 1,5 mln zł zajęło jej ponad trzy lata. – Dziś myślę, że ludzie potrzebowali czasu, by mi zaufać – mówi.

Budowa Kids Haven School zaczęła się w kwietniu 2017 r., a skończyła we wrześniu 2021 r. – Dowiozłam ten projekt – mówi Mensah. – Przy okazji poznałam miłość mojego życia. A było to tak. Organizowałam charytatywną aukcję w pałacu w Wilanowie. Nie było komu rozwieźć zaproszeń, bo nasz partner wycofał się, tłumacząc, że nie ma na to budżetu. Chodziło o 1,5 tys. zł. Drama! Prowadziłam wtedy fundację sama, ze wsparciem jednej osoby.

Nie miałyśmy żadnych pieniędzy. Ktoś powiedział mi o firmie InPost i dał namiar na jej właściciela Rafała Brzosa. Zadzwoeniłam, zaprosił mnie do biura. Pomyślałam sobie, że może od razu namówię go, by dał fundusze na budowę szkoły w Ghanie. Zabrałam ze sobą konspekty. Rafał był pierwszą osobą, która mnie wysłuchała i zrozumiała, o co mi z tą Ghaną chodzi. Obiecał wsparcie.

Tyle że InPost stał wtedy na skraju bankructwa i Brzosa był splukany. – Pomógł mi tak, jak wtedy mógł: najważniejsze, żeby zaproszenia trafiły do adresatów – wspomina Omenaa Mensah. – Dziś Rafał śmieje się, że to była jego najlepsza inwestycja w życiu. Dlatego gdy słyszę, że my udajemy z tą całą filantropią, opowiadam tę historię, która chyba jasno tłumaczy, że pomaganie jest w DNA naszego związku.

I dodaje stanowczo: – Dla mnie osoba publiczna, która nie robi nic dla innych, nie jest żadną gwiazdą. Prawdziwą gwiazdą jesteś wtedy, kiedy zaczynasz inspirować innych do robienia tego, co jest ważne. Dlatego największymi gwiazdami są pracownicy moich fundacji, którzy codziennie ciężko pracują dla innych.

Zarobić na sobie

Dziś Child Protection Centre w Temie składa się z budynku Kids Haven School, budyn-

ku mieszkalnego dla chłopców, drugiego dla dziewczyn, stołówek, budynku biurowo-rozrywkowego z salą telewizyjną dla dzieci oraz domu dla księży. Najmłodsze dziecko ma siedem lat. Najstarsze – 24.

Kadra to m.in. ośmioro nauczycieli, trzy kucharki oraz dwoje opiekunów, którzy odpowiadają za dzieci po godzinach nauki.

Oglądam szkolne klasy i przypominam mi się własna podstawówka sprzed 30 lat. To pewnie dlatego, że na ścianach oprócz alfabetu, wizerunków zwierząt czy figur geometrycznych wiszą też mapa Polski, zdjęcia Warszawy czy Trójmiasta oraz obrazki z „cudami polskiej przyrody”. W mojej podstawówce nie było tak fantastycznej sali komputerowej. To prezent od krakowskiej firmy j-labs. – Chcemy, żeby nasze dzieci dostały się na studia, znalazły dobrą pracę. Za jakiś czas chcemy wprowadzić naukę programowania – zapowiada Kurpiewski.

Fundacja Omeny Mensah wspiera też inną szkołę, którą we własnej wsi założyła nauczycielka z Kids Haven School. Żeby ją zbudować, sprzedawała pół swojej ziemi. Zapotrzebowanie jest ogromne: uczy się w niej 67 dzieci w wieku od trzech do dwięciu lat.

– U nas w ławce siedzą czasem siedmioletki z dwunastolatką, bo oboje trafili tu, nie umiejąc pisać ani czytać. Część tych dzieci po dwóch-trzech latach jest już w stanie dołączyć do rówieśników w publicznej szkole – mówi Mensah.

Wierzy w rozwój poprzez sport także dlatego, że jej samej dużo dała koszykówka. – A moją wielką pasją jest sztuka, szczególnie afrykańska. Dlatego w skład kompleksu, którego budowę właśnie zaczynamy, wejdą boiska do koszykówki, piłki nożnej, korty tenisowe i siłownia, a także przestrzeń do arteterapii, w której dzieci będą mogły rozwijać talenty artystyczne, oraz miejsca rezydencji dla artystów, których będziemy tu zapraszać – zapowiada. – Artyści będą mogli inspirować się dziećmi, Ghaną, Afryką. A dzieci będą inspirować się nimi. Wykonane podczas rezydencji prace staną tu w ogrodzie.

Mensah zapowiada też staże dla młodych lekarzy z Polski. – Zresztą polscy studenci medycyny już tutaj bywają; zaczęła moja córka Vanessa. A do tego wszystkiego powstanie tu pijalnia kawy i czekolady.

Całość pomyślana jest tak, by dzięki nowemu kompleksowi szkoła stała się samowystarczalna finansowo. – Boiska będą wynajmowane. Chętnych nie zabraknie, bo takich obiektów dramatycznie brakuje. Podobnie będzie z siłownią. Pieniądże z wynajmu i sprzedaży w kawiarni będą utrzymywać ośrodek – wyjaśnia Kurpiewski.

Pomysł na ośrodek bardzo podoba się Popsowi Mensah-Bonsu, byłemu koszykarzowi klubów NBA i czołowym drużynom europejskich oraz reprezentantowi Wielkiej Brytanii.

– Od 2018 r. prowadzę w Ghanie SEED Academy. Trenujemy z dziećmi koszy-

kówkę, ale sport jest dla nas głównie środkiem, by przekazywać im umiejętności przydatne w codziennym życiu, w szkole oraz w pracy – mówi 41-letni sportowiec.

Pops Mensah-Bonsu dopiero od Omeny Mensah usłyszał o niewolnictwie dzieci w Ghanie. Nie wahał się, by wraz z Ewą Chodakowską i wspierającą charytatywne inicjatywy Omenaa Foundation Małgorzatą Rozenek-Majdan zostać ambasadorem nowego kompleksu.

Mensah zapowiada, że pomysł terapii poprzez sport i sztukę zamierza wkrótce wprowadzać w polskich ośrodkach, które współpracują z jej fundacją. Na początku w Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapii w Kiernozie niedaleko Łowicza.

Najedzeni, ale głodni

Na przedmieściach Akry zapada powoli zmrok. Uliczne sprzedawczynie przechadzają się między sznurami stojących w korku aut, dźwigając na głowach tace z piramidami kokosów.

Pytam Raphaela Karikario, co jako psycholog robi, kiedy przyjmują w CPC nowe dziecko. – Przede wszystkim muszę się dowiedzieć, czego doświadczyło. Dzięki temu mam jakieś pojęcie, z czym musi się mierzyć. Odrzucenie przez rodziców, ciężka praca, przemoc ze strony masterworkerów – te dzieci są ciężko strauumatyzowane – wyjaśnia.

W CPC jest od siedmiu lat, w tym czasie pracował z ponad 160 dziećmi. – Po pierwsze, po prostu cały czas jestem z nimi, mieszkam w ośrodku. Po drugie, czasami prowadzę obserwację z dystansu; sprawdzam, jak się zachowują, kiedy myślą, że nikt ich nie kontroluje. Po trzecie, odbywam z nimi sesje terapeutyczne. Jeśli są na to gotowe, omawiamy te doświadczenia z przeszłości, z których trudno się im wyzwolić. I o których ciągle im coś przypomina. Co jakiś czas znajduję któreś z dzieci, jak płacze gdzieś w kącie.

Karikari tłumaczy, że z początku trudno jest dzieciom przyzwyczaić się do porządnego wyżywienia. – Większość dzieci, gdy do nas trafia, ma wzdęte z głodu brzuszki. Wiele z nich dostawało miskę ryżu dziennie. U nas jedzą trzy razy dziennie. Ten kontrast wywołuje w nich wspomnienia potwornej przeszłości.

Oprócz byłych niewolników w CPC jest też trochę dzieci, które żyły na ulicy. – Zebrały o cokolwiek do jedzenia, grzebały w śmietnikach – wtrąca Kurpiewski. – Dasz wiarę, że chociaż są u nas najedzone do syta, to niedawno przylapałem kilkoro z nich na szukaniu jedzenia w śmietniku? Z taką traumą głodu muszą się mierzyć.

Trudna przeszłość znajduje także odbicie w emocjach, które rozpiekają podopiecznych CPC. – Chłopcy mają problem z kontrolowaniem gniewu. Wystarczy iskra, by wyprowadzić ich z równowagi – mówi psycholog. – Byli bici, wykorzystywani. Te przemocowe wzorce relacji międzyludzkich są czasem jedynymi, których się nauczyli. Dlatego sami często starają się wykorzystywać innych. Ale uczymy ich, że mogą na nowego kolegę popatrzeć jak na brata czy przyjaciela. I z czasem jest coraz lepiej.

Kolejnym problemem jest samotność. Karikari: – Jasne, mają kolegów i koleżanki. Mają nas. – Ale kiedy wieczorem idą do swoich pokoi, dopada ich samotność. I zazdrość wobec tych dzieci, które mają dom.

Niebagatelnym wyzwaniem jest także typowa dla tej części świata etniczno-językowa mieszanina. W Ghanie mówi się ok. 80 językami. Dzieciom trudno z początku porozumieć się między sobą oraz z kadrą. Dlatego od pierwszego dnia uczone są angielskiego, bo angielszczyzna to ghańska lingua franca.

Oddać, nie oddać?

Po przeprowadzeniu akcji ratowniczej ekipa CPC ma prawny obowiązek odnalezienia dokumentów dziecka. – To teoria, bo większość dzieci i tak nie ma aktu urodzenia – wyjaśnia Kurpiewski. – Tak czy owak, jeśli dziecko wie, skąd pochodzi, jedziemy do



FOT. JACEK POROMBĄ (2), LUKASZ KUŚ

domu, poznajemy rodziców, sprawdzamy, w jakich warunkach żyją, dlaczego sprzedało dziecko. A ponieważ zazwyczaj są to problemy finansowe, staramy się pomóc rodzinom w znalezieniu pracy, otwarciu własnego biznesu, doksztalceniu się. Nigdy nie dajemy pieniędzy, bo to do niczego nie prowadzi. Chcemy, by dziecko wróciło do domu, bo to jest jego naturalne środowisko.

Jak mówi Kurpiewski, zazwyczaj jednak dziecko do domu nie wraca, bo pracownicy CPC mają uzasadnione podejrzenie, że rodzice sprzedaliby je ponownie. – Nie zawsze problemem jest wyłącznie ubóstwo, czasem także uzależnienie rodziców od alkoholu czy narkotyków – klaruje. – Mamy dziecięć miesięcy na to, by dziecko ewentualnie oddać rodzicom. Jeśli tego nie zrobimy, zobowiązujemy się, że CPC zaopiekuje się nim do 18. urodzin.

Niewolnictwo, które nie istnieje

Nie wszystkie akcje ratownicze kończą się takim sukcesem jak ta marcowa. Wcześniej sze cztery nie wypaliły.

– Płyniemy na wyspę na jeziorze Wolta, gdzie więzione są dzieci – opowiada o jednej z takich akcji menedżer Kids Haven School. – Aż tu nagle widzę, jak z wyspy odpływają policjanci. Minęliśmy się z nimi na jeziorze. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zastaliśmy tylko miejsca po ogniskach. Jeszcze ciepłe. Skorumpowani funkcjonariusze uprzedzili masterworkera.

Nastawienie policji zmieniło się w połowie 2023 r. – Rząd Ghany ogłosił wtedy, że w kraju nie istnieje niewolnictwo dzieci – tłumaczy Kurpiewski. – Zachowaliśmy państwową licencję, która pozwala nam na odbieranie dzieci handlarzom i ich resocjalizację, ale obcięli nam całe dofinansowanie. Musielibyśmy się zamknąć, gdyby nie zdecydowana postawa pani Omeny, która powiedziała, że znajdzie pieniądze na szkołę.

Kiedy Basia miała 10-11 lat, przestała być już tylko służącą. Ciotka zaczęła spraszać do domu facetów

• **Pops Mensah-Bonsu po zakończeniu kariery zaangażował się w rozwój ghańskich dzieci poprzez koszykówkę**



• **Psycholog Raphael Karikari: Dzieci, które do nas trafiają, mają wzdęte z głodu brzuszki**



• **Ks. Piotr Wojnarowski: W Ghanie w niewoli jest kilkadziesiąt, może kilkaset tysięcy dzie**

Jednak akcje odbijania dzieci z niewoli stały się bardziej niebezpieczne. Wcześniej odbywały się przy wsparciu policji. Przynajmniej w teorii, bo w praktyce tylko wtedy, jeśli udało nam się znaleźć policjanta, który chciał pracować z poczucia obowiązku, a nie za łapówkę. Ale nawet tego zostaliśmy pozbawieni.

Raphael Karikari dorzuca: – Politycy, kierując się złe pojętą troską o wizerunek kraju, uznali, że jeśli nagle ogłoszą, że czegoś nie ma, to to przestanie istnieć. Absurd!

Jak mówi ks. Wojnarowski, rząd Ghany wykorzystał pretekst: – Amerykańska organizacja zajmująca się walką z niewolnictwem, która odbijała rocznie 100-200 dzieci, została oskarżona przez pewnego dziennikarza o nielegalne odebranie dzieci rodzinie. Podobno miało być tak, że dzieci pracowały u bliskiej rodziny, było biednie, ale nie działa im się krzywdą. Wybuchł skandal. Władze wykorzystały to jako pretekst do utarcia nosa zagranicznym organizacjom i ogłosiły, że niewolnictwa w Ghanie nie ma.

Główny, jak dodaje salezjanin, był już przygotowany: – Parę lat wcześniej okazało się, że nieuczciwi ludzie brali od państwa kasę na działanie sierocińca, tyle że w sierocińcu umieszczali dzieci z własnej rodziny. Też był z tego skandal. Patologie zdarzają się w każdym systemie i trzeba z nimi walczyć, ale tu wylali dziecko z kąpielą. W Sierra Leone współpraca z państwem wygląda dużo lepiej.

Po czterech porażkach Kurpiewski postanowił informować urzędy i policję o akcji nie przed jej przeprowadzeniem, ale już po fakcie.

Pytam Kurpiewskiego, czy nie boi się stawić się mafii. – Nie, bo nie jesteśmy dla nich realnym zagrożeniem. Czym jest kilkadziesiąt dzieci rocznie wobec dziesiątek czy setek tysięcy w całej Ghanie? – macha ręką.

Przyznaje jednak, że do jego poprzedniczki mierzono z broni. – Wiem, że i mnie może się to przydarzyć. Jestem jednak przekonany, że nic mi się nie stanie – usmiecha się. – Pewnego razu bus, którym jechałem, został zatrzymany przez facetów z długą bronią. Walili łufami w szyby, żebyśmy nie podnosili na nich wzroku. Zażądali połowy pieniędzy od każdego pasażera. I na tym się skończyło. Co mogą mi zrobić? Jestem Europejczykiem. Nie zastrzelą mnie, bo mar-

twy biały oznacza wielkie kłopoty. Mam w sobie spokój.

Jaki to ma sens

W Ghanie właśnie zmieniają się prezydent i rząd, ale Raphael Karikari nie wierzy, że politycy zajmą się niewolnictwem dzieci. – To nie jest budownictwo, gdzie mogą założyć łapówki w wysokości 10 proc. kontraktu – sarka.

Czy ten problem da się w ogóle rozwiązać systemowo? – Po pierwsze, ważne są dobra legislacja i współpraca państwa z NGO-sami. W Sierra Leone policja często sama do nas dzwoni: „Mamy tu dwie zgwałcone dziewczyny, odsyłamy je do was”. My otaczamy je opieką lekarską i terapeutyczną. A policja w tym czasie wysyła papiery do prokuratury. Jest proces, i jeśli uda się namierzyć przestępców, łądują w więzieniu – mówi ks. Wojnarowski. – W Sierra Leone prowadzimy też telefon zaufania. Miesięcznie dostajemy 20-30 zgłoszeń, po których podejmujemy interwencję.

Drugą kluczową według niego kwestią jest edukacja społeczna. – Rodzice muszą wiedzieć, jakie są ich prawa i obowiązki – dodaje. – Trzecia sprawa to walka z biedą, na przykład mikrokredyty, dzięki którym rodzice mogą rozkręcić jakiś biznes. Choćby rolniczy, bo w Afryce Zachodniej ziemia jest tak żyzna, że co dziś zasiejesz, to jutro zbierasz.

Wołają na obiad, więc wychodzimy z księdzem z łazienki. Na niebie nie ma już śladu po chmurzyskach. Słońce praży i koszula, z której dopiero co wyparowała deszczówka, dwie minuty później znów jest mokra. Od potu.

Idę na dziedziniec CPC i wybieram pierwsze wolne miejsce w labiryncie stołów. Z lewej mam Ewę Chodakowską. Tłumaczy mi, że 5 mln zł, czyli cały budżet budowy kompleksu sportowego, zebrała, ofiarując podczas aukcji charytatywnej Mensah i Brzoski fitnessowy wyjazd na Malediwy. Warunek: wpłata co najmniej 150 tys. zł.

Chodakowską widzę pierwszy raz w życiu, ale po minie wydaje mi się, że jest lekko oszolomiona. Potwierdza: dopiero do niej dotarło, co się w ogóle dzieje. Tutaj, wśród kilkudziesięciu roześmianych i malarycznie zakatarzonych buzi, miliony, które zebrała, przestały być abstrakcyjną kasą. Nie wiem, jak to jest zebrać taką sumę na rzecz dzieciaków, ale rozumiem, że niełatwo jej posklejać te klocki. No bo jak to: wystarczyło spędzić z bardzo zamożnymi ludźmi parę dni w pięknych okolicznościach przyrody, żeby dać tyle tyłu?

Po prawej Daniel palaszuje pikantny ryż. Naprzeciwko siedzi Pops Mensah-Bonsu. – Mnie też kiedyś ktoś pomógł i dzięki temu jestem dziś tym, kim jestem. Marzy mi się sytuacja, w której mógłbym przekazać to, czego sam się nauczyłem, milionom dzieci. A przy okazji uświadomić ludziom z Zachodu, z jakimi problemami mierzy się Afryka. Przecież łóżko czy dostęp do świeżej wody nie powinny być przywilejami, ale standardem, prawda? – mówi koszykarz.

Omenaa Mensah: – Wiem, że to kropla w morzu potrzeb. Czy to ma w ogóle sens? Pomyślmy o tym w inny sposób. Powiedzmy, że uda nam się tu wykształcić dziewczynkę, która potem zostanie lekarką i uratuje tysiące ludzkich żyć. Że wykształcimy przyszłego architekta, który zaprojektuje tysiące mieszkań. Reprezentanta Ghany w piłce nożnej, który zainspiruje miliony rodaków. Albo artystę, który za sprawą swojej sztuki będzie promował Afrykę na świecie – i znów pokaże młodym Ghańczykom, że się da, nawet jeśli było się dzieckiem ulicy. Pytam moich nowych znajomych, kim chcieliby zostać w przyszłości. Rita: – Pielęgniarką. Chcę pomagać innym dzieciom. Daniel: – Policjantem. Chciałbym mieć taką władzę, żeby wszystkie smutne dzieci z całego świata przywieźć tutaj. Do naszej szkoły. ●

• Imiona dzieci zostały zmienione ze względu na ich bezpieczeństwo

KONIEC INTERNETU

Jaki znamy. Żegnaj Google,
witajcie zamknięte czaty, X i ChatGPT

Z **NICHOLASEM THOMPSONEM**,
PREZESEM MAGAZYNU „THE ATLANTIC”
ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

**MATEUSZ MAZZINI: W jaki sposób
wyszukuje pan dziś informacje w inter-
necie?**

NICHOLAS THOMPSON: Dobre pytanie,
bo to cały czas się u mnie zmienia. Narzę-
dzia, których używam, zależą od rodza-
ju informacji, których w danym momen-
cie potrzebuję.

Na przykład?

– Tuż przed naszą rozmową przygotowy-
wałem się do innego wywiadu o charakte-
rze, który wymaga zgromadzenia sporej
ilości informacji na temat osoby, która bę-
dzie mnie odpytywać. Chcę dobrze zrozumi-
eć jej poglądy. Zacząłem od wyszukiwa-
rek konwersacyjnych napędzanych sztucz-
ną inteligencją – ChatGPT i Perplexity. Za-
dawałem im pytania, robiłem klasyczną bu-
rzę mózgów, symulowałem scenariusze tej
rozmowy. Potem wszedłem na X, przeczy-
tałem wpisy tej osoby, a kiedy zostało mi
już tylko kilka bardzo konkretnych rzeczy
do sprawdzenia – wpisałem je w Google’a.

Jak pan widzi, to bardzo złożony pro-
ces. Ale od niedawna, rozczłonkować
wyszukiwanie zacząłem w ostatnich kilku-
nastu miesiącach. Odszedłem od szukania
wszystkiego w Google’u czy DuckDuckGo,
coraz częściej używam narzędzi ze sztucz-
ną inteligencją.

Lecz zmiana, o którą – jak się domyślam
– tak naprawdę pan pyta, zachodzi nie tyl-
ko w wyszukiwaniu. Na naszych oczach
zmienia się sposób korzystania z całego in-
ternetu.

**Czyli? Myślałem, że rewolucja związana
ze sztuczną inteligencją wysadzi w po-
wietrze głównie wyszukiwarki.**

– Nie – ona dotknie każdego w sieci. Po-
grupuję kategorie tej rewolucji na wła-
snym przykładzie. Wyszukiwanie informa-
cji u mnie odbywa się głównie za pomocą
sztucznej inteligencji, a nie wpisywania ha-
seł w okno Google’a. W serwisach społecz-
nościowych przeszedłem z korzystania, na-
wet pasywnego, z samych platform do za-
mkniętych czatów grupowych. Natomiast
jeśli szukam newsów czy artykułów infor-
macyjnych, wchodzę bezpośrednio na stro-
ny mediów, którym ufam, albo czytam bez-
pośrednio konkretne wpisy na Substacku.

Dla mnie internet to trzy silosy, które
stają się coraz bardziej zamknięte i sperso-
nalizowane. I na tym polega esencja rewo-
lucji związanej ze sztuczną inteligencją.

**Kilka miesięcy temu przepowiedział
pan koniec otwartego internetu i maso-
wą migrację do zamkniętych przestrze-
ni. To już się dzieje?**

– W pana pytaniu są tak naprawdę dwa
różne pytania. Po pierwsze: czy użytkow-

nicy internetu na masową skalę przejdą
z wyszukiwania hasłowego do wyszu-
kiwarek konwersacyjnych? Tak. Ale dru-
gie pytanie brzmi: czy Google zatoni, czy
przetrwa rewolucję. Oni też budują swo-
ją wyszukiwarkę konwersacyjną, Gemi-
ni, będą więc próbowali się dostosować do
tych zmian.

Kiedy na to patrzę jako internauta, wy-
daje mi się to ekscytujące. Jednak jako ko-
goś, kto zarządza dużym medium, ta zmia-
na napawa mnie lękiem.

**Czy to dlatego podpisaliście umowę
z OpenAI? Jesteście jedną z kilku re-
dakcji, które udostępniają treści firmie
Sama Altmana, i ChatGPT ma wyświe-
tlać do nich odnośniki w swoich odpo-
wiedziach. Teoretycznie.**

– To tylko jedna z przyczyn. Zależy nam,
żeby wyszukiwarki konwersacyjne były jak
najbardziej przyjazne dla wydawców. Dla-
tego chcieliśmy zaangażować się w proces
ich powstawania najwcześniej, jak to moż-
liwe – żeby uczestniczyć w tworzeniu te-
go środowiska. Ten produkt nie jest jeszcze
ukształtowany do końca, więc dobrze, że
będziemy mieli wkład w proces jego two-
rzenia.

**Nie wszystkim to się spodobało. Pana
własna ekipa, dziennikarze „Atlanti-
ca” napisali kilka bardzo krytycznych
tekstów. Damon Beres, Matteo Wong
i inni autorzy mówili wręcz, że pan ich
sprzedał, bo żadna umowa z Doliną
Krzemową nigdy nie była dobra dla me-
diów. Facebook zabił BuzzFeeda, więc
dlaczego pan twierdzi, że OpenAI nie
zabije „Atlantica”?**

– Ma pan rację, w naszym magazynie by-
ło sporo krytyki tej decyzji. Ale argument,
który pan przytoczył – platformy społecz-
nościowe, które tną zasięgi i zjadają media
– uważam za niepełny.

To prawda, że ci, którzy podpisali umo-
wy partnerskie z Facebookiem, zwłaszcza
na publikowanie treści wideo, później te-
go bardzo żalowali. Zwłaszcza że dość na-
iwnie myśleli, że to partnerstwo potrwa
wiecznie, więc inwestowali głównie w ta-
kie formy przekazywania treści. Z tym się
nie da polemizować, tak samo jak z faktem,
że każda wielka firma, w tym firmy techno-
logiczne, mają swoje interesy i będą je po-
prostu realizować.

Ale to też nie jest tak, że Facebook jest
tylko złym bohaterem tej historii i pono-
si całą winę. Dzisiaj największa część sub-
skrypcji „Atlantica” pochodzi właśnie z re-
klam na Facebooku. Więc mówienie, że
z powodu serii fatalnych transakcji z gigan-
tami technologicznymi żadna taka transak-
cja w przyszłości nie będzie dobra dla me-
diów, jest błędem. W naszym przypadku
Facebook nadal jest partnerem. Nie może-
my powiedzieć, że nic nam nie daje.

Jeśli miałbym wyciągnąć jakikolwiek
wniosek z tej debaty, to raczej powiedział-

bym, że trzeba unikać głupich transakcji,
a nie transakcji z Big Techami. Każda oso-
ba zarządzająca mediami powinna starać
się zawierać inteligentne umowy – i tyle.

**A co czyni waszą umowę z OpenAI inte-
ligentną?**

– Będę w stanie na to odpowiedzieć dopie-
ro za parę lat. To, co w tej umowie mi się
podoba, to fakt uczestnictwa w budowaniu
ich produktu od samego początku. Im wię-
cej osób przejdzie z wyszukiwania bazowe-
go w Google’u do wyszukiwarek konwer-
sacyjnych, tym więcej użytkowników zys-
ka sam „The Atlantic” – tak w skrócie wy-
gląda logika naszego działania. W ideal-
nym świecie będziemy czerpać z doświad-
czeń OpenAI i sami rozwinieśmy narzędzia,
które pozwolą czytelnikom lepiej korzystać
z treści i zasobów magazynu.

Skoro pan nas śledzi, na pewno pan wie,
że mamy własne laboratorium sztucznej
inteligencji. Sami prowadzimy w tej chwi-
li kilka eksperymentów, a dzięki umowie
z OpenAI mamy pieniądze, bo oni nam
płacą za trenowanie swoich modeli na na-
szych danych.

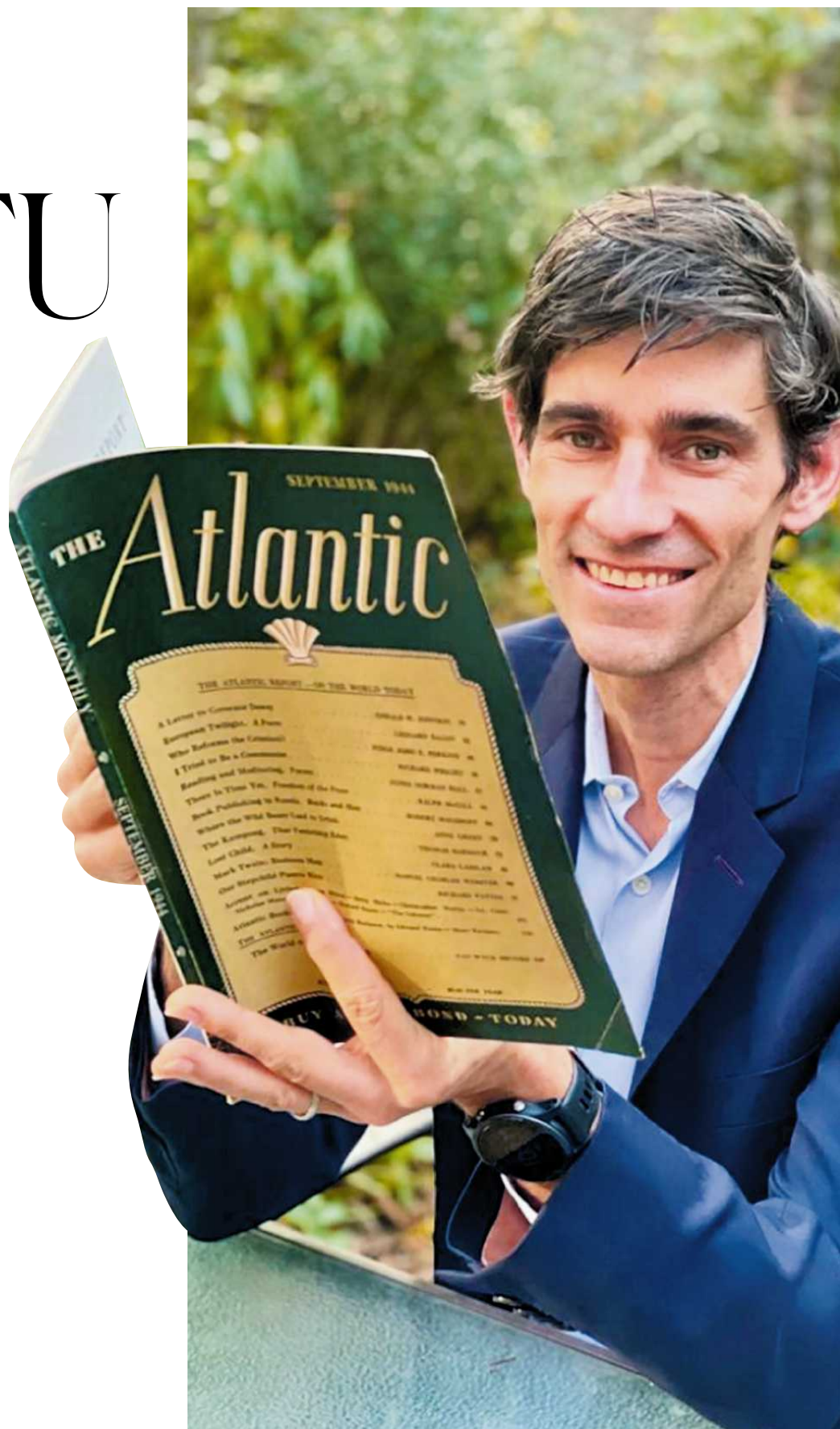
Chciałbym, żeby wszystkie firmy z te-
go sektora płaciły, to powinna być norma.
Jesteśmy na różnych etapach w rozmowach
z innymi podmiotami, staramy się,

by wszyscy płacili za nasze treści. I cho-
ciażby dlatego bronię takich kontraktów.
Bo trudno obronić argument, że lepiej pie-
niędzy za trenowanie modeli nie dostawać,
niż jednak je mieć.

**Zgadzam się, że pieniądze lepiej mieć,
niż ich nie mieć, ale kluczowe jest py-
tanie, ile tych pieniędzy się dostaje. Big
Techy, owszem, płacą, ale najczęściej
śmieszne pieniądze za korzystanie
z treści dziennikarskich. Jedni, jak wy,
podpisują nowe umowy. Ale inni, na
przykład „New York Times”, idą prze-
ciwko OpenAI do sądu.**

– Sprawa sądowa „New York Timesa” dzia-
ła na naszą korzyść. W sumie pomaga
wszystkimi w mediach. Sam fakt wniesie-
nia sprawy pokazuje, że treści medialne
mają dużą wartość. Jeśli oni wygrają, my
też zyskamy, bo taki wyrok trwale zmieni
zasady działania rynku trenowania mode-
li językowych. Na tekstach z naszego ma-
gazynu wytrenowano ogromną liczbę mode-
li, nawet nie wiemy, ile dokładnie. Jeśli
więc powstałby sądowy precedens nakazu-
jący każdej firmie płacenie za korzystanie
z naszych zasobów, nasza pozycja na pew-
no bardzo by się poprawiła.

Dodam też, że umowa z OpenAI będzie
obowiązywać tylko przez dwa lata. Potem





FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nicholas Thompson

• amerykański dziennikarz, wydawca, prezes spółki wydającej magazyn „The Atlantic”, jedną z najstarszych i najważniejszych amerykańskich publikacji. Wcześniej związany ze słynnymi magazynami „WIRED” i „The New Yorker”. Jeden z czołowych ekspertów w dziedzinie społecznych aspektów sztucznej inteligencji i cyfryzacji mediów. Biega ultramaratony, jest rekordzistą USA wśród mężczyzn na dystansie 50 km w grupie wiekowej 45+.

zobaczymy, co dalej. Jeśli sprawa „NYT” zostanie rozstrzygnięta do tego czasu, będziemy mieli więcej do powiedzenia w negocjacjach.

Oni w ogóle mają szanse?

– Mają. Nie powiem panu, czy więcej, czy mniej niż 50 proc., ale nie stoją na całkowicie straconej pozycji. Rozmawiałem z wieloma prawnikami i opinie, które usłyszałem, są bardzo różne. Na razie wiemy tyle, że jest jak w każdej sprawie sądowej – ludzie z redakcji „NYT” wierzą, że wygrają, podobnie OpenAI.

Sklejmy te wszystkie informacje w jedną całość. Otwarty internet zaraz zniknie albo utonie w śmieciach wytworzonych przez sztuczną inteligencję, wyszukiwanie przejdzie do narzędzi konwersacyjnych, a internauci pozamykają się w płatnych silosach. Co to oznacza dla mediów? Rewolucję czy bardziej gotowanie żaby?

– Coś pomiędzy żabą a gilotyną, żeby trzymać się pana metafor. „Atlantic”, podobnie jak większość podmiotów ze świata mediów, najwięcej użytkowników ma dzięki wyszukiwarkom bazowym, jak Google. Jeśli ruch w wyszukiwarkach spadnie albo w ogóle zniknie, to w nas uderza na każ-

dym poziomie: wpływów, finansów, prestiżu, oddziaływania na rzeczywistość. Dlatego musimy już teraz zbudować model biznesowy, który pozwoli nam przetrwać w ekosystemie ze znacznie mniejszą liczbą czytelników trafiających do nas przez wyszukiwarki.

Tylko jak to zrobić? Brzmi jak Święty Graal dzisiejszego dziennikarstwa.

– Ja akurat uważam, że to bardzo proste. Trzeba zbudować bezpośrednią, prawie intymną relację z odbiorcami. Informować ich o tym, co się robi – w naszym przypadku o przejściu do wyszukiwarek konwersacyjnych. Wzmacniać markę w obszarach, w których ma się silną pozycję już teraz. No i ryzykować, czasami robiąc rzeczy w poprzek trendów. Stąd na przykład wzięła się nasza decyzja o zwiększeniu częstotliwości wychodzenia „Atlantica” w druku. Ważne, żeby nie być aktywnym tylko na jednej płaszczyźnie, ale robić wszystkie te rzeczy naraz. Tylko tak zbuduje się finansową odporność w nieprzewidywalnym świecie, do którego wszyscy właśnie wchodzimy.

Wiemy, co zmiana technologiczna oznacza dla mediów. A dla społeczeństw?

– Na pewno zwiększenie nierówności. Już teraz do pewnego stopnia mamy do czynienia z dwoma równoległymi internetami – otwartym i zamkniętym.

Dobrym przykładem jest serwis Apple News, czyli coś na kształt internetowego osiedla grodzonego. Będąc tam, użytkownik ma świadomość, że wchodzi w interakcję z treściami lepszej jakości, napisanymi przez człowieka. Po drugiej stronie muru zostaje otwarty internet, który łąda moment zalegą bardzo niskiej jakości treści tworzone głównie przez boty. Jest już nawet na to nazwa: „gównoizacja internetu”. Każde medium, również „Wyborcza”, będzie musiała znaleźć sposób na wyróżnienie się na tle tych beznadziejnych wpisów, bo zapanuje chaos niewyobrażalny. Zaczniemy mieć do czynienia z coraz większą liczbą słabych tekstów, a wyszukiwarki stracą zdolność odsyłania cię do zewnętrznych stron z niezłymi treściami. To będzie Dzik Zachód.

Jest pan pewien, że jakiegokolwiek medium to przetrwa?

– Tak, bo jednocześnie powstanie ogromne zapotrzebowanie na treści stworzone przez ludzi. Użytkownicy będą mieć potrzebę obcowania z takimi artykułami, już przecież są w stanie za to płacić. Stworzy się ogromny rynek subskrypcyjny.

A skąd pan wie, że ludziom będzie zależeć na czytaniu tekstów napisanych przez innych ludzi, a nie przez roboty?

– Teksty i w ogóle rzeczy robione przez ludzi zawsze miały, więc i będą miały pewien instynktowny urok, który przyciąga użytkowników. Uważam, że sztuczna inteligencja tej potrzeby rękodziela nigdy nie zastąpi.

To po pierwsze, a po drugie, treści tworzone przez inteligentnych ludzi, którzy wiedzą, jak korzystać ze sztucznej inteligencji, będą o wiele lepsze jakościowo niż te stworzone przez same maszyny. Przynajmniej w najbliższej przyszłości. W tej chwili rzeczy, które AI produkuje na masową skalę, są bardzo słabe.

Ale ta różnica będzie maleć z czasem. Dlatego przewagę zyskają ci autorzy i te redakcje, które sztuczną inteligencję opamięją, wprowadzą do swojej pracy – oni będą jeszcze lepsi.

Jak próbujecie to robić w „Atlantiku”?

– To pytanie odnosi się do kwestii redakcyjnych, na które ja nie mam wpływu. Zajmuję się biznesowymi aspektami prowadzenia firmy mediowej. I na moim podwórku widać bardzo wyraźnie, że ci, którzy zajmą się sztuczną inteligencją wcześniej, wdrożą ją szybko w swoje codzienne procesy – wygrają.

A kto przegra poza technologicznymi maruderami? Całe społeczeństwa? Akurat w Ameryce wiecie coś o korelacji pomiędzy słabnącymi mediami a zagrożeniami dla demokracji.

– Nie wydaje mi się, że to pytanie dotyczy sztucznej inteligencji, choć zgadzam się, że ona jeszcze bardziej zaakcentuje już istniejące problemy czy nierówności. Przecież trend, że dobre publikacje chowają się za murem subskrypcyjnym, a słabszej jakości media pozostają otwarte, trwa już dekadę, o ile nie dłużej.

Rzecz w tym, że nie można być tu kategorycznym – albo jedno, albo drugie i nic pośrodku. „Atlantic” często publikuje w otwartym dostępie teksty, które uznajemy za ważne z punktu widzenia interesu społecznego. Poza tym uważamy, że trzeba dywersyfikować kanały docierania do odbiorców. Treści żadnej gazety nie powinny trafiać do czytelników tylko poprzez wydanie drukowane czy stronę internetową. Nasi dziennikarze chodzą do telewizji, radia, promują teksty w swoich serwisach społecznościowych. Mamy do naszych historii prawa autorskie, sprzedajemy je pod ekranizację, to też osobny kanał. I dzięki temu mamy zrównoważony model biznesowy.

Nieważne jak – ważne, że ktoś płaci za nasze strony. Nie znam w tej chwili lepszego sposobu na utrzymanie tytułu.

Jak ważny jest dla was druk?

– Wyda się to panu dziwne, ale całkiem ważny.

Nie jest to dziwne, znam sporo publikacji, które wciąż zarabiają na druku, nawet w Polsce.

– Teoretycznie w świecie mediów panuje konsensus, że druk umiera. Na pewno przychody z niego są coraz mniejsze, ale nie zgadzam się z tym, że druk to już droga

cesy, jak „New York Timesa”, albo właśnie przez legislację.

Inną dziedziną, w którą państwo mogłoby zainterweniować, jest wprowadzenie regulacji nakazujących oznaczenie treści wyprodukowanych przez AI. Powinno się mówić czytelnikom, że na przykład cały artykuł napisał jakiś agent modelu językowego, a nie człowiek. Ale co, jeśli zrobił to dziennikarz za pomocą chociażby Perplexity? Tu sprawa robi się bardziej skomplikowana, ale mimo wszystko uważam, że w interesie wszystkich – państwa, obywateli, dziennikarzy i samych firm technologicznych – jest wymuszanie informowania o autentyczności treści. Jeśli szukać sposobu na zabezpieczenie naszej demokracji, to właśnie tutaj.

Znowu muszę być sceptyczny. Skąd pan wie, że państwa będą w stanie to zrobić? Siła tak potężnego lobby jest olbrzymia. No i odwiecznym problemem regulowania firm technologicznych jest też fakt, że w administracji nie pracują najlepsi eksperci – bo tacy zawsze będą szli do sektora prywatnego, gdyż różnice finansowe są kolosalne.

– Zgadzam się z tym, że państwa nie będą w stanie zbudować własnej technologii – i nie powinny nawet próbować. Ale mają instrumenty prawne, żeby pewne rzeczy jednak wymusić. Każde państwo ma. Proszę zobaczyć, co zrobiono z producentami samochodów – są zobligowani do wbudowywania całej masy mechanizmów bezpieczeństwa albo ich auta nie zostaną dopuszczone do sprzedaży. To samo można zrobić ze sztuczną inteligencją.

W Polsce państwo długo nie chciało zająć stanowiska w sporze mediów z Big Techami. Reakcję wymusił dopiero skoordynowany protest największych redakcji.

To nie tak, że Facebook jest tylko złym bohaterem tej historii o wykańczaniu mediów i ponosi całą winę

w jedną stronę. W wielu miejscach wydania drukowane okazują się zaskakująco odporne na zmieniające się otoczenie.

Ta odporność wynika z tego, że w druku sztuczna inteligencja nie może namieszać. Na czym polega tak naprawdę czytanie drukowanego magazynu? Na bezpośredniej relacji czytelnika z wydawcą. Bierzesz do ręki gazetę, to wymusza koncentrację, inną formę interakcji. Jeśli próbujesz czytać coś na ekranie telefonu, natychmiast tysiąc rzeczy cię rozprasza. Atakują cię powiadomienia, ktoś pisze, dzwoni, jest chaos. Gazeta tego nie ma. Więc niewykluczone, że im bardziej internet będą zalewały beznadziejne treści od botów, tym większe będzie zainteresowanie drukiem. To paradoks – rola druku będzie maleć, ale znacznie wolniej, niż gdyby sztucznej inteligencji nie było.

Skoro w internecie czeka nas Dzik Zachód, to może państwo powinno ten chaos jakoś uregulować?

– Na pewno aparat państwowy mógłby i powinien uregulować jedną kluczową rzecz: zmusić firmy z obszaru sztucznej inteligencji do płacenia za dane, na których trenowane są ich modele. Rynek handlu danymi mógłby powstać na dwa sposoby: albo poprzez wygrane precedensowe pro-

– To jednak dwie różne historie. Jestem trochę sceptyczny wobec argumentu, że z platformami społecznościowymi czy z Google’em trzeba wyłącznie walczyć. To nie jest tak, że oni w ogóle nie płacą – można się spierać, czy płacą wystarczająco, czy za mało.

Na pewno trzeba próbować szukać systemowych rozwiązań – Kanada to zrobiła, Australia też, w Kalifornii prawie udało się przeforsować prawo dotyczące opłat za treści. Ale podstawą jest to, o czym już mówiłem: nie należy podpisywać głupich umów, i tyle.

Jeśli zadzwonię do pana za cztery lata – i wybieram taką liczbę nie przez przypadek, to jedna kadencja prezydencka – nadal będzie pan pracował dla niezależnej firmy mediowej, która wydaje magazyn wychodzący także w druku?

– Na pewno. Odpowiem twierdząco na oba pytania: i o istnieniu niezależnych mediów w USA, i o druk. Są oczywiście problemy, które trzeba rozwiązać: sztuczna inteligencja czy brak zainteresowania drukiem najmłodszych czytelników. Jasne, że nasz sektor przez ostatnie 20 lat radykalnie się skurczył – i będzie się nadal kurczyć. Ale nawet w coraz mniejszej i słabszej branży można osiągnąć sukces. ●



MIESZKANIE DLA KAŻDEGO

— wiedeńska utopia

**Mają od 40 do 120 metrów kwadratowych i stały, obniżony czynsz.
Do wyboru jest sporo lokalizacji, mieszkania są w każdej dzielnicy Wiednia**

Katarzyna Brejwo

Mieszkanie ma dwa pokoje i balkon z widokiem na zielony skwerek. Mieści się w nowym budynku, z windą i pomieszczeniem na rowery na parterze. W okolicy sklepy, kawiarnie i park na siedmiu hektarach. Czynsz: 300 euro miesięcznie, czyli równowartość 1294 złotych. W Warszawie trudno byłoby wynająć mi za te pieniądze kawalerkę, w Wiedniu mogę mieć 45 metrów kwadratowych na nowym osiedlu, piętnaście minut tramwajem od centrum.

Jak to możliwe? Mieszkanie, które właśnie oglądam, należy do miasta. Wiedeń, który od lat zwycięża w rankingach badających jakość życia, ma 220 tysięcy lokali komunalnych (Gemeindewohnungen) i 200 tysięcy dotowanych mieszkań spółdzielczych (Genossenschaftswoh-

nungen) – najwięcej w Europie. Z obu form miejskiego najmu korzysta ponad 60 proc. mieszkańców; co czwarty mieszka w budownictwie komunalnym.

Miasto oferuje im umowę na czas nieokreślony i niski, regulowany czynsz – 6,67 euro netto za metr kwadratowy. Coś, o czym mieszkańcy Warszawy, Berlina czy Barcelony mogą tylko pomarzyć.

NIE TYLKO DLA NAJBIEDNIEJSZYCH

Na potrzeby tego tekstu wcieliłam się w 28-latkę po studiach, która nie ma mieszkania po babci, bogatych rodziców ani większych oszczędności na koncie. Zapukałam do biura Wiener Wohnen, wiedeńskiej instytucji zarządzającej mieszkaniami komunalnymi, żeby zapytać, czy mam szansę na mieszkanie od miasta.

– Wizyta w urzędzie nie jest konieczna – poinformowała mnie na dzień dobry urzędniczka. – Wszystkie formalności może pani załatwić przez internet.

Żeby złożyć wniosek, trzeba mieć ukończone 17 lat (18 w momencie podpisywania umowy). Brak austriackiego obywatelstwa to nie problem, ale muszę mieszkać pod tym samym adresem w Wiedniu co najmniej od dwóch lat.

I najważniejsze, moje dochody nie mogą przekraczać ustalonego progu. Dla jednej osoby jest to 4114,29 euro netto miesięcznie, dla dwóch – 6130,71, a dla gospodarstwa trzy- i czteroosobowego odpowiednio 6937,86 i 7744,29 euro.

– Mieszkania komunalne nie są dla najbiedniejszych – tłumaczy Veronika Iwanowski z Wiener Wohnen. – Nie chcemy tworzyć gett, zależy nam, żeby obok siebie mieszkaly osoby o różnych dochodach. Przy średnich zarobkach wynoszących w Wiedniu 1800 euro, do otrzymania mieszkania komunalnego kwalifikuje się 80 proc. mieszkańców.

Faktycznie, nawet na warunki austriackie 4114,29 euro miesięcznie to spora kwota. Tyle może zarobić grafik, księgowy albo architekt. Przedstawiciele klasy średniej, którzy w Polsce na lokal od miasta nigdy nie mieliby szans.

Jeśli za kilka lat zacznę zarabiać więcej niż ustalony próg, tłumaczy dalej Iwanowski, zachowam prawo do mieszkania. Co więcej, umowę będę mogła przenieść na swoje dzieci.

– Gdyby każda osoba, która osiągnie wyższe dochody, musiała się wyprowadzać, mielibyśmy dużą rotację lokatorów. A my chcemy, żeby społeczności, które tworzą się w budynkach komunalnych, były stabilne. Ludziom, którzy się znają, którzy już nawiązali więzi, łatwiej jest się zorganizować i wspierać.

Na koniec trzeba jeszcze uzasadnić tak zwaną potrzebę mieszkaniową. W przypadku mojej 28-latki nie powinno być problemu: osoba poniżej 30. roku życia, która 10 lat mieszkała z rodzicami i nie ma własnej nieruchomości, kwalifikuje się do otrzymania lokalu komunalnego w ramach programu pierwszego mieszkania.

Ale „potrzebę mieszkaniową” może też zgłosić para, która wynajmuje ciasną kawalerkę, a spodziewa się dziecka. Emerytka, która całe życie mieszkała w kamienicy bez windy, a po operacji biodra nie ma siły wspinać się na czwarte piętro. Albo samotny rodzic, który po rozwodzie musi się wyprowadzić ze wspólnego mieszkania.

PODATEK OD LUKSUSU

Pierwsze komunalne budynki zbudowano w Wiedniu ponad sto lat temu. Powojenna inflacja i napływ uchodźców po rozpadzie imperium Habsburgów sprawiły, że sytuacja mieszkaniowa w mieście była tragiczna. Ponad połowa wiedeńczyków nie miała własnego łóżka.

– Żeby zapłacić czynsz, wielu lokatorów podnajmowało miejsca do spania tak zwanym Bettgeher. Kiedy jedna osoba wstawiała rano, żeby iść do fabryki, inna, wracająca z nocnej zmiany, zajmowała jej łóżko. Gruźlica była tak powszechna, że nazywano ją chorobą wiedeńską – opowiada Lili Bauer, kuratorka i badaczka historii Czerwonego Wiednia, jak w międzywojniu nazywano miasto pod rządami socjalistów.

W 1919 roku wybory wygrała Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Austrii (poprzedniczka dzisiejszej SPÖ), a kiedy trzy lata później Wiedeń wyodrębnił się jako osobny kraj związkowy, rozpoczęto ambitny program budowy mieszkań komunalnych. Żeby go sfinansować, władze wprowadziły progresywny podatek mieszkaniowy, Wohnbausteuer, a także podatki od dóbr luksusowych.

– Zostały one pomyślane tak, żeby nie obciążać klasy robotniczej i średniej, tylko sięgnąć do kieszeni najbogatszych – tłumaczy Bauer. – Weźmy podatek od służby. Jeśli zatrudniałeś jedną gospozię, co w wielu domach było powszechne, nie musiałeś płacić nic. Podatek od drugiej zatrudnionej osoby wynosił 50 szylingów, trzeciej – 350, i tak dalej. Rothschildowie, którzy mieli około 50 służących, płacili już całkiem sporo.

Podatkami od luksusu objęto rozrywkę – 5 procent od każdego biletu do teatru, 7 procent od koncertów, ale za kino i wyścigi konne, które uważano za mniej wartościowe formy spędzania czasu, pobierano odpowiednio 28 i 33 procent. Opodatkowano też alkohol, posiłki w restauracji, samochody i konie. Na propagandowym plakacie z tamtego okresu czerwona ręka sięga po jedną z trzech butelek szampana, które chłodzą się w wiaderku, a w tle kuli się przerażony jegomość z brzuszkiem, czyli stereotypowy przedstawiciel burżuazji.

– Warto zwrócić uwagę na to, jak skutecznie wykorzystywano wówczas słowo „podatek” – mówi Bauer. – Dziś każdy polityk wystrzega się go jak ognia, a na fasadach wielu budynków z tamtego okresu można przeczytać dumną deklarację: „Wybudowano dzięki Wohnbausteuer”.

DOM Z TYSIĄCEM MIESZKAŃ

Do 1934 roku, kiedy władzę w Wiedniu przejęli austrofascyści, w mieście udało się wybudować 64 tysięcy mieszkań w 380 budynkach. Niektóre z nich to proste modernistyczne bloczki, inne, nazywane pałacami proletariatu, rozmachem przypominają zamki albo opactwa – mają monumentalne wieże, bramy o łukowatych sklepieniach, przestronne dziedzińce i zdobienia w stylu art déco.

Projektowano je tak, żeby znalazło się miejsce na place zabaw, tereny zielone, przedszkola i przychodnie lekarskie, bo w nowym budownictwie miał zamieszkać nowy człowiek – sprawny, odpowiedzialny, nowoczesny.

– Każde mieszkanie musiało mieć balkon albo duże okna, zgodnie z zasadą „światło, powietrze

• **Wiedeń. Budynek komunalny na osiedlu mieszkaniowym Am Schöpfwerk w 23. dzielnicy**

FOT. ALAMY STOCK
PHOTO / BE&W



Karolina w Polsce jako samotna matka nie miała szans na kredyt, a tułaczkę po wynajmowanych mieszkaniach wspomina jako koszmar.
– W Wiedniu po raz pierwszy mam dom, z którego nikt mnie nie wyrzuci



• **Lokal komunalny w bloku z lat 30. W 1984 r. miasto zaczęło program remontowy. Dziś 75 proc. mieszkań w takich blokach jest po renowacji**

FOT. ALAMY STOCK
PHOTO / BE&W

i słońce”. Do tego obowiązkowo dwa pokoje – salon z kuchnią i przynajmniej jedna sypialnia – żeby oddzielić strefę dzienną od prywatnej; kran z bieżącą wodą i toaleta – wylicza badaczka.

Najsłynniejszy superblok z tamtego okresu, Karl-Marx-Hof, ma ponad kilometr długości, 98 klatek schodowych i 1382 mieszkania.

W klatce numer 99, należącej do osobnego budynku w środku kompleksu, tam, gdzie kiedyś mieściła się łazienka dla mieszkańców, Lili Bauer z mężem prowadzi muzeum poświęcone osiągnięciom Czerwonego Wiednia. Mówi, że dwudziestolecie międzywojenne to niedoceniany okres w austriackiej historii, a przecież wtedy udało się sformułować podstawowe przesłanie socjaldemokratycznego miasta – że mieszkanie nie jest towarem, tylko dobrem wspólnym, zdrowym, jasnym i dostępnym dla wszystkich.

ELASTYCZNY ROZKŁAD

W urzędzie dowiaduję się, że na mieszkanie komunalne czeka się do półtora roku; na liście oczekujących jest obecnie 15 tysięcy osób, z czego połowa mieszka już w lokalu komunalnym i chce go zamienić na większy.

Dawniej lokatorom proponowano dwa mieszkania; jeśli odrzucili obie oferty, wracali na koniec kolejki.

– Zarzuciliśmy ten system, żeby nie zmuszać ludzi do przyjmowania ofert, które tak naprawdę nie spełniały ich oczekiwań. W końcu w naszym interesie jest, żeby najemca był zadowolony – mówi Veronika Iwanowski. Teraz ogłoszenia o wolnych lokalach trafiają na portal, do którego dostęp mają lo-

katorzy komunalni, i można w nich wybierać jak w ofertach biura nieruchomości.

Mieszkania mają od 40 do 120 metrów kwadratowych powierzchni i stały czynsz. Do wyboru jest sporo lokalizacji, bo budynki komunalne znajdują się praktycznie w każdej dzielnicy Wiednia. Różny jest też standard – obok monumentalnych kompleksów z lat 20. i wielkiej płyty z lat 80. trafić można na nowoczesne osiedla, jak Seestadt-Aspern.

To miasteczko zbudowane praktycznie od zera na terenie dawnego lotniska, z własną stacją metra, terenami zielonymi, sklepami, szkołą, przedszkolem i jeziorem, które latem zamienia się w osiedlowe kąpielisko. Część tutejszych mieszkań wybudowano w systemie SMART – są kompaktowe, mają elastyczny rozkład, co oznacza, że lokatorzy mogą łatwo wydzielić dodatkową sypialnię albo pokój do pracy.

– Społeczeństwo się zmienia, więc nie możemy cały czas budować tak jak 40 lat temu – tłumaczy Iwanowski. Przy wiedeńskim magistracie działa specjalny zespół, który na bieżąco analizuje potrzeby mieszkaniowe. Na tej podstawie ustalana jest strategia na najbliższe lata, czyli: ile, jak i gdzie budować.

– Zauważyliśmy na przykład, że rośnie liczba osób samotnie wychowujących dzieci, więc w 2020 roku do kryteriów otrzymania mieszkania komunalnego dodaliśmy samodzielne rodzicielstwo. Z myślą o takich osobach powstała pula mieszkań, które mają mniejszy metraż i ściany regipsowe, żeby łatwo można było zmienić układ pokoi. Na przykład najemca może wydzielić pokój dla dziecka, a kiedy nie będzie już potrzebny, połączyć go z salonem.

Do 2026 roku, dodaje urzędniczka, Wiedeń zamierza wybudować 4000 nowych mieszkań komunalnych.

JAK W PARKU

Rosa przed emeryturą pracowała jako ekspedientka, najpierw w sklepie mięsnym, potem obuwniczym. Jej mąż był piekarzem. Do Karl-Marx-Hof wprowadzili się w 1972 roku. Starszy syn miał wtedy dwa lata, drugi urodził się już tutaj.

– Na początku nie mieliśmy łazienki, więc dzieci kąpało się w wanience w kuchni. Dorośli chodzili do łazni na pierwszym piętrze – wspomina.

Z czasem dobudowali łazienkę z prysznicem, wymienili stare okna, położyli nowy parkiet. Po wszystkich remontach ich mieszkanie nadal ma kategorię C, co w wiedeńskiej nomenklaturze oznacza najniższy standard, a jednak Rosa mówi, że nigdy w życiu by się stąd nie wyprowadziła.

– Wszystko mamy blisko: sklepy, lekarza, fryzjera, do metra pięć minut piechotą – zachwala. – A przy tym cisza i spokój. Z okien widzę drzewa, więc jak nie mam siły na spacer, siadam na balkonie i czuję się jak w parku.

Działkę, na której stoi Karl-Marx-Hof, zabudowano tylko w 18 procentach, resztę zajmują tereny zielone. Poszczególne części kompleksu zaprojektowano tak, żeby budynki tworzyły czworobok z dużym dziedzińcem pośrodku. Kiedy dzieci były małe, można było zostawić je na podwórku bez obaw, że wpadną pod samochód, mówi Rosa.

Minusy? – Mamy 50 metrów kwadratowych, więc kiedy chłopcy zaczęli dorastać, zrobiło się ciasno. Jeden grał w piłkę i tenisa, drugi nurkował,

więc na balkonie mieliśmy prawdziwy magazyn sprzętu sportowego.

Przez jakiś czas rozważali, żeby zamieścić mieszkanie na większe. Kiedy sąsiadka obok zmarła, znajomi namawiali ją, żeby wzięła drugi lokal. Innym razem znalazła ogłoszenie, że do wynajęcia jest 66 metrów w sąsiednim budynku.

– Ale teraz płacimy 300 euro, a tam czynsz był prawie dwa razy większy – mówi. – Musiałabym wziąć drugą pracę, a wtedy widywałabym dzieci tylko wieczorem. A jaki sens ma wielki metraż, skoro nie masz czasu na życie?

Razem z mężem uznali, że lepiej zapisać synów na własne mieszkania. Starszy, który pracuje w policji, wyprowadził się w wieku 20 lat do Gemeindebau w tej samej okolicy. Młodszy, kierowca autobusu, dostał lokal w sąsiedniej dzielnicy.

DWA MIESIĄCE BEZ WINDY

Sukces wiedeńskiego modelu, podkreśla wielu badaczy, polega na tym, że w mieście nie ma gett skupiających mieszkańców z problemami, a komunalny adres nie wiąże się ze stygmatyzacją. Zamiast stawiać ogromne osiedla bloków na peryferiach, socjaldemokraci od początku dbali o to, żeby Gemeindebau powstawały w każdej dzielnicy Wiednia.

– Nigdy nie mieliśmy tutaj płonących przedmieść jak w Paryżu – podkreśla Lili Bauer.

Mimo to budownictwo komunalne nie obroniło się przed negatywnymi skojarzeniami. Ich uosobieniem jest choćby bohater popularnego serialu „Wir leben in Gemeindebau” Maxl – niewykształcony, niezbyt rozgarnięty, pozbawiony ambicji, wiecznie z piwem w ręce.

Nawet Lili Bauer przyznaje, że budownictwo komunalne przeżywało wizerunkowy kryzys w latach 80. Wiele bloków, które wybudowano jeszcze przed wojną, wymagało remontu. Poszarzałe fasady sprawiały ponure wrażenie, zniechęcał mały metraż mieszkań i brak wind.

– Jeśli ktoś miał pieniądze, wyprowadzał się gdzieś, gdzie było ładniej: do zadbanej kamienicy, prywatnego budynku albo domu za miastem.

Na miejscu zostawali ci, których nie było stać na najem na wolnym rynku. Często imigranci, którzy przyjechali do pracy fizycznej i szukali najtańszego zakwaterowania.

– Na naszym podwórku mówiło się po turecku – wspomina Esra Özmen, raperka, córka tureckich gasterbeiterów, która wychowała się w Sandleiten-Hof, jednym z największych kompleksów mieszkań komunalnych w Wiedniu. – Zdarzało się, że jak byliśmy za głośno, jakiś starszy lokator wyglądał z okna i krzyczał, żebyśmy wracali do siebie. Nie rozumiałam wtedy, o co mu chodzi, bo przecież byłam u siebie, urodziłam się w tym mieście.

Pracownica socjalna, która chce zachować anonimowość, podobne konflikty tłumaczy różnicami kulturowymi. I potrzebami mieszkańców, które zmieniają się wraz z wiekiem. – Wyobraźmy sobie kilka licznych rodzin, na przykład tureckich, które spotykają się wieczorem na podwórku. Piją herbatę, rozmawiają, wokoło bawią się dzieci. A starsi mieszkańcy chcieliby mieć ciszę i spokój – opowiada. – Czasem dochodzi do tego poczucie samotności, bo na dole jest jakaś wspólnota, toczy się życie towarzyskie, a ta starsza osoba jest z niego wykluczona, bo nie zna języka.

Rosa, emerytka z Karl-Marx-Hof, mówi, że kiedyś знаła każdego sąsiada w swojej klatce. Zanim 30 lat temu zainstalowano windę, ludzie cały czas mijali się na schodach, przystawali na pogawędkę. Życie towarzyskie toczyło się też na dziedzińcu, gdzie bawiły się dzieci.

– Z dawnych mieszkańców tylko myśm z mężem zostali, wszyscy inni poumierali. Ostatnio podliczyłam, że mieliśmy już 20 pogrzebów.

**Ania i Tomek mogliby
zaciśnąć zęby, wziąć kredyt
i kupić coś własnego.
Tylko po co?
Pieniądze wolą przeznaczyć
na wakacje w ciepłych
krajach czy podróże
do Krakowa,
gdzie mają rodzinę**

Pierwsza imigrancka rodzina wprowadziła się do ich klatki sześć lat temu. Ojciec, Hindus, świetnie mówi po niemiecku. Dzieci na początku były onieśmiałe, teraz na jej widok wołają: „Babcia idzie!”. Większych konfliktów między sąsiadami nigdy nie było, chociaż raz – przypomina sobie emerytka – do mieszkania obok przyjechała policja.

– Mężczyzna, który się tam wprowadził, ma zespół Tourette’a i bywa agresywny. Pokłócił się z opiekunem, a potem rozbił pięścią szybę w windzie – opowiada Rosa i zaraz dodaje, że do sąsiada nie ma pretensji, bo to nie jego wina, że choruje psychicznie. Gorzej, że naprawa windy zajęła dwa miesiące. – Mąż po operacji ma kłopoty z chodzeniem, a i mnie trudno było się wspinać na trzecie piętro.

SĄSIEDZI GRAJĄ I ŚPIEWAJĄ

Mieszkańcy starszych Gemeindebau, z którymi rozmawiam, bardziej niż na sąsiadów narzekają na przedłużające się naprawy. W jednym budynku zepsuły się drzwi, a zanim wstawiano nowe, w piwnicy zaczęli się zbierać bezdomni. W innym lokatorzy nie mogli się doczekać wymiany przepalonej żarówki w korytarzu. Trudno, żeby było inaczej, skoro jedna firma musi zarządzać ćwierć milionem mieszkań – słyszę. – Jeśli miasto wyciągnęło z lat 80. jakąś lekcję, to taką, że budownictwo komunalne musi być nie tylko tanie, ale i atrakcyjne – uważa Lili Bauer. – Inaczej nie da się zatrzymać w nim osób o różnych dochodach, z różnych warstw społecznych.

W 1984 roku miasto rozpoczęło wielki program remontowy. Dziś 75 procent budynków komunalnych jest po renowacji. Remont kilometrowego Karl-Marx-Hof trwał pięć lat – więcej niż jego budowa. W słoneczne popołudnie, kiedy przychodzi tam porozmawiać z Rosą, słynny superblok wygląda całkiem przyjemnie – od kremowej fasady odbija się słońce, chodniki są czyste, trawnik przystrzyżony.

– Tam, gdzie obok siebie mieszkają różne osoby, zawsze może dojść do konfliktów – mówi Veronika Iwanowski. Dlatego miasto powołało specjalny zespół, Wohnpartner, który pomaga rozwiązywać spory między mieszkańcami, a także organizuje różne wydarzenia dla lokatorów, żeby mogli się lepiej poznać i zintegrować. – Mamy sąsiedzkie ogrody, festyny, turnieje szachowe, a nawet chór komunalny. Dla imigrantów – kursy niemieckiego. W 21. Dzielnicy działa Frauencafe, gdzie spotykają się kobiety z różnych krajów.

Rosa chwali klub emeryta, który mieści się w północnym skrzydle Karl-Marx-Hof. Można tam uczyć się angielskiego, zapisać na wycieczkę lub koncert albo po prostu wpaść na kawę czy ciastko.

BUDOWA Z DOTACJĄ I BASENEM NA DACHU

Osiedle, które odwiedzam na północy Wiednia, przypomina nowoczesne projekty, jakimi kuszą klientów polscy deweloperzy. Z jedną różnicą – jest tutaj przestrzeń, zieleni i oddech. Budynki nie stoją ciasno jeden

przy drugim, więc lokatorzy nie zaglądają sobie w okna. Większość balkonów wychodzi na zadrzewione podwórko, na którym znalazło się miejsce na trzy place zabaw, boisko dla dzieci, trawniki ze starannie wytyczonymi alejkami. I dwa parterowe domki, z których jeden okazuje się garażem na rowery, a drugi, z tabliczką Kinderhaus, pełni funkcję wspólnego pokoju zabaw. Przez okno widzę stoły do ping-ponga i piłkarzyki, a także kilka materacy gimnastycznych.

– To miejsce, gdzie dzieciaki mogą się spotkać i wyszaleć, kiedy pada deszcz – wyjaśnia mi jedna z matek, które urządziły sobie piknik przy drewnianym stole. Na dachu największego budynku, dodaje jeszcze, znajduje się basen dla mieszkańców. Otwarty, więc działa tylko latem. A zaraz obok, wkomponowane w architekturę osiedla jest przedszkole z dużym ogrodem.

To osiedle mieszkań spółdzielczych (Genossenschaftwohnungen). Powstały dzięki dotacji miasta, ale ich budowę i utrzymaniem zajmuje się GVB, czyli towarzystwo budowlane przypominające nasz TBS. W Wiedniu jest 200 tysięcy takich mieszkań, a zarządza nimi 58 różnych GVB. – One mogą mieć różny status, od spółek akcyjnych po spółdzielnie, ale wszystkie muszą się trzymać Limited Profit Housing Act. Czyli ustawy, która reguluje ich prawa i obowiązki – tłumaczy Iwanowski.

– I jakie to obowiązki? – Choćby taki, że jeśli deweloper chce budować z dotacją miasta, jego projekt musi spełnić cztery kryteria jakości: ekologiczne, ekonomiczne, architektoniczne i społeczne sustainability, czyli zrównoważonego rozwoju społecznego. Dopiero wtedy może stanąć do przetargu. Jeśli projekt zostanie oceniony pozytywnie, miasto sfinansuje jedną trzecią kosztów budowy.

ŻYCIE BEZ KREDYTU

Ania i Tomek, oboje z południa Polski, do swojego spółdzielczego mieszkania wprowadzili się dziewięć lat temu. 72 metry, ładny rozkład: osobna kuchnia, duży salon, dwie sypialnie oddzielone od dziennej części mieszkania. Okna na dwie strony, więc w upał da się przewietrzyć. Do dyspozycji mieszkańców wspólny ogród i pokój zabaw, gdzie ich dzieci, kiedy były młodsze, mogły do woli skakać na trampolinie i jeździć na biegowych rowerkach.

Żeby otrzymać mieszkanie dotowane, trzeba mieć wkład własny – w zależności od dewelopera wynosi on od 50 do 70 euro za metr kwadratowy. – My włożyliśmy 42 tysiące euro – mówi Ania.

Jak się wprowadzali, czynsz wynosił 600 euro, teraz płacą 850. Sporo, ale i tak wychodzi taniej niż wynajem na rynku komercyjnym. Za podobne mieszkanie w budynku kawalek dalej, mówi Ania, prywatny właściciel życzył sobie 200 euro więcej.

Oboje mają stałą pracę – ona w żłobku, on w firmie budowlanej – więc teoretycznie mogliby zaciśnąć zęby, wziąć kredyt i kupić coś własnego. Tylko po co? Pieniądze, które musieliby wydać na spłatę rat, wolą przeznaczyć na coś innego: wakacje w ciepłych krajach, lekcje angielskiego dla dzieci, podróże do Krakowa, gdzie mają rodzinę.

Poza tym mieszkanie spółdzielcze można po 10 latach wykupić, a wtedy od ceny odejmowane są wkład własny i suma wpłaconych czynszów. Im został jeszcze rok, ale jeszcze nie wiedzą, czy się zdecydują. Na razie myślą o remoncie. Chcieliby podzielić dodatkowy pokój, żeby każde z dzieci miało osobną sypialnię, mówi Ania. Po wrocie do Polski raczej nie planują.

Wracać nie chce też Karolina, która w Wiedniu pracuje jako recepcjonistka. W Polsce jako samotna matka nie miała szans na kredyt, a tulączkę po wynajmowanych mieszkaniach wspomina jako koszmar. Z taniej kawalerki w kamienicy musiała się wyprowadzić, kiedy właściciel postanowił przekazać ją wnuczkowi. Z dwóch pokoi na nowym osiedlu wyгнаły ją podwyżki czynszu (dwie w ciągu roku).

– Kiedy masz dziecko, każda taka zmiana to dodatkowy stres. Zapisuję synka do przedszkola pod blokiem, a tak naprawdę nie wiem, ile my w tym bloku będziemy mieszkac. Jak nam właściciel wypowie umowę, to mam miesiąc, żeby znaleźć coś nowego w tej samej okolicy. Bo jak wyładujemy na drugim końcu miasta, to albo muszę zmienić małemu przedszkole, albo będę go wozić dwoma autobusami – mówi. W Wiedniu dostała mieszkanie komunalne, dwa pokoje w spokojnej dzielnicy. – Układałam z synem zabawki i pomyślałam: po raz pierwszy mam dom, z którego nikt mnie nie wyrzuci.

UTOPIA

Veronika Iwanowski o komunalnych osiedlach opowiadała już wiceburmistrzynie Kijowa, senatorowi z Hawajów, urbanistom i architektom z Niemiec, Francji i Czech, a w zeszłym roku – delegacji polskiej Lewicy. Nie ma tygodnia, żeby ktoś z zagranicy nie przyjechał sprawdzić, jak działa tułejsza polityka mieszkaniowa i czy da się ją przenieść na inny grunt.

Ale „wiedeńska utopia” ma też swoich krytyków. Najbardziej znany z nich, berliński ekonomista Harald Simons, w analizie z 2020 roku ocenił wiedeński model jako „niepewny, generujący konflikty, biurokratyczny, nieprzejrzysty i niesprawiedliwy społecznie”. A przede wszystkim niezwykle kosztowny.

W biurze Wiener Wohnen wysłuchując tych zarzutów spokojnie.

– Budownictwo komunalne jest finansowane z podatku mieszkaniowego, który wynosi 0,5 proc. dochodu brutto. Wiedeń z tych wpływów otrzymuje co roku 250 milionów euro. Łącznie miasto inwestuje w programy mieszkaniowe około 400 milionów euro rocznie – tłumaczy Iwanowski. – Większość tych środków przeznaczanych jest na budowę nowych mieszkań i renowację starszych, bo jedna trzecia naszych zasobów ma ponad 100 lat. Część idzie także na wsparcie osób, które mają problem z zaplaceniem czynszu. Uważamy, że lepiej proaktywnie inwestować w dostarczanie dostępnych mieszkań, niż reaktywnie płacić za likwidację szkód, choćby takich jak nierówność społeczne.

Czy ten model da się przenieść do innych miast? Na pewno nie w 100 procentach. Problemem są choćby grunty. Kiedy w latach 20. XX wieku w Wiedniu powstawały pierwsze budynki komunalne, miasto mogło tanio kupić ziemię, bo jej trzymanie w celach inwestycyjnych stało się nieopłacalne z powodu wysokich podatków. Dużych zakupów dokonano także w latach 70. i 80., kiedy spadała liczba mieszkańców. Obecnie miasto ma 3,1 miliona metrów kwadratowych ziemi, która może zostać przeznaczona na budownictwo komunalne i spółdzielcze.

Drugą istotną kwestią jest stabilność polityczna. Wiedeń od 1919 roku rządzony jest przez socjaldemokratów, z wyjątkiem czterech lat dyktatury austrofaszystowskiej, kiedy to partia została zdelegalizowana, i siedmiu lat nazizmu. Nawet gdyby kolejne wybory wygrali konserwatyści, trudno byłoby im zlikwidować system, do którego wiedeńscy przyzwyczaili się przez ostatnie 100 lat z okładem.

Inspiracją mogą być pewne rozwiązania prawne, mówi urzędniczka. W 2018 roku w Wiedniu wprowadzono ustawę, zgodnie z którą dwie trzecie mieszkań budowanych na gruntach o powierzchni przekraczającej 5000 metrów kwadratowych muszą stanowić lokale o obniżonym czynszu.

Ale największym wyzwaniem jest zmiana myślenia. – Mieszkanie powinno być prawem człowieka, a nie przedmiotem spekulacji – przekonuje Iwanowski. – Ostatecznie to centrum naszego życia. Jeśli człowiek nieustannie czuje się zagrożony, że właściciel wypowie mu umowę, albo poświęca większość dochodów na spłatę kredytu, to jaką to życie ma jakość? ●

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Pierwszy prezydent z TikToka

Rosja nie potrzebuje TVN, żeby zrobić to, co zrobiła w jednym z najważniejszych państw NATO.

Mateusz Mazzini

Io, co wydarzyło się w Rumunii w grudniu, jest fundamentalnie ważne dla rozumienia współczesnych mechanizmów demokracji.

Oto Calin Georgescu, 62-letni były doradca organizacji międzynarodowych, znany m.in. ze stwierdzenia, że „jedyną prawdziwą nauką jest nauka Jezusa Chrystusa”, wygrywa pierwszą turę wyborów prezydenckich w jednym z najważniejszych strategicznie państw NATO. Nie byłoby to aż tak nietuzinkowe, bo przecież dziwacznicy politycy trafiali się już w większych, bardziej skonsolidowanych demokracjach, gdyby nie szereg faktów o kampanii Georgescu.

Ten skrajnie nacjonalistyczny, sprzeciwiający się nowoczesności na każdym kroku polityk jeszcze kilkanaście dni przed głosowaniem pozostawał prawie anonimowy. Nikt z poważnych obserwatorów nie wymieniał go nawet w szeregim gronie faworytów. W depeszach zachodnich agencji informacyjnych, w tym Associated Press, Reutersa czy AFP, nazwisko Georgescu nie padło ani razu. A to przecież instytucje informujące praktycznie zawsze i o wszystkim, rzadko więc się zdarza, by polityk wygrywający później wybory całkowicie im umknął.

I nie chodzi o wciąż powtarzające się w ostatnich latach – wspomnijmy podwójną wygraną Trumpa, Brexit i tryumf Javiera Milei, argentyńskiego Korwina-Mikke – zjawisko niedocenienia przez dziennikarzy i analityków kandydatów prawicy, antyestablishmentowych alt-rightowców czy ekscentryków. Fakt, że Rumunia skłęci na prawo, był przesądzony – ale ten skręt miał odbyć się pod przewodnictwem kogoś zupełnie innego.

Na lidera tamtejszych ekstremistów typowano 38-letniego George Simiona, pełnego energii polityka zakochanego w stylu rządzenia Trumpa, który spory kapitał zyskał na krytyce nieudolności rządu i odchodzącego prezydenta Klausa Iohannisa podczas i po wrześniowej powodzi. Tymczasem Simion, choć miał wsparcie aparatu partyjnego Związku Jedności Rumunów (AUR), zajął w pierwszej turze dopiero czwarte miejsce. A Georgescu, który z AUR odszedł, bo okazał się zbyt prorosyjski, wygrał, zdobywając 22,9 proc. głosów.

Dzisiaj wiadomo już, że jego zwycięstwo było w sporej części rezultatem pomocy z zewnątrz. Gdyby wygrał całą elekcję, zostałby „pierwszym europejskim prezydentem z TikToka”.

Georgescu wygrał, choć nie brał udziału w żadnej przedwyborczej debacie. Nie prowadził w ogó-

le kampanii w tradycyjnych mediach. Nie rozdawał tysięcy ulotek, jego twarz nie atakowała wyborców z billboardów.

Po prostu skoncentrował się na platformach internetowych – i tam zapanował niepodzielnie. Zdominował nie tylko TikToka, ale też YouTube – i to pomimo faktu, że treści, które tam publikował, często nie dotyczyły bezpośrednio polityki.

I to jest właśnie najważniejszy aspekt tego fenomenu. Calin Georgescu robił w internecie bardzo dużo, żeby nie wyjść na zawodowego polityka. Nagrywał filmiki, w których zachwalał lecznicze właściwości lodowatych kąpeli. Jeździł konno, ubierał się w stroje ludowe, nagrywał na tle malowniczych pejzaży delty Dunaju. Zupełnie jakby starał się potencjalnych wyborców zniechęcić do polityki jako takiej – i dopiero na końcu kampanii powiedział im, że oto za chwilę w ich kraju odbędzie się głosowanie na nowego prezydenta. A tak się składa, że on, ich internetowy idol, bierze w tym głosowaniu udział, więc jeśli go tak lubią, mogą oddać na niego głos.

W zaledwie kilka tygodni zewnętrzni aktorzy wpływu, prawdopodobnie pochodzący prosto z Rosji albo przez Rosję opłacani, wyhodowali niemal od zera kandydata, który wygrał pierwszą turę wyborów prezydenckich i miał spore szanse triumfować w drugiej.

Ktokolwiek odpowiadał za projekt „Calin Georgescu 2024”, był świadom, że metody wpływania na demokrację, które Rosjanie stosowali w Mołdawii czy Gruzji, w Rumunii nie zdadzą egzaminu. To w końcu państwo członkowskie nie tylko NATO, ale też UE. Obie organizacje monitorują, co dzieje się tam w kwestii bezpieczeństwa narodowego i przejrzystości procedur demokratycznych.

Nie mogliby więc Rosjanie za bardzo rozdawać pieniędzy wyborcom przed lokalami, zastraszać ich z dala od świateł kamer telewizyjnych lub wysłać tam w dniu wyborów bojówki szkolone w innych krajach, by wywołać zamieszki – tak, jak robili w czasie niedawnych wyborów w Mołdawii. Zamiast tego postawili na internet czy – patrząc szerzej – na ekosystem mediów i prawie im się udało. Nie ma żadnego powodu, dla którego powinniśmy myśleć, że w Polsce taki scenariusz jest niemożliwy.

W naszym kraju panuje mocne przekonanie, że jesteśmy odporni na rosyjską dezinformację. Badania socjologiczne pokazują systemową wręcz niechęć Polaków do Rosji. W przeciwieństwie do innych krajów długo nie mieliśmy też nad Wisłą partii otwarcie prorosyjskiej i często mówi się, że taka akurat w Polsce nigdy nie powstanie, bo nie znajdzie poparcia.

Czy interesy Kremla realizuje Konfederacja lub PiS, można się



• Calin Georgescu, niedoszły „pierwszy europejski prezydent z TikToka” FOT. REUTERS/INQUAM PHOTOS/OCTAV GANEA

spierać godzinami, ale faktem jest, że – za wyjątkiem Grzegorza Brauna z jego wybrykami w rodzaju zrywania ukraińskiej flagi z Kopca Kościuszki – żaden poważny polityk nie wystąpił w Polsce bezpośrednio przeciwko pomocy Ukrainie ani nie wezwał do sojuszu z Kremlm. Co nie znaczy, że tak się nie stanie. Bo platformy społecznościowe pozostają przestrzenią kompletnie nieregulowaną.

Przy czym powinniśmy traktować media i platformy społecznościowe najszerzej, jak się da. A więc uwzględniać w nich także komunikatory, w tym WhatsApp, popularne narzędzie uprawiania polityki choćby w Ameryce Łacińskiej, oraz YouTube.

To za pomocą WhatsAppa dezinformację wyborczą w Brazylii szerzył Jair Bolsonaro, miesiącami podkopując zaufanie do tamtejszych instytucji wyborczych i budując podwaliny pod późniejszą próbę zamachu stanu. W Europie szkodliwa propaganda i nieprawdziwe informacje rozprzestrzeniane na TikToku miały spory wpływ na dobry wynik wyborczy niemieckiej AfD w czasie czerwcowych wyborów do europarlamentu. Albo jak w Irlandii, gdzie analiza organizacji ekologicznej Global Witness wykazała, że chińska platforma nie usuwała nieprawdźwycich treści politycznych w ostatniej kampanii wyborczej.

W polskim kontekście uwagę należy zwrócić na YouTube’a. W tym serwisie istnieje przecież masa postaci o ogromnej rozpoznawalności, personalnym elektoracie i jednocześnie o kontrowersyjnych poglądach. Dość powiedzieć, że na YouTube działają nie tylko dziennikarze, ale też całe redakcje, które mają zasięgi sporo przekraczające wyniki tradycyjnych mediów. I nikt specjalnie nie przygląda się, jaka polityka jest tam uprawiana.

A polityki akurat na YouTube, zwłaszcza polskim, jest całe mnóstwo. W tym serwisie działa cała masa indywidualnych twórców – indywidualnych, choć rzadko całkowicie samodzielnych, bo są uzależnieni od odsłon, reklam, a coraz

częściej od bezpośrednich wpłat bardzo dużych graczy na rynku prywatnym. Tacy twórcy mają setki tysięcy lojalnych fanów, którym meblują głowy na najważniejsze dziś tematy społeczne: napaść Rosji na Ukrainę, wojny kulturowe, prawa mniejszości seksualnych, globalne ocieplenie, szczepionki i rola nauki, migracje. Wszystkie te obszary to jednocześnie ulubione pola działań polityków alt-prawicy, alt-lewicy i przede wszystkim rosyjskich służb.

Nazywanie postaci z YouTube’a influencerami jest już archaiczne, nie oddaje bowiem ich realnego wpływu na świat. Influencer czy youtuber wciąż kojarzy się z kimś, kto promuje gry wideo, reklamuje marki ubrań, w najlepszym razie prowadzi dyskusje na „niepoważne” z perspektywy państwa i wielkiej polityki tematy. To ktoś popularny, niekiedy skandalizujący, ale bez politycznego znaczenia.

Tymczasem powinniśmy mówić już o publicystach, których oglądalność i wydźwięk w opinii publicznej bije na głowę najważniejsze programy informacyjne czy telewizyjne talk show. Lecz nikt ich przekazu, a tym bardziej pochodzenia i afiliacji, nie weryfikuje.

Jeśli dodać do tego sprzedaż TVN-u przez Warner Bros. Discovery, polski ekosystem mediów czeka poważne tąpnięcie. Jeśli największą telewizję informacyjną w Europie Środkowo-Wschodniej kupiłoby konsorcjum złożone z inwestorów z Czech i Węgier, przekaz stacji na pewno uległby rekaliibracji.

Zwłaszcza że w kontekście węgierskich pieniędzy mówi się o udziale w transakcji Józsefa Vidy oraz Lorinca Mészárosa, ludzi z orbity Orbána. Jak informowało OKO.Press, zwłaszcza Mészáros przychylnie spogląda ku Kremlovi – ma bliskie związki z rosyjskimi oligarchami, a jego bank miał współpracować z Marine Le Pen przy finansowaniu jej kampanii wyborczej.

Nietrudno połączyć kropki i zobaczyć, kto naprawdę zyskałby na takiej transakcji, nawet jeśli mowa

o dłuższym horyzoncie czasowym. A przecież Putin lubi grać w długą grę, nie oczekując rezultatów natychmiast. Dlatego naiwne jest myślenie, że Polska zawsze pozostanie wolna od wpływów zewnętrznych. Pora, by o bezpieczeństwie narodowym mówić także w kontekście mediów i ich relacji z polityką.

Od lat zjawisko to analizuje prof. Timothy Snyder. Historyk z Yale pisze o „suwerenności informacyjnej” – czyli o zdolności danego państwa do panowania nad krajową przestrzenią medialną. Nie chodzi o cenzurę czy rządową kontrolę nad mediami, ale o zdolność reakcji w chwilach, gdy media wykorzystują obcy agenci wpływ, a odbiorcy – czyli wyborcy – nie są w stanie sami tego odkryć.

O tym problemie na świecie mówi się od lat, działania w tym obszarze prowadzi nawet ONZ – zwróćmy uwagę na aktywność Melisy Fleming, bylej amerykańskiej dziennikarki, dzisiaj podsekretarz generalnej ONZ zajmującej się komunikacją i mediami. Dopiero co o zagrożeniach wynikających z braku regulacji platform społecznościowych mówił także szef MSZ Radosław Sikorski.

Problem rozumie także premier Tusk, który zapowiedział, że dwie największe telewizje zostaną wpisane na listę firm chronionych przed niepożądanymi przejęciami. Polsat i TVN dołączą do gigantów paliwowych, energetycznych i telekomunikacyjnych.

Czy doczekaliśmy się rządu, który rozumie, że jeśli nie zadamy o bezpieczeństwo przestrzeni informacyjnej, inni taką bierność wykorzystają bez wahania? Teraz pora na platformy społecznościowe. ●

Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Píše o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe”.



Parlament Europejski

• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE współfinansowany jest przez Unię

Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

Nie myl miłości z cierpieniem, córeczko

Z MANUELĄ GRETKOWSKĄ
ROZMAWIA DOROTA WODECKA

W judeochrześcijańskiej tradycji świat jest firmą rodzinną, Ojciec&Syn.
Maria to podwykonawczyni zbawienia na zlecenie wysłanego
do niej archanioła korporacji Patriarchat.

DOROTA WODECKA: Napisałaś „Posag dla Polki” dla córki Poli i dla Polek. Co chciałabyś im ofiarować?

MANUELA GRETKOWSKA: Wszystkim, nie tylko kobietom. Nowe spojrzenie. Mądrość, czyli maksimum szczęścia przy maksymalnej przenikliwości. Choć pozornie jedno z drugim często się wyklucza, bo gdy widzimy i rozumiemy zbyt dużo, wcale nas to nie uszczęśliwia.

Jest to książka o złej i dobrej miłości, co potrafiłyśmy dla niej znieść, kiedyś i dzisiaj, na przykładzie legendarnych, sławnych par, moim własnym doświadczeniu i znanych mi osób.

Nie chcę, żebyśmy były zakładniczkami fałszywych mitów, które współczesna kultura czasem umacnia, a już na pewno kultura masowa. Nie bój się myśleć, kobieto!

A mówiąc ściślej?

– Niech mentalne schematy cię nie poniżają, nie podkopują zaufania do siebie. Silne kobiety nie dają się świadomie krzywdzić i nie krzywdzą.

Posag jest „Myślącą przewodniczką”. Bo kobiety kochają „za bardzo”, a czasem myślą „za mało”. Napisałam ją przeciwko emocjonalnym czułościowości i samoniespełnianym się życzeniom.

Marzenia są dobre w dzieciństwie i młodości. Gdy dojrzewamy, jeśli mają się spełnić, powinny się stać ambicjami. Jesteśmy infantylizowane, gorzej – jeśli kosztem realności same się udzielniamy całym badziwem czułościowości, której mam po kokardę.

Mają w tym pomóc buddyjskie szamanki i grecka mitologia, Helena Trojańska, Penelopa, Klitajmestra?

– Mity są korzeniami naszej kultury. Bez nich nie da się odczytać chociażby seriali sięgających trochę głębiej, np. „Sukcesji”, o której też piszę. Nie mamy złudzeń, w judeochrześcijańskiej tradycji świat jest firmą rodzinną, Ojciec & Syn. Maria to podwykonawczyni zbawienia na zlecenie wysłanego do niej archanioła korporacji Patriarchat.

Starożytne Egipcjanki mogły sterować okrętami z męską załogą, szefowały zakładom rzemieślniczym i prowadziły własny handel. Jednak w kanonie estetycznym unieruchomiono je jak lalki w przeciwieństwie do aktywnie krocących mężczyzn.

Później starożytni Grecy i czerpiąca z nich kultura Rzymu unieruchomiła kobiety znacznie sku-

teczniej – kanonem społecznym. Jednak wczytując się w mitologię, można z niej wyczytać dużo więcej, niż nam się wydaje, że już wiemy.

Kto ma oczy, niech widzi, kto jest kobietą, niech szuka w niej kobiecej linii przekazu, dużo ciekawszej i przewrotnej. Gdyby piękna Helena dawała swojej jedynej córce posag rad, powiedziałaby: twój ojciec miał mnie zabić po zdobyciu Troi za zdradę i śmierć tysięcy Greków. Ale pokazałam mu cycki i się rozmyślił. Tacy są mężczyźni, wystarczy nimi manipulować.

Trudno przyjąć taką radę od matki. To nic innego, jak afirmacja seksualności, bo przecież nie o piękno idzie.

– To metody kobiet zniewolonych, zależnych od mężczyzn, uważających, że silikonem i biustem przepchną się przez świat. Pozostałe, opisywane przeze mnie żony bohaterów trojańskich, radzą sobie zupełnie inaczej – i to jest fascynujące.

Penelopa, żona Odyseusza, najsprytniejszego z ludzi, okazuje się sprytniejsza od niego. On po prostu umiera, a ona staje się nieśmiertelna z młodym kochankiem u boku.

A co do buddyzmu, jego przekazy są zaprzeczeniem chrześcijańskiej mentalności zbudowanej na cierpieniu i miłości. Nie zdajemy sobie sprawy, ile z buddyzmu przenika do naszego widzenia świata przez korzystający z niego mindfulness. Różne techniki relaksu, samodoskonalenia. Również słownictwo – ostatnio wytrych „przestrzeń” pożerający używane kiedyś w jej zastępstwie słowa.

Przestrzeń stała się rodzajem przenikającego wszystkie dziedziny życia Ducha Świętego, od ogłoszeń o metrażu sprzedawanych lokali po intymność związków. Najwięcej jej w reklamie zabierającej nam tę przestrzeń billboardami i natręctwem sloganów.

Byłaś chrześcijanką.

– Byłam chrześcijanką, ale ta duchowa droga okazała się nie dla mnie. Z jednej strony stawia na szali niewytłumaczalne cierpienie, z drugiej równoważy to tajemnicą miłości. Za dużo niewytłumaczalnego, tajemnic i nieprzewidzianej łaski.

Buddyzm jest logiczniejszy, niemal księgowy – za wszystko płacisz i za wszystko dostajesz karmiczny zwrot. W buddyzmie zamiast niepojętego cierpienia i nadludzkiej miłości jest współczucie i mądrość. To prostsze do ogarnięcia, a rezultaty praktyk bardziej

odczuwalne, zwłaszcza dla zdrowia psychicznego. Nic dziwnego, że od lat 60. buddyzm staje się światopoglądem Zachodu, a na pewno Kalifornii.

Po latach mogę powiedzieć, że moja kobiecość – również ta gniewna – lepiej się komponuje z gwałtownymi kobiecymi energiami Tybetu niż z wizerunkami świętych. Chyba że mówimy o diabolicach. Lubię ironię buddyzmu tybetańskiego pozbawioną lęku i „obrażania uczuć religijnych”.

Na pytanie zachodniego ucznia, czy tybetańskie boginie naprawdę istnieją, lama odpowiedział: One absolutnie wiedzą, że nie istnieją.

Mityczne boginie miały siłę sprawczą.

– Przynajmniej tyle, nie dało się zaprzeczyć potężde kobiecości, izolując ją na Olimpie. Nasza kultura z ich siły zrobiła listki figowe zakrywające realność, właściwie knebel z listków figowych, żeby kobiety dławily się wstydem. Za siebie, Ewę, wszystkie inne wylamujące się z kanonu.

Dlatego, jak wspomniałaś, piszę o Penelopie. Jej historia i moc są przycięte do wierności. Opierała się zalotnikom pod nieobecność męża. Godny naśladowania wzór, opór komórki jajowej przed plemnikami. Ale prawdziwa historia Penelopy nie zamyka się w cnocie czekania na męża.

Nie prula bezsensownie tego, co utkała nocą, i skończyła o wiele lepiej niż Odyseusz, którego zabił syn. Nieśmiertelna, zakochana ze wzajemnością w młodszej wersji męża – jego synu, nigdy więcej nie musiała czekać na miłość. Coś się od życia należy zaniedbanej żonie. Wystarczy przeczytać więcej niż do powrotu Odyseusza na Itakę, żeby to znaleźć. Tylko po co? Schematy ładnie się układają, tak jak kultura masowa karmiąca nas stereotypami.

Opisuję też współczesne kobiety, których losy są w popkulturze skłamane, bo nieodczytane szerzej niż slogan: bitch, intrygantka.

Yoko Ono oskarżano o rozbicie Beatlesów i czary. To prawda, uprawiała z kochankiem seks nad ustawioną pod łóżkiem urną z prochami Lennona. Ale udowadniam, że dla obeznanej z technikami buddyjski Yoko Ono pochodzącej z innej kultury to nie była perwersyjna zemsta, tylko tybetański rytuał przeniesienia świadomości zmarłego w lepszy świat, mówiąc po chrześcijańsku: „zbawienia”.

Medea pochodząca z Kolchidy, czyli z okolic dzisiejszej Gruzji, zapisała się w popkulturze jako



FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCIA WYBORCZA.PL

dzieciobójczyni. Gdzie w tym przekazie dostrze- gasz kłamstwo kultury?

– O Medei napisano, że ma męski rozum, co – jak wiadomo – nie przystoi kobiecie. Robi z niej się męsko-kobiecą hybrydę, czyli potwora. Co gorsza, była zawodową czarownicą. Wygłosiła do Greczynek pierwszy w historii manifest feministyczny, udowadniając, że los kobiet poddany męskiej władzy jest okrutny i niesprawiedliwy. Poród gorszy od wojny. Z tego powodu stała się niebezpieczna, a nie z powodu dzieciobójstwa.

Nawet Platon, boski twórca idealizmu, zalecał pozbycie się nierokujących niemowląt. W tamtych czasach dzieci rytualnie zabijano dla bogów, czyli wyższych celów.

Czy bardzo się zmieniliśmy? Niszczymy dzieci na ołtarzu własnych ambicji albo poświęcamy je nalogom mającym nad nami, póki z nich nie wyjdziemy, władzę porównywalną do opętania przez bogów. Wina Medei nie jest tylko zabójstwo dzieci, ale jej płeć i bunt.

W dodatku lubiła seks, co było wyłącznie męskim przywilejem. Kobieta powinna być istotą nierozumną, wykastrowaną z seksualności i gniewu.

Po Medei, czarownicy, zbuntowane kobiety oskarża się najczęściej o dzieciobójstwo, czyli przerywanie ciąży.

Dla Greków jej czyn nie był tak szokujący, tym bardziej że pochodziła ze Wschodu, gdzie wyznawano wschodni kult Wielkiej Matki – rodzącej i zabijającej swoje potomstwo.

Mало kto pamięta o jej manifestcie. Stała się symbolem dzieciobójczyni, kobiety wyrodnej. Natomiast paradoksalnie facet, który zabił ukochaną, jest symbolem żaloby. W tym miesiącu w Warszawie była kolejna premiera teatralna o biednym Orfeuszu oplakującym Eurydykę. A przepraszam, kto ją pozba-
wił życia?

Orfeusz dostał wyjątkową szansę, ale mimo to ten dorosły mężczyzna nie mógł w Hadesie, na granicy życia i śmierci, powstrzymać się przed spojrze-
niem na ukochaną? To tak, jakby musiał przy leżą-
cej w śpiączce Eurydyce, będącej na granicy życia i śmierci, zdjąć maskę podtrzymującą życie, żeby ją pocałować. Ups, umarła...

Zbrodnia z miłości – tak to się kiedyś nazywa-
ło, zanim powstało słowo „femicide”, kobiecobój-
stwo. My jednak pochylamy się nad żalobą morder-
cy, bo artysta, bo zakochany poeta. Tak było po za-
biciu aktorki Marie Trintignant przez francuskiego

Po Medei, czarownicy, zbuntowane kobiety oskarża się najczęściej o dzieciobójstwo, czyli przerywanie ciąży

poetę, wokalistę. Przecież ją kochał, a że przy oka-
zji zatłukł na śmierć, to pisano „zbrodnia z miło-
ści”, i to w postępowych francuskich pismach ko-
biecych nie tak dawno.

Nie usprawiedliwiam szaleństwa Medei dziecio-
bójczyni, próbuję pokazać kontekst i współczesne
przekłamanie. Nie potrafimy zrekonstruować sta-
rożytnej mentalności. Nie potrafimy nawet sobie
wyobrazić, jakie kolory widzieli Grecy niemający
słowa na niebieski. Nie odgruzowuję mitów gre-
kich, tylko współczesne schematy myślowe.

Klitajmestra zabija swojego męża Agamemno- na. Dlaczego wkładasz do posagu jej los?

– Jej rewolta zmieniła naszą cywilizację.

Klitajmestra była od Medei o wiele bardziej ra-
dykalna, bo zabijając Agamemnona, zamachnęła
się na fundamenty patriarchalnego porządku, ca-
łej cywilizacji odróżniającej Greków od barbarzyń-
ców. Bogowie byli bezradni wobec jej zuchwałości,
takiej zbrodni nikt się jeszcze nie dopuścił.

Kultura chce nam wmówić, że rozumna kobie-
ta jest zbrodniczą parodią męskiej przemocy i ru-
iną świata. Dwa tysiące lat później sformułowano
to jednym stwierdzeniem

w „Młocie na czarownice”: „Kobieta myśląca sa-
modzielnie myśli niewłaściwie”.

Historia Klitajmestry wydaje mi się najciekaw-
szą spośród opowieści o żonach trojańskich bo-
haterów. Oni tylko wygrali wojnę, ona zmieniła

bieg historii. Bez niej nie mielibyśmy prawa i są-
dów – podwalin naszej cywilizacji. O tym jest jeden
z rozdziałów „Posagu”, tego niewidzialnego, nie-
doczytanego kulturowego posagu kobiet.

Czyn Medei wstrząsnął również światem chrze- ścijańskim. Zauważasz, że listy św. Pawła pisane do Greków są odpowiedzią na popularność feministycznych idei Medei.

– Zastanawiam się, dlaczego nikt wcześniej tego
nie zauważył. Może się mylę? Ale nie znalazłam
analizy zbieżności miejsca, tematu przemowy Me-
dei i listów Pawła. Sztuka teatralna o dzieciobójczy-
ni buntującej Koryntianki należała do kanonu lu-
dzi wykształconych tamtych czasów w koloniach
greckich, a więc i Świętego Pawła.

Stąd jego słynny list do mieszkańców Koryn-
tu, którego sens dialoguje z buntowniczym ma-
nifestem Medei sprzed pół tysiąclecia. Ta tragicz-
na „rozmowa” trwa nadal, od stuleci: czarownicy
z podporządkowującym ją sobie mężczyzną, czyli
buntowniczką z patriarchalnym porządkiem.

Zastanawiam się, czy w tym kontekście poru- szający „Hymn o miłości” z Listu do Koryntian św. Pawła czytany na każdym niemalże ślubie z napomnieniami, że miłość wszystko prze- trzyma, wszystko zniesie, wszystkiemu wierzy i nigdy nie ustaje, też podtrzymuje porządek patriarchalny? Ale z drugiej strony jest również skierowany do mężczyzn.

– Ten list jest zapowiedzią syndromu sztokholm-
skiego, trwania przy swoim oprawcy czy alkoholi-
ku rujnującym życie własne i rodziny.

Tworząc Partię Kobiet, wymyśliłam hasło „Pol-
ska jest kobietą”, ale coraz częściej mam wrażenie,
że Polska jest wódką.

Z jednej strony uzależnieni faceci, z drugiej ko-
biety jadące przez życie na własnoręcznie zacią-
gniętym hamulcu współzależnienia. Jakby nie by-
ło dna męskich nalogów i bezdennej głupoty tole-
rujących to kobiet.

Powiedz głośno o alkoholikach, wtedy współ-
uzależnione pouczają, że alkoholizm jest choro-
bą, a chorym przecież należy współczuć. Kiedy za-
zartowałam na Facebooku, pisząc post o tym, że Si-
korski to sól tej ziemi i kokaina, a Trzaskowski wy-
gląda jak przystojny europejski alkoholik, napisano
mnóstwo komentarzy w obronie Trzaskowskiego,
na wypadek gdyby był alkoholikiem.

Dlaczego mówienie, że alkoholizm jest chorobą, to rodzaj współzależnienia?

– Nazywanie alkoholizmu jednostką chorobową pozwala powiedzieć, że ktoś wymaga opieki. OK, ale nie akceptacji i naszego totalnego poświęcenia. Zapominamy, że to choroba społeczna, choroba woli, którą usprawiedliwiamy nasze spięprzone życie. Nie fatum ani wirus, tylko ktoś sam się do swojej choroby przyczynił. Chory człowiek wymaga troski, opieki – powtarzamy. Nieważne, że robi sobie z nas pas startowy do swojego problemu. A jeśli go zostawisz, jesteś wredną suką pozbawiającą dzieci ojca.

Kobiety też piją.

– Tak, nie uogólniam.

Kasuję w portalach znajome pozujące ciągle z kieliszkiem prosecco, jakby nie wiedziały, co zrobić z rękoma albo ze swoim życiem topionym co wieczór w winie.

Słowa Jezusa: „Miluj bliźniego jak siebie samego” mają się nijak do „Hymnu o miłości”, która wszystko zniesie i przetrzyma. Kochanie samego siebie jest wezwaniem do szacunku wobec samego siebie, szacunku niepozwalającego wchodzić w patologię. Jeśli będziesz kochać siebie, pokochasz bliźniego, a nie uwikłasz się w zaprzeczenie miłości, czyli wyniszczającą patologię.

Jak wyzwolić się z ciężaru małżeńskiej przysięgi? Zerwanie jej może wpędzać w poczucie winy.

– Zmienić jej nierealistyczną treść. Dozgonna miłość i wierność, aż rozłączy nas Bóg albo szpitalna rurka z tlenem? Jeśli już mamy cytować starożytny tekst Pawła, wołałabym powtórzyć lekarską przysięgę Hipokratesa, że „powstrzymam się zaś przed szkodzeniem”.

Druga osoba nie jest rozwiązaniem naszych problemów. Nie uleczysz też nikogo miłością. Nie wstrzykuj sobie toksyny urojeń i przestańmy bredzić w miłosnym amoku o wiecznym byciu razem bez względu na wszystko.

W „Posagu dla Polski” zwracasz się do swojej córki bezpośrednio tylko wtedy, gdy chcesz ją uratować przed uczuciem, które nie jest miłością.

– Wolalabym, żeby nie myślała miłości z cierpieniem albo zakłamywała prawdę z bólu przed rozstaniem. Miłość nie jest udręką. Nie jest pokonywaniem siebie w drodze do celu, sama jest celem. Może to bardziej buddyjskie niż chrześcijańskie. Nie męczeństwo, nie zbawienie, ale uważność na to, co jest, bo niczego innego niż tu i teraz nie ma, żadnej pielgrzymki do raju.

Miłość jest rozkwitem tego, co w każdym z nas z osobna i w związku najlepsze, a nie bolesnym przycinaniem. Nie chcę, by myślała, że jeśli miłość rani, to trzeba się próbować do niej dopasować. Najpierw jesteśmy pięknym drzewem szumiącym marzeniami, potem pomniejszamy się do wymarzonego przez innych ideału, dając się przyciąć jak bonzai. Na koniec, nie umiając już samodzielnie żyć, tylko wegetować w doniczce, usychamy zaniedbane, i to wszystko pod szyldem miłości?

Piszesz: „Miłość podobna jest raczej do medytacji. Słuchaj, pozwalaj przepływać wrażeniom. Wtedy poczujesz odpowiedź i będziesz pewna. Sama dla siebie jesteś wyrocznią delficką”. To ładne, ale jak oddzielić niemożność kompromisu od wygody, by nie tkwić w trudnej relacji.

– Związek to codzienny sparing z drugą osobą. Gdybym myślała o tym, że miłość wszystko zniesie i przetrzyma, nie odeszłabym od Piotra ani nie wyjechała z Polą do Stanów.

Nie dałabym mu szansy się zmienić ani ja bym się nie zmieniła. Czasem trzeba sobie odpuścić, żeby do siebie dopuścić uczucia i sprawdzić, jakie naprawdę są, zamiast zaciskać je jak pętlę.

Czytam, że zawsze byliście w swoich myślach? „You are always on my mind” – jest definicją miłości?

– Może nią być, pod warunkiem że nie zatruwamy się drugą osobą, podłączając się do jej problemów. Miłość to nie jest zamknięty obieg trucizny. Zatrujesz się, jeśli bez końca będziesz mną zatykać swoją dziurę w sercu.

Wiesz, kiedyś testowałam miłość. Myślałam, że jeśli on zrobi to i to, znaczy, że mnie kocha. Jeśli wyniesie przysłowiowe śmieci, to znaczy, że dba o nasz związek. Jaka paranoja!

Uważność na partnerkę czy partnera nie wpisuje się w miłość?

– Ktoś mi powiedział, że jego dziewczyna ma w głowie całą listę zadań i codziennie odfajkowuje z niej, co zrobił, a czego nie. Jeśli z czymś nawalił, to znak, że jej nie kocha. Chyba bierze się to z braku pewności siebie.

Mężczyźni są raczej przekonani o swojej wartości i jeśli czegoś nie robią, nie włącza się w ich głowie dzwonek alarmowy: ona odejdzie. Kobiętom się włącza. Boją się, że znajdzie sobie lepszą, młodszą, bo my nie jesteśmy warte tej miłości. Żyjemy nad przepaścią niekochania i wali nam się świat, kiedy on nie pamięta o naszej rocznicy. Z tej niepewności też bierze się uzależnienie od facetów, które tłumaczymy sobie kulturowo, że „miłość wszystko przetrzyma”.

Kasuję znajome pozujące z kieliszkiem prosecco, jakby nie wiedziały, co zrobić ze swoim życiem

Nie sądzisz, że ten św. Paweł odbija nam się dziś czkawką? Donald Trump wygrał wybory prezydenckie głosami mężczyzn bojących się równouprawnienia, które widzą jako dominację kobiet.

– Głosujący na Trump i podobnych mają w dupie feminizm, część z nich nie zna tego słowa. Wszyscy ci niedojrzali chłopcy siedzący przy komputerach, start-upach, pokonujący levele gier – mają świetny wzorzec. Elon Musk – geniusz i miliarder. Jego życie prywatne, relacje z kobietami niby z haremem inkubatorów...

...za ich zgodą...

– ...co nie zmienia faktu, że jedna z nich prawie na wizji, występując w SNL z Muskim jako jego „prawdziwa narzeczona”, dostała napadu lęku i wyładowała w szpitalu z tego szczęścia. Płaci się cenę za takie traktowanie przez kogoś, kogo stać na wszystko. On jest przecież królem świata. Podziwiający go chłopcy widzą, że nie muszą mieć relacji, nie muszą rozumieć siebie ani innych. Ważne, by robić kasę. Trump też jest ich idolem. Przestępca i mizogin ma stosunki z gwiazdą porno, co jest marzeniem tych uzależnionych od pornografii chłopaczków.

Muszę ci przerwać, bo za ostro jedziesz z tymi oskarżeniami.

– To pokaż mi dla nich kontrprzykład. W dodatku, kiedy Watykan upada, Trump urasta do rangi drugiego papieża. Broni wartości konserwatywnych, nie godzi się na aborcję, ma kochanki, czyli jest heteroseksualny, i nie gwałci dzieci, tylko pełnoletnie kobiety.

Jeśli tak to będzie szło, niedługo postawią pomniki takich jak on, słynnych morderców z seriali Netflixa albo wybitnych

gwałcicieli. Dlaczego by nie, skoro są słynni?! A to przecież waluta naszego świata: rozpoznawalność za wszelką cenę. Przemoc, łamanie prawa i krzywdzenie słabszych. Może to obiecano w incelskim raju, jak dziewice w seraju.

Mężczyźni mają problem z dzisiejszą definicją męskości, nie rozumieją oczekiwań kobiet wobec nich, obawiają się ich niezależności. Skoro kobiety powinny szukać swoich wzorów w mitologii, to jakie nieoczywiste wzorce byś tam znalazła dla mężczyzn?

– Nie namawiam kobiet do szukania wzorów w mitologii, tylko zrozumienia jej wnikliwiej. Po wiekach patriarchatu mam szukać męskich wzorów? Geniusze, artyści, naukowcy i Maria Curie-Skłodowska jak Sierotka Marysia pośród gigantów.

Dla wielu mężczyzn wzorcem są Musk i Trump. Dla co drugiego przed czterdziestką w Polsce – ktoś taki jak Sławomir Mentzen. Ich wyborcy szukają samców alfa całą ławicą poniżonych samców beta. Chociaż nikt ich nie poniża, na pewno nie kobiety, które podobno zajmują męskie pozycje, wychodząc ze schowka na szczotki i pudełek porno Barbie.

Temu urojeniu męskiego skrzywdzenia patronuje Super Chad, podobno mieszkający, no bo gdzie indziej – w Moskwie.

Nie warto postawić pytania, co to znaczy być dziś mężczyzną?

– Ale co to jest za pytanie? Być może dlatego siedzą chłopcy incelowcy w malinach, czyli przed komputerami, bo ono jest źle postawione. Postawmy sobie raczej pytanie: Jakimi mamy być ludźmi? Co to znaczy być człowiekiem? Kobiety i mężczyźni szukają rozpaczliwie miłości, poczucia spełnienia, piękna, dobroci. I w ten sposób wracamy do mitów, greckiej wyroczni, nad którą był napis „Poznaj samego siebie”.

A feminiści?

– Nie bardzo wierzę w feministów. Znam bardzo niewielu właścicieli niewolników, którzy ich sami wyzwolili. Część mężczyzn lubi mówić, że sprzątają w domu (a raczej „pomagają”), gdy wrzucą naczynia do zmywarki. Feministami zostają, gdy odwożą dzieci do szkoły czy idą z nimi na spacer.

Czyli twój mąż feministą nie jest?

– Czasem nie jest, czasem większym niż ja. To trochę jak gra w pokera, aż do momentu, gdy któreś mówi: sprawdzam. Żyjemy na ostrzu dwóch światów – przeszłości i przyszłości – a do tego trudna do dealowania teraźniejszość.

Tropisz w książce więcej niedopowiedzeń kultury. Obnażasz toksyczny narcyzm i okrucieństwo Andrzeja Żuławskiego wobec kobiet, demitologizujesz ikoniczne wizerunki Lennona i Presleya, również przemocowców, wspominasz o „świętym” Gandhim, który znęcał się nad żoną. Co nam, współczesnym, po tej lustracji?

– To przystawienie lustreczka do nadal zafascynowanych nimi młodych twarzy. Nie żeby się przyjrzały sobie,

ale do sprawdzenia, czy lustreczko zaparuje oddechem, czy jeszcze żyją swoim życiem, a nie legendami o geniuszach.

Orwell napisał, że póki święci nie udowodnią swojej niewinności, są winni. Bohaterowie mojej książki nie są świętymi, za jakich uchodzą, co opisuję, nie lustruję. Takie mamy czasy najwidoczniej, że musimy tak mówić o patriarchacie i jego ofiarach, by nie urazić oprawców.

Twoja córka może powiedzieć, że jej matka jest silną kobietą?

– Dopiero wtedy, gdy naprawdę się usamodzielni, będzie mogła to ocenić. Na razie jestem jej bankomatką, wsparciem, ale i obiektem szydery.

Pochodzimy z dwóch epok. Może mojemu pokoleniu łatwiej było rzucić gorset, jej ten gorset wrasta w wirtualne ciało, bo wizerunek zastępuje osobowość.

Gadamy o tym, przy okazji mówiąc o książkach i filmach na naszym koncie instagramowym. Nazywa się właśnie tak, jak zamiana ról między nami w tej ciągłej konfrontacji poglądów: „Gdybym była tobą”. Pola startuje z wyższej platformy wymagań i oczekiwań wobec mężczyzn. Oni najczęściej do niej nie dosięgają... a jej trudno zejść z własnych oczekiwań bez samoponiżenia, utraty szacunku świadomej feministki do samej siebie. Sądzę, że to problem wielu dziewczyn.

Możliwe, że wyjątkową lekcją, jaką jej dałaś, i być może ważniejszą niż intelektualny testament, jest twój zaliczony niedawno kurs na rzemieślniczkę od kładzenia glazury.

– Sztukę podziwiam, rzemiosło cenię. Pola uważała to za wygłup. Po co matce kurs zawodowy na Pradze? Tłumaczę jej, że życie jest praktyczne, więc warto umieć coś praktycznego. Lubię tego typu prace remontowo-dekoracyjne.

Rozpętała się w internecie afera, gdy napisałam o moim glazurnictwie w kontekście braku troski państwa o artystów, ubezpieczeń i emerytur. Mogłam się spodziewać, przecież jesteśmy społeczeństwem na dorobku. A tu ktoś chce z tej miski ryżu, za którą ludzie uczciwie pracowali, dziabnąć sobie ziarenko, zamiast iść do prawdziwej roboty. Rolnicy mają KRUS emerytalno-ubezpieczeniowy, mimo że ponad połowa z nich nie produkuje nic na rynek, nie karmi nas.

Sztuką też się nie najesz. 30 tys. duchowieństwa jest zabezpieczone, tworząc kulturę duchową narodu, pomijając tych, którzy gwałcą. W wielu krajach Unii Europejskiej są systemy wspomagające artystów, u nas traktuje się nas jak ludzi na etacie albo przedsiębiorców. I niech nie wyciągają artystyczne darmozjady ręki, prosząc o uregulowanie tych spraw.

A nawet jak po latach nagabywań się coś im przyzna, tak jak pisarzom, żeby było zgodnie z europejskimi przepisami, to zaraz się ich okradnie. Tak jest z przyznawaniem tantiem za wypożyczenia z bibliotek. Nie dostają za prawdziwe wypożyczenia, tylko uznaniowo, nie ze wszystkich bibliotek, tylko z ich ulamka. I jeszcze dzielę się tą kasą z instytucjami kulturalnymi.

Kpiny, pensji nie przyznaje się losowo, tylko za konkretną pracę. Masz ochotę odciąć się od takiego świata i przynajmniej położyć sobie ładne kafelki – a może i na tym w razie potrzeby zarobić.

Wracając jednak do książek, książki twojej ostatniej. Jak ty siebie widzisz pośród historii, o których opowiadasz? Potrafiś powiedzieć, kim jesteś?

– Najlepsze, co się może człowiekowi przytrafić, to żyć w zgodzie ze sobą. I tak żyję mieszkając z mężem w lesie. Chodzę godzinami na spacer wyprowadzając psy. Moimi sąsiadami są bobry. Niebo gwałdziście nade mną, gdy nie przysłoni go smog. Czego chcieć więcej? ●



FOT.SHUTTERSTOCK

WSZYSCY JESTEŚMY ALKOHOLIKAMI

Kiedy wpada do mnie córka, smażę racuchy, zwijam gołąbki,
ale pogadać jak tato z córką jakoś nie umiem

Artur Nowak

Mamy po czterdzieści parę lat i wzwyż. Pokonczyliśmy studia, osiągnęliśmy zawodowe sukcesy. Pospłacaliśmy kredyty i nie wiadomo kiedy wyrosły nam dzieciaki. Wydawałoby się, że o to chodziło.

Tyle że porozpadały nam się małżeństwa, zapal wypalił i jakby to wszystko, co w pocie czoła tworzyliśmy, wydało się już nie mieć sensu.

Sami już nie wiemy, ile w tym wszystkim nas, a ile fasady sukcesu, za którą schowaliśmy się ze swoimi lękami i wstydem.

Kiedy opowiadam o tym koledze z „tamtych czasów”, z którym spotykamy się „na grobach” doskonale mnie rozumie.

Obaj wyjechaliśmy „stamtąd”. Ja jestem adwokatem w małym mieście w Wielkopolsce, on ma firmę na Pomorzu.

Mamy co wspominać, ale wspomnienia rozczytujemy na nowo. I wszystko ma jakieś inne znaczenie. To już nie tylko bezmyślne kopanie piłki, wagary, pierwsze doświadczenia z używkami, ale zarys monstrualnego cienia naszych podwówek i bloków, który przesyłał nam ciepło i światło.

Chciałem, żeby kiedyś nie wrócił

Kiedyś nie mówiliśmy o tym, co się działo w naszych domach. Może domyślaliśmy się czasem, że jest w nich podobnie, bo

podobny był nasz wstyd i smutek. I jakoś bez słów to szło jak klisza, więc jeden drugiego rozumiał i nawet nie pytał, udając, że tego cienia nie ma. Nie ma pijanego ojca, nie ma znerwicowanej matki i wirówki emocji, podkręcanej lękiem, jaki dzisiaj będzie. Kryliśmy to, zamilczaliśmy.

– Chciałem, żeby kiedyś nie wrócił. Myślałem, że życie byłoby lekkie, łatwe, pamiętam to – wspomina.

To dziwne. Ja też pamiętam. Infantylna wyobraźnia dziecka nie ogarniała, co jest powodem, że nie może przestać po prostu pić i zachowywać się jak człowiek? Co takiego mu zrobiliśmy, że nam to robi?

Byłem wściekły, że doprowadzał się do takiego beznadziejnego stanu. Gdzieś w środku przeczuwałem, że to daje mu jakąś ulgę i rozprężenie, ale nie mogłem po-

jąć ceny, którą za to płaci bełkocząc, zataczając się od krawężnika do krawężnika, zasmradzając nasz dom odorem spoconego pijaka.

Pamiętam, że panicznie się bałem, żeby w tych dniach nikt mnie nie odwiedzał, zwłaszcza dziewczyny w których się podkochywałem, ale tych dni było zbyt wiele, w zasadzie nie zdarzały się takie, w których nie był pijany.

Może jest coś, o czym sobie nie mówimy, bo to wydaje się z jednej strony tak absurdalne, że życzyliśmy naszym ojcom śmierci a jednocześnie tak oczywiste, bo po prostu, nie dawaliśmy rady? Oni byli bezsilni wobec alkoholu, a my wobec nich. To ma swoją logikę. Alkoholizmu zabić się nie da, alkoholika tak.

Ilu nas jest?

Właśnie ukazały rozmowy Marka Sekielskiego „Polska na odwyku”.

Zamiast czytać te wszystkie poradniki, które mówią, jak na skróty uzdrowić się z lęków, niskiego poczucia wartości, trzeba nam zanurzyć się w wódczaną historię naszych rodziców. No bo jak inaczej mamy zrozumieć, dlaczego właśnie tacy jesteśmy i tak się urządziliśmy w dorosłym życiu.

Rozmowy, które prowadzi Sekielski pokazują stare schematy, które się duplikują w życiu synów, i córek naszych pijanych ojców, pomimo, że niby nie ma już w ich życiu alkoholu.

Jedna z rozmówczyń tak wyjaśnia, dlaczego ciągnie ją do określonego typu mężczyzn: „Wydaje mi się, że to ma swoje konkretne źródło i jest charakterystyczne dla córek alkoholików, gdzie jest w domu ten ojciec, którego uczucie, uwagę, pochwałę i akceptację próbujesz uzyskać przez całe dzieciństwo, a ja od mojego ojca czegoś takiego w ogóle nie dostałam.”

Teraz już wiem, że taka kobieta idzie w świat i w każdym swoim związku będzie szukała tego ojca, ale nie na zasadzie, że ja sobie znajdę mężczyznę starszego, mądrego. Nie tędy droga. Ja szukam kogoś, kto mnie bezwarunkowo zaakceptuje, ale też będzie traktował trochę jak taką dziewczynkę, czyli nie będzie zbyt wiele wymagał, będzie wytyczał drogę, decydował, co będziemy w życiu robić, i tak dalej. To jedno. A drugie, że zwykle jak już się pojawia taki ktoś, to od razu jest jak Bóg.

To tylko przykład. Trupy naszych ojców i matek wypadają co rusz w płataninie życia: To nieumiejętność bycia mężem, partnerem, ojcem.

Masz pięćdziesiąt lat i wściekasz się na nich, że tak sobie napieprzyłeś. Z jakiej racji ci, których spotkałeś w swoim życiu mają cię usprawiedliwiać, za mamę, za tatę. Startowali z innego pulapu. Nie mieli powodów do wstydu, nie oswoił się z wiecznym lękiem i niepokojem, co znów odpięrdoli mój pijany stary? Z jakiej niby racji mają wchodzić w naszą skórę? Chcą mieć ojca, mieć faceta, który potrafi podjąć decyzję.

I nie chodzi tu tylko naszych pijanych starych.

A matka? Spytała mnie kiedyś pani z terapii.

Matka? O matkę pani pyta? – Zdziwiłem się – A co matka winna?

– Wie pan, była dorosła i jednak nic z tym nie zrobiła. Nie obroniła siebie, ale pana też n nie obroniła

To wtedy zobaczyłem w sobie kawałek drugiego rodzica. Nie pijaka, odcinającego się od problemów choleryka, który łatwo zarabia i łatwo wydaje, który jest ciągle w podróży i nie potrafi być z sobą chwilę – ale właśnie ją.

Co we mnie z niej jest? Może to, że udaję, że nie boli jak mnie bijesz, obrażasz, wymagasz więcej niż potrafię unieść. Milczę, kiedy ktoś mi wchodzi na głowę, okrada, korzystając z tego, że nie potrafię mu powiedzieć „nie”.

Owszem: matka dbała o czysty ubiór, żebyśmy szli na mszę, żeby zawsze w domu było masło i chleb. Jadło się dużo zającąjąc te smutki.

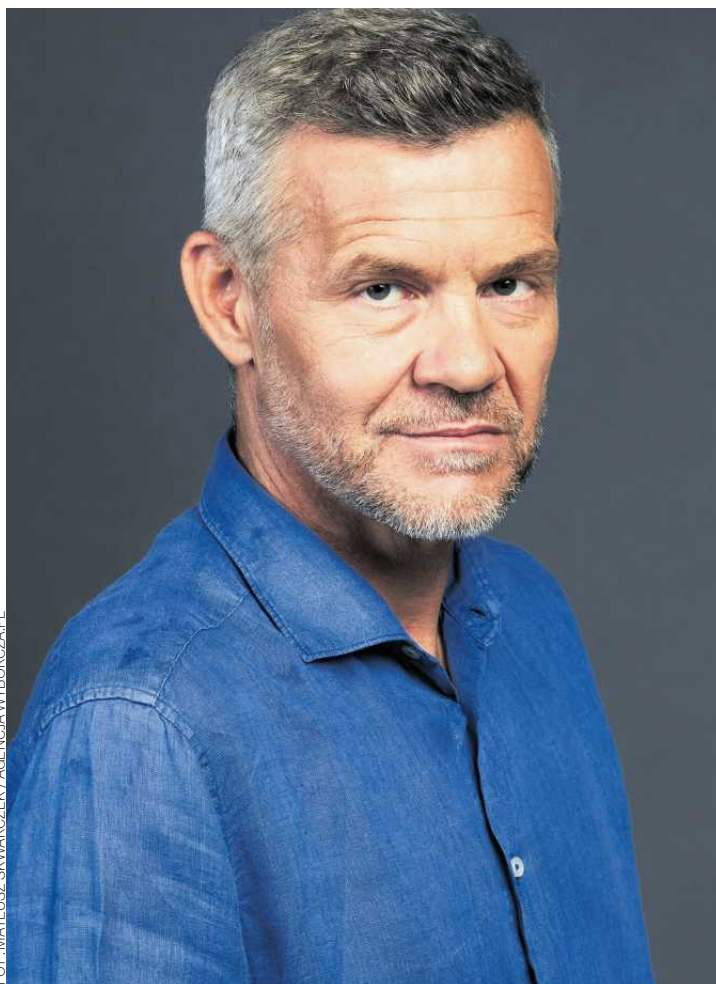
Łapię się czasem, że kiedy wpada do mnie córka, smażę racuchy, zwijam gołąbki, ale pogadać jak tato z córką jakoś nie umiem.

W ogóle jestem mistrzem w omijaniu trudnych tematów. Dziś wiem, że to z matki.

Ala są matki, które robiły to inaczej: krzyczały, tłukły szklanki, obijały nieprzytomne twarze naszych ojców otwartymi dłońmi. Nie miały sposobności, by nas nauczyć, że można inaczej. No bo z pijakiem nie siądziesz do stołu, nie zaparzysz mu herbaty, nie przegadasz z uśmiechem na ustach problemów w związku.

Inny z kolegów, którego poznałem na innym etapie życia, podczas jeden z zamkniętych terapii, wspominał ten swój cień tak.

– Jak ojciec wracał do domu, to uciekałem do łazienki. Miałem taką czerwoną



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

miszkę, lałem ciepłą wodę i prałem skarpetki. Czasem tarłem skarpetkę o skarpetkę, a przy okazji palce do krwi. Byłe by się czymś zająć, odciąć. Jak się nie odpalił w ciągu pół godziny, wiedziałem, że pójdzie spać i będzie święty spokój.

Minęło prawie czterdzieści lat i ta ucieczka trwa dalej: Przed konfrontacją, przed dyktatem głośnych, pewnych siebie facetów.

– Próbowałem wszystkiego: terapii tradycyjnych, hipnozy, grzybków halucynogennych, Jezusa, który uzdrawia.

–No i? – pytam.

– No i robię to do dziś. Zmieniają się miejsca, miasta, tytuły własności do mieszkań, w których przebywam, a ja tą miszkę dalej ze sobą wożę. No i widzę, że mój syn robi to samo.

– Też pierze?

– Nie. Ale jak matka jest na niego za coś zła, albo coś nawali w szkole, układa ubrania. Czasem godzinami.

A więc ten cień jego ojca chodzi też za wnukiem.

Na bani, na kacu, na odwyku, na głodzie, w nawrocie.

Według raportu Akademii Polonijnej w Częstochowie z lipca 2024 roku w Polsce liczba osób uzależnionych od alkoholu i nadmiernie pijących sięga od 4 do 5 mln, a osób wymagających leczenia od 1 mln do 1,2 mln. Z tego leczeniem objętych jest około 15 proc. Osób żyjących w zasięgu społecznie negatywnych skutków alkoholizmu jest około 12 mln.

Jeśli wziąć pod uwagę, że nieprzepracowana trauma DDA przechodzi na kolejne pokolenia – pił dziadek, ojciec nie pił, ale nie przerobił tematu, przenosząc na syna nieprzerobiony syndrom DDA – śmiało można postawić tezę, że wszyscy jesteśmy alkoholikami.

Jeśli nawet komuś się wydaje, że skoro nikt w moim otoczeniu nie pije, to problem mnie nie dotyczy, jest w błędzie.

Alkoholicy nie są samotnymi wyspami. Są jądrem jakiejś straszliwej ciemności. Te naście milionów orbitujących wokół nich żon, partnerek, synów, córek oraz matek żyje z nimi nawet jeśli są gdzieś daleko albo już ich nie ma.

– Zawsze mówię moim pacjentom, że zamiast radzić sobie z kryzysem męskości, wypaleniem, niskim poczuciem wartości, warto wziąć na warsztat pijacką tożsamość.

Nie zawsze, ale często się okazuje, że to rdzeń problemu, punkt wyjścia. Reszta to konsekwencje.

To kwestia, którą powtarza Sławek, mój pierwszy terapeuta. Twierdzi, że każda indywidualna historia, w której pokazuje się alkohol, to temat na studia. Nie da się zrozumieć siebie, jeśli nie poznasz wódczanej historii swoich przodków. Uwielbia się w tym grzebać.

Nasiąknęliśmy codziennością pijanych gburówatych ojców, matek, które wykrzykiwały swoją bezsilność. Byli gdzie indziej niż powinni, na poligonach awantur, pustyniach cichych dnia. Ale dla nas nieobecni.

Ale Polska jakoś z tym piciem sobie poradziła. Zaakceptowała, a nawet polubił pijaków. Na bani, na kacu, na odwyku, na głodzie, w nawrocie. Oto nasze dzieje w których odtwarzamy schematy dziejów naszych przodków.

Z całą pewnością jesteśmy narodem wybranym przez wódkę. Z wódki jesteśmy znani.

Jeszcze nie tak dawno, choć to pewnie perspektywa pięćdziesięciolatka, picie alkoholu było znormalizowanym rytuałem. Piło się w pracy, na mieście, w parku, pociągu. Piło się przy Okrągłym Stole, w trakcie strajków, nad katyńskimi grobami tańczył napity prezydent Kwaśniewski. Groteskowy hierarcha, zwany „Flaszką” doszedł do szarży generalskich, pełniąc funkcję biskupa polowego.

Prof. Wiktor Osiatyński wspominał: – Oczywiście pijanymi łatwo było władzy manipulować, ale my tego nie dostrzegaliśmy. Tego tematu w ogóle nie było w rozmowach. Opozycjonistów wśród pijących też nie było – byliśmy zbyt niebezpieczni, pijani, rozgadani.

W 1981 r., kiedy Solidarność wprowadziła społeczną prohibicję, to wszyscy przestali pić. Oprócz nas, my byliśmy uzależnieni od wódki. Krzysztof Kosiński, w „Historii pijaństwa w czasach PRL”, pisze, że w latach siedemdziesiątych kilka razy w tygodniu regularnie upijało się pięć milionów Polaków. Dochody z monopolu na sprzedaż alkoholu w istotnym stopniu utrzymywały budżet.

Gdyby ludzie przestali pić, Polsce Ludowej groziłoby bankructwo.

Kazik Staszewski śpiewał, że chodziło o coś jeszcze: „Bo im wszystkim o to chodzi abys sam nie mógł myśleć, abys sam nie mógł chodzić”.

Co we mnie jest z matki?

Może to, że udaję, że nie boli jak mnie bijesz, obrażasz, wymagasz więcej, niż potrafię unieść

– Odkąd sięgam pamięcią, piło się wódkę – mówi mi profesor z USA. Wyjechał w marcu 1968 roku. Do Polski już nie wrócił. Wspomina i śmieje się z mojej zdziwionej miny.

– To było rzeczywiście widać. Pamiętam, że jak wracałem czasem po jakiejś ostrej imprezie nocą przez park, ławki zajmowali pijacy. Trzeba było uważać, żeby nie nastąpić nogą na rzygowiny.

W Ameryce tego nie ma. W społeczeństwie, w którym jesteś obcy, jeśli chcesz przetrwać, musisz się dostosować. Pracodawca może i zrozumie twój problem z alkoholem, ale absolutnie nie zrozumie, że nic z nim nie robisz.

– Wszystko załatwił kapitalizm – przyznaje stary aktor, z którym rozmawiam. – Dawniej rzeczywiście było na to przyzwolenie. Jak przyszedłeś na kacu nikomu to nie przeszkadzało. Ale dziś nikomu nie jest potrzebny mało wydajny pracownik, który zamiast pracować cierpi, bo ma dreszcze, bo boli go głowa. Nikt nie będzie czekał, aż ozdrowieje. Jak nawalasz – wypadasz.

– A jak było kiedyś?

– Jak nie piłeś, traktowali cię jak dziwaka. Nikt nie rozumiał tej choroby, że nie możesz wypić nawet kieliszka.

No i opowiada mi, jak pili Cybulski, Wilhelm albo Pawlik.

– To byli artyści – wspomina. – Zdolni, wrażliwi. No ale wszyscy pili.

Wspomina wypadek na jednej z imprez. Ostatni dzień zdjęciowy to tradycyjna wieczorna balanga. No i ktoś przeholował. Upadł nieszczęśliwie. Pękła czaszka. Tak się zakończyła przygoda z filmem i życiem.

Po sobotnich balach chodniki zarzygane.

W połowie lat osiemdziesiątych powstał tekst Kazika Staszewskiego do piosenki „Kultu” pod tytułem „Mieszkam w Polsce”, który jakoś te czasy określał.

*Poranne chodniki
Gdy idę nie rozmawiam z nikim
Jak jest w niedzielę nad ranem
Po sobotnich balach chodniki zarzygane.*

Wstyd albo lęk. To dwie najczęstsze odpowiedzi, które dostaję, kiedy pytam co czuli, kiedy ojciec wracał pijany do domu.

– A złości nie? – Dopytuje jednego z kolegów.

– Za słaby byłem, żeby się złościć – odpowiada i pokazuje mi zdjęcie. Mały, chudy, zawstydzony dzieciaczek.

– Do dziś nie potrafię się zezłościć – dodaje. – Nie potrafię walczyć o swoje. Ale uczę się. Uczę się pokazywać, że nie jestem zadowolony, dawać sobie prawo do odmawiania innym, nawet w tych najtrudniejszych relacjach z najbliższymi.

Na poziomie teorii wiele już wiemy. Ale to tylko teoria, z praktyką jest gorzej. Nawet najlepsza rola, którą odtwarzasz w życiu, jest tylko rolą i to nie jesteś ty. I to widać gołym okiem choćbyś nie wiem jak się starał.

Może dlatego pies, który czuje twój respekt, ma przewagę. Jeśli zrobisz pierwszy krok, pogłaszczesz go albo po prostu będziesz wobec niego zupełnie obojętny, nic ci złego nie robi. Ale jak zaczniesz się czuć, po prostu cię chapnie, bo wyczuje słabość.

Podobnie jest w relacjach, zwłaszcza z ludźmi na których ci najbardziej zależy. Kompletnie nie potrafiłem się do tego zabrać: spałem się, wstydziłem, czaiłem. A może nawet bałem się, że zostanę pogryziony.

No to idźmy dalej z tym strachem.

Boisz się nie tylko za siebie. Boisz się za matkę, za siostrę.

Masz siedem albo osiem lat i bierzesz nagle odpowiedzialność za cały świat.

Ba! Ty się boisz za pijanego ojca. Chcesz go chronić, żeby poszedł spać i żeby nikt go nie denelowował. To na chwilę sprawia, że ten cień, który rzuca na wszystkich, nie jest taki ciemny i zimny.

Mam znajomą, która opowiadała mi, że w wieku piętnastu lat stała się głową rodziny. Nie dość, że ogarniała pijanego ojca, pocieszała zapadającą się w coraz większą depresję matkę. Ale to był początek. Miała dwadzieścia pięć, potem trzydzieści lat i to pijaństwo ojca i depresja matki, ciągle trzymały ją przy domu. Zupełnie jakby miała założoną smycz.

Była rozjemcą w trakcie ich awantur, zajmowała się ich problemami w pracy, organizowała pomoc medyczną. Piękna dziewczyna. Ale żaden „wartościowy” chłopak nie potrafił tego wytrzymać. Chciał mieć ją choć trochę dla siebie. Ale ona wybierała rolę ratownika, zbawiciela swojej rodziny.

Jak byłem na terapii, pootwierały mi się te wszystkie obrazki i zobaczyłem cały serial o tamtych latach, na czym polegała zabójcza dla wszystkich gra i jej reguły: współzależnienie, koncentracja życia wokół alkoholu i ta najważniejsza – nieumiejętność przerywania tego chocholego tańca.

Zniknąć, nic nie widzieć. To myśli, które mi przychodzą do głowy, kiedy wspominam tamte czasy.

Wódka, śledź i sałatka warzywna

W książce „Dom w Butelce” Agnieszki Juciewicz i Magdy Kicińskiej jest zdanie o tym: To nie jest nasz wstyd. To nie jest mój wstyd. To ich wstyd.

Ale wtedy tego nie rozumiałem.

Po jednej z akcji z ojczymem, który wyrósł nagle z naprzeciwnika, kiedy wracaliśmy ze szkoły, nie mogłem spać po nocach. Czuję się upokorzony, gorszy. Doszło do tego, że chodziłem sam, inną drogą, nadrabiając sporo, by wyeliminować możliwość spotkania z pijanym ojczymem. On się koncentrował żeby się napić, a ja, żeby go nie spotkać.

Co musi się stać z chłopakiem, który latami czuł się gorszy, żeby nauczył się czuć normalnie, żeby wyrzucił sobie z głowy wieczne porównywanie do innych? Innych, którzy czują się normalnie, uczą się, bawią, nie tracąc czasu na zastanawianie się, jak wypadają w oczach innych. Oni widzą siebie. Nie ma żadnego cienia. Widzą i wiedzą dokładnie po co żyją.

Mam przed oczyma zadymione od klubowych, radomskich i popularnych wnętrza z grupkami za stołami zastawionymi wódką, piwem i obowiązkową zagrychą, czyli śledziem albo sałatką warzywną. Kilka takich punktów musiałem obejść zanim odnajdywałem ojczyma.

Była taka piwiarnia w Krośnie Odrzańskim na deptaku i dwie restauracje po obu

stronach Odry. No i jak go gdzieś wreszcie wypatrzyłem, zazwyczaj musiałem z nim tam siedzieć, żeby się dopił. Słuchałem jego popisów, kodu pijackich żalów i współczujących adoratorów cierpienia.

No a potem holowałem go do domu. I to był wstyd, ale też swego rodzaju klęska, że ten facet, ojciec rodziny, jest taki groteskowy, bezbronny i bez świadomości. Później musiałem się czasem kryć w tych knajpach za jakimiś przepierzeniami czy kotarami, bo ja też czasem tam piłem i cykałem się, że go tam spotkam.

Pijany Polak Katolik

Dziś pijany, zataczający się pan, który wraca z imprezy, wzbudza uwagę. Ale to rzadkość. Zaraz legitymuje go policja. Wstyd na całą okolicę.

Na pewno nie napił się w lokalu. Jak ktoś za dużo przyjmie, obsługa jest bezlitośna. Kolejnej kolejki nie sprzedadzą. Miejsca, w których można napić się alkoholu, nie chcą latki mordowni, w której ludzie zalewają się w trupa.

Gnębi to mnie jakoś. Czemu dziś ludzie nie spotykają się w knajpach, żeby się napić? Przecież kiedyś siedziały tam tłumy.

Dostaję przeróżne odpowiedzi.

– Dziś pije się na smutno, często w poedynekę i skrycie – terapeuta, którego pytam jak zmieniło się picie wyjaśnia mi, że kiedyś knajpy, piwiarnie były miejscem spotkań mężczyzn po pracy. Zamiast do domu szli na piwo.

– Bo nie ma z lekka śmierdzących, cudownych knajp i czasu na przesiadywanie w nich. Bo jesteśmy na etatach własnych, a nie państwowych. Kiedyś się pijało i w redakcji. Dziś to niemożliwe, niestety. No i dlatego tak trudno zebrać myśli – tłumaczy mi dziennikarka, dobrze po siedemdziesiątce.

– Wódka to nasza historia – uśmiecha się. – Profesor Obirek mówi, że mamy ten fatalny stop Polak Katolik ale ja bym go uzupełniła. Pijany Polak Katolik.

I rzeczywiście, kiedy myślę o naszych książkach, wierszach to widzę obrazy utopione w wódce. Kreatorów tej rzeczywistości albo odtwórców wymieniał jakiś czas temu Jakub Nikodem: „Pili wódkę Borowski, Andrzejewski, Broniewski, Hłasko, Wojacek, Himilbach, Tyrmand. Od kieliszka nie stroniła Maria Dąbrowska, ani też – acz ostrożniejsza – Szymborska. Pociągał też Miłosz, który wyznawał:

Panie Boże, lubiłem dżem truskawkowy / I ciemną słodycz kobiecego ciała. / Jak też wódkę mrożoną... („Wyznanie”).

No i kino. Synergia obrazu zadymionych pomieszczeń i belkoczącej fonii gryzącej się z szuraniem krzeseł i odkładanych kieliszków. Obrazy stare jak „Pętla”, „Popiół i diament”, albo młodsze jak: „Żółty szalik”, „Pod mocnym aniołem”.

Niby opowiadają różne historie, ale w gruncie rzeczy są takie same. Życiowe rany bohaterów znieczulało się wódką. Pamiętamy doskonale te wielkie improwizacje naszych pijaków: Gajosa w tytułowym żółtym szaliku, który upaja się swoją beznamiętnością. Więckiewicz, jako Jerzego w „Pod mocnym aniołem” który zakochał się i poczuł się mocny. ale tylko na chwilę. Wreszcie pijanych bohaterów książek Jakuba Żulczyka: „Ślepnąć od światła”, „Informacji zwrotnej”.

Ostatnią wódczaną biografią, która przypomniła mi tamte realia, był film o Kuleju, który racjonalizuje swoje picie konfliktami z działaczami sportowymi, problemami z zazdrością. Nasz wielki mistrz olimpijski jest emocjonalnym analfabetą.

Jakiś czas temu ukazała się znakomita biografia Agnieszki Osieckiej „Osiecka. Rodzi się ptak” – Karoliny Felberg. Dla jej bohaterki tarczą wobec trudnych emocji dość szybko stał się alkohol. Wiersze nie wystarczały, by sublimować niepokój. Również ten wyniesiony z domu nieobecnych, zwalczających się na co dzień rodziców.

Wujek i jak sobie wypije, to rozdaje kasę

Ciekawe jest, jak łatwo kupujemy ten pijacki romantyzm, przedstawiający pijaka jako zasługującego na współczucie wrażliwca. Jakbyśmy chcieli go poklepać po plecach i dodać otuchy: Pij dalej.

Rozumie to Borys Szybczyk, rozmówca Sekielskiego w „Polsce na odwyku”. Alkoholikowi o to właśnie chodzi. To mu stwarza warunki do picia: „Oczywiście byłem na świeczniku, pijąc, i myślę nawet, że przez wiele lat robiłem z tego jakiś swój oręż – że jestem takim buntownikiem i że takie życie mi się podoba. I nie powiem, że mi się nie podobało. Wiesz, jak byłem młodym chłopakiem i oglądałem jakieś filmy albo czytałem o różnych artystach, pragnąłem żyć w dwudziestoleciu międzywojennym w Krakowie albo w Paryżu, być tym poetą przeklętym i wyklętym. Ja do takiego życia aspirowałem. To oczywiście było kolejne kłamstwo, którym się obudowałem.”

Ale są też inne. Sam pamiętam, że z perspektywy dziecka alkohol dodawał mocy. W miarę spożycia, ta moc rosła. Sporo o tym rozmawialiśmy z Markiem Sekielskim w naszej książce „Ogarnij się. Jak wychodziliśmy z szamba”.

Z mojej perspektywy, perspektywy dziecka, wyglądało to tak: widzę te zastawione salatkami i tortami imieninowe stoły. Słyszę śpiewy, żarty, jakaś nieprawdopodobna euforia. Dorośli chcieli nas przytulać, dawali drobne, bawili się z nami i potem dopiero to jakoś siadało.

Byłem widzem tego teatru. Z osób na co dzień potwornie nudnych wychodziło dużo emocji. I ta wódka teleportowała ich w nowy wymiar. I nam, mi i siostrą oraz kuzynostwu, to się bardzo podobało, że przyjeżdża jakiś wujek i jak sobie wypije, to rozdaje kasę.

Więc ta wódka nie wydawała się czymś złym. Z drugiej strony, rodzice przestrzegali mnie przed ekipami winiarzy. Pamiętam doskonale niedbale ubranych mężczyzn z widocznym gołym okiem zarostem, którzy chowali się za winklem z winem. To chyba wtedy właśnie wbiliem sobie do głowy, że to są jacyś gorsi ludzie, że pijak pijakowi nie jest równy. Mówiło się, że to jest właśnie dno.

Czy potrafimy już o tym mówić?

Była taka historia córki pewnej znanej, uwielbianej celebrytki, która zmarła na ciężką chorobę podleganą latami alkoholizmem. I ta dziewczyna wróciła z Ameryki po studiach. Skończyła Harvard. Przyjechała do Polski i udzieliła wywiadu i w tym wywiadzie opowiedziała o dzieciństwie z matką alkoholicką. Posypały się na nią straszliwe gromy.

Ona nie była cytowana w sposób współczujący czy życzliwy. Rzuciła się na nią banda z pretensją. Jak ona śmie zrobić coś tak obrzydliwego swojej już nieżyjącej matce. Grzech braku czci dla rodziców. Skończyło się na ciężkiej depresji. To był ból niemal fizyczny. Włosy wychodziły garściami. Chodziła po szpitalach.

I wreszcie iluminacja. Przyjechała do Ameryki i komuś o tym powiedziała, że tak się czuję. Usłyszała: you are not sick, you are sad, powiedział w końcu jeden z lekarzy. Nie jesteś chora, jesteś smutna. W przychodni studenckiej zobaczyła, że jest terapia dla dzieci alkoholików. Tam nikt się tego nie wstydzi. Nikt nie wmawia, że to sztuczny problem.

Wybudowaliśmy piękne autostrady, mamy nowoczesne lotniska i fotowoltaiki na dachach. No ale nie zadbaliliśmy o siebie. Wychodzenie z cienia do słońca jest trudne, bo urządziliśmy się jakoś po ciemnej stronie mocy i boimy obnażyć w jasności, choć ciepło wydaje się nam przyjemne.

Nie chodzi zresztą tylko o pokazanie siebie, odbicie w lustrze, na które nie lubimy patrzeć. To też problem głośnego powiedzenia tego co myślimy o świecie i innych. Wstyd nam, choć wstyd jest uczuciem zupełnie nieprzydatnym. ●



FOT:SHUTTERSTOCK

Zamiast radzić sobie z kryzysem męskości, wypaleniem czy niskim poczuciem własnej wartości, warto wziąć na warsztat pijacką tożsamość

Paolo Sorrentino o swoim kinie

ZAWÓD: PODGLĄDACZ

O co chodzi w kinie? Żeby zobaczyć, że życie jest piękniejsze niż naprawdę.

Anatxu Zabalbescos

EL PAÍS

Barokowe, nonszalanckie, grające z kiczem – kino Paolo Sorrentino można albo kochać, albo odrzucać. Po Oscarze za „Wielkie piękno” nakręcił po angielsku „Młodość” z idolami z młodości: Michaellem Caine’em i Harveyem Keitelem. Bezlitośnie sportretował byłych kontrowersyjnych premierów Włoch: Giulio Andreottiego (w „Boskim”) i Silvio Berlusconi’ego (w filmie „Oni”) – oraz opowiedział historię opartą na swoim życiu w „Ręce Boga”. Na festiwalu w San Sebastian pokazał nowy film, „Bogini Partenope”, który również dotyczy rodzinnego miasta reżysera: Neapolu.

Autor „Młodego papieża” rzadko zostaje się z małym szkicownikiem, teraz też pyta, czy będzie mi przeszkadzało, jeśli nie przestanie rysować podczas rozmowy (po godzinie pokaże mi efekt: portret wąsatego mężczyzny). Tłumaczy, że zawsze rysuje ludzi, ale nigdy osoby stojące akurat przed nim. „Tylko proszę nie myśleć, że nie słucham uważnie. To pomaga mi się skupić”.

„Bóg zadał sobie wiele trudu, by wymyślić szczęśliwe dzieciństwo. Potem się rozproszył” – lubię to zdanie z pana filmu.

– Dzieciństwo wręcz ociera się o doskonałość. Później nasza świadomość i poczucie odpowiedzialności generują piętrzące się problemy. Dorastanie polega w sumie właśnie na tym: człowiek stopniowo przestaje być szczęśliwy.

Pan filmy sugerują, że nasza rzeczywistość to czysty surrealizm.

– Uważam, że jestem skrajnym realistą. Nie można mi zarzucać fantazji tylko dlatego, że ktoś nie widział na własne oczy tego, co pokazuję.

Partenope, bohaterka pana najnowsze- go filmu, jest antropolożką...

– Bo antropologia jest bliska kinu – antropologia to widzenie.

„Widzenie jest ostatnią rzeczą, której się uczysz”. Kiedy pan zaczął widzieć?

– Mam 54 lata i właśnie zaczynam dostrzegać, że z czasem pewne aspekty życia faktycznie ulegają redukcji: zdolność do zdziwienia, niektóre pasje, pożądanie. Życie zaczyna się powtarzać. Ale uważne widzenie pozostaje jedną z niewielu czynności, które mogą posuwać nas nadal do przodu. Starsi ludzie dużo widzą: chodzą do kina, muzeów, na długie spacer...

• Kadr z filmu „Bogini Partenope” pokazanego w konkursie głównym festiwalu w Cannes. Polska premiera w marcu

FOT. MONOLITH FILMS

Tylko czy to nagroda za dotychczasowe życie, czy raczej forma pokuty?

– Wiem tylko, że to jedna z najlepszych rzeczy, jakie można robić: ja jestem urodzonym podglądaczem.

Fellini mawiał, że kino nie służy niczemu, ale przynajmniej odwraca uwagę od rzeczywistości. Bo rzeczywistość jest uboga, kiepskiej jakości.

Jest pan zmęczony tym, że ludzie szukają w pańskich filmach odniesień do Felliniego?

– Ani zmęczony, ani szczęśliwy.

Czy Fellini jest nadal nietykalny we Włoszech?

– Tak sądzę. Dla mnie na pewno jest największy: dał radę przekazać najpiękniejsze o życiu i o kinie. Miał rodzaj inteligencji, którą sam chciałbym mieć, zwierzęcą, instynktowną, zawsze wiedział, dokąd podążać. Tak to ujął Visconti: Federico Fellini to filmowe zwierzę. Może nie widział wszystkich odpowiednich filmów, nie spotkał samych odpowiednich ludzi, ale – jak silne zwierzęta – przetrwał. Był czystą siłą.

Też jest pan takim samotnikiem?

– Długo byłem sam i nauczyłem się być samotnym. Ale w pewnym momencie ożeniłem się, urodziły mi się dzieci.

Zadedykował pan film „Boski” swojej żonie, dziennikarce Danieli D’Antonio, bo „uratowała pana przed samym sobą”.

– Zostałem osierocony w wieku 16 lat, w związku z czym ominęło mnie sporo z tego, co zwykle głupiego i naiwnego robią nastolatki. Myślałem: jeśli pozwolę sobie na popełnienie błędu, nie będzie nikogo, kto mnie uratuje. A moja żona – ona zaczęła dawać mi przestrzeń na błędy. Jest bystrzejsza ode mnie, więc pozwoliła mi się nieraz zgubić, a potem zawsze przychodziła na ratunek.

Przed czym pana ratowała? Tymi błędami, o których opowiada pan w filmach?

– O pewnych swoich wadach nie potrafię robić kina. Zresztą ludzie zwykle wolą pokazywać się lepszymi niż są naprawdę.

Pana aktorzy zwykle wyglądają lepiej niż prawdziwi ludzie.

– To prawda. Proust miał ładne powiedzonko: ratownicy na plażach są ostrożni, ponieważ często nie umieją pływać. Gdyby żył dzisiaj, myślę, że powiedziałby to samo o reżyserach: są ostrożni, ponieważ często nie wiedzą, jak robić filmy.

Jak pan poznał swoją żonę?

– Pracowała w tym samym budynku co ja. Pisała o polityce dla „La Repubblica” na gorze, a ja próbowałem montować filmy na dole.

Moja żona ma ironiczne usposobienie, ale i tak pozostaje najpoważniejszą częścią rodziny.

Oboje cierpieliście z powodu braku ojców, za to wasze dzieci mogły dorastać w cieniu sławnego ojca...

– Właściwie jakiś cień jest zawsze. Nawet jeśli rodzice już dawno odeszli.

„Nikt nie może uciec od swoich niepowodzeń. Ale miłość zawsze ratuje”. To także o panu?

– Wiem, że to banalny frazes, ale tak jest: miłość zmienia sposób, w jaki działa świat wokół nas. Pozwala nawet zmieniać działanie czasu. Człowiek zakochany ma kompletnie zmienioną percepcję czasu.

Od dziecka kochał pan kino?

– I to bardzo. Ale muszę przyznać, że teraz już mniej. Gdybym mógł wyżyć ze sprzedaży swoich rysunków, zrezygnowałbym z kina.

Kino jest niedoskonałe z definicji, skoro ma być odbiciem życia – a życie jest bardzo

niedoskonałe. Amerykańskie filmy bywają doskonale technicznie, ale za to fałszywe, ponieważ ta doskonałość je dusi. Nawet „Osiem i pół” Felliniego, które jest najpiękniejszym filmem, jaki kiedykolwiek widziałem, w pewnym momencie staje się męczący – bo właśnie życie męczy. Ale widz tego nie rozumie.

Widz jest jak dziecko: idzie do kina i chce odpowiedzi oraz żeby wszystko działało. No ale jeśli film ma opowiadać o życiu, to w życiu przecież nie ma wielu odpowiedzi i nie wszystko działa.

Chciał pan kiedyś być muzykiem...

– Brakowało mi cierpliwości do ćwiczenia. Uczenie się to nie jest moja mocna strona. Do dziś pojmuję wszystko z opóźnieniem.

Ale nie rozstaje się pan z muzyką, jak bohater filmu „Ręka Boga”?

– Nigdy [Sorrentino wyjmując z kieszeni słuchawki]. Słucham wszystkiego, byle nie jazzu. Potrzebuję rytmu, bo to sekret uwodzenia w kinie. Rytm ma w filmie nawet większe znaczenie niż dialogi.

O co chodzi w kinie?

– Żeby zobaczyć, że życie jest piękniejsze niż naprawdę.

Został pan sierotą w wieku 16 lat, co było później?

– Trudno powiedzieć. Po śmierci rodziców stałem się bardzo drażliwy. Destrukcyjny. Byłem zły na świat.

Bardziej boi się pan mówić o sobie czy o Berlusconi?

– Jednak o Berlusconi.

Nakręcił pan o nim cały film.

– Ale z lękiem. Szukałem sensu tego filmu w sobie – i tak robię całe życie. Ostatecznie nawet poprzez film o Berlusconi mówisz kim sam jesteś lub kim chcesz być.



Dobrze dostrzeżony detal jest zawsze podstawą filmu?

– O tak, zauważyłem na przykład, że Giulio Andreotti mówiąc, zawsze przymykał oczy – i chyba w sumie dlatego nakręciłem „Il divo”.

Czy Partenope, nosząca imię z mitologii – związane tam zresztą z początkami Neapolu – też jest boginią?

– Jest raczej jak ufnie, ciekawe dziecko. A ponieważ życie zawsze oferuje przeciwieństwo tego, co powinno, płaci za to słono.

Nakręcił pan filmy-portrety Berlusconi i Andreottiego, i to za życia obu tych polityków. Czy miało to jakieś konsekwencje?

– Były pewne przykrości. Kiedy robisz film o żyjących osobach, niepokoją się, ponieważ waż wiedzą, że pewien ich obraz dotrze do wielu ludzi poza ich rodzinnym krajem, którego opinia już ich tak nie obchodzi. To ich martwi. A kiedy ludzie się martwią, puszczają im hamulce. Ale rozumiem, że to część gry. Ryzyko zawodowe.

Czy poprzez te filmy o politykach chciał pan coś powiedzieć o współczesnych Włoszech?

– Że to kraj ludzi próżnych. A próżność zmusza do popełniania wielu błędów i ostatecznie wydręcza człowieka. Dziś cała polityka jest napędzana próżnością zamiast ideałami czy wiarą we wspólne dobro, jak być może było dawniej.

A kiedy władza jest sprawowana wyłącznie z próżności, jest to początek końca.

Czyli nie nakręci pan filmu o Giorgii Meloni...

– Ani o żadnym innym żyjącym polityku. Na swój sposób Giulio Andreotti i Silvio Berlusconi, z wszystkimi swoimi wadami, mieli pewną charyzmę, nawet jeśli re-

– Tu nawet nie chodzi o wulgarność. Nasz dawny premier uprawiał specyficzne życie na pokaz i w tym zawierało się to, jak według niego mężczyzna powinien odnosić się do kobiet lub do podwładnych. Ale zarazem miał pewne zasady, którym był wierny.

Ma pan jednak coś wspólnego z Berlusconim, który mawiał: „Jeśli jest we Włoszech jakiś self-made man, to jestem nim ja”.

– On tak mówił, ale to nieprawda. To nigdy nie jest prawda – zawsze zawdzięczamy mnóstwo innym ludziom. Jak każdy jestem sumą spotkań z konkretnymi osobami i zjawiskami, które mnie kiedyś fascynowały. Nie mówiąc o tym, że jako filmowiec zależę od wsparcia całej rzeszy ludzi, którzy wnoszą do mojego kina własne pomysły i doświadczenie.

Skoro o branży mowa – jest pan głośnym orędownikiem kina europejskiego.

– Tutaj jest więcej wolności. Przynajmniej Włochy są dość wolnym krajem, jeśli chodzi o to, co można powiedzieć w sztuce.

Nakręcił pan już jednak dwa filmy po angielsku.

– Ale nigdy za amerykańskie pieniądze. Stawiają zbyt wiele warunków. W Europie reżyserowi się ufa, w Ameryce się go kontroluje. Jeśli mogę uniknąć wchodzenia w ten mechanizm, unikam go.

Chyba że pojawia się opcja pracy z Michaeliem Cainem?

– Mam zdjęcie, które dawno temu ktoś mi zrobił w Londynie obok jego woskowej figury w muzeum. Reżyserowanie go było dziwnym doświadczeniem, ale wartym ryzyka.

Wiem, że uważa się pan za lepszego autora niż reżysera, dlaczego więc nie publikuje pan powieści?

– Z powodu pieniędzy, które są jedną z moich wielkich pasji.

Lubię arytmetykę, liczenie, dodawanie. Ponadto istnieje zbyt duża dysproporcja między wysiłkiem włożonym w napisanie książki a rezultatem rozumianym jako siła rażenia przekazu. Jeśli masz szczęście, twoją powieść przeczyta 20 tys. osób. Nawet słaby film zawsze zobaczy o wiele więcej ludzi.

„Jeśli wiesz, jak kraść, nie potrzebujesz wykształcenia”, mówi w „Partenope” Gary Oldman grający pisarza Johna Cheevera.

– Jeśli Cheever to powiedział, to musi to być prawda. O moim braku formalnej edukacji filmowej myślę jako o szczęśliwym zbiegu okoliczności. Lepiej wypłynąć na morze i poszukać ryb na własną rękę, niż utopić się w akademickiej edukacji, która na wstępie odbiera wolność. W ogóle edukacja, chociaż kształtuje, to przy okazji także deformuje. Ja zawsze byłem outsiderem. Nie odpowiadałem przed nikim i nie miałem nauczycieli-autorytetów.

„Robiłem wszystko, by nie zostać intelektualistą. I udało mi się” – mówi postać grana przez Michaela Caine’a w „Młodości”.

– To o mnie, oczywiście. Lubię zmysłowy aspekt życia – emocje, pieśczęty, pocałunki, spojrzenia – o wiele bardziej niż słowa, przekonujące, błyskotliwe argumenty. Lubię uwodzenie intelektu oparte na właściwie przeżytych życiu.

Dlaczego tak wielu intelektualistów niechętnie mówi o emocjach?

– A to jedyna rzecz, o której należy mówić. Relacje zawsze polegają na uwodzeniu. Nawet w tej chwili ja staram się zaimponować moimi odpowiedziami, a pani swoimi pytaniami. To subtelna, wspaniała gra, w którą gramy, próbując cokolwiek zrozumieć z siebie nawzajem.

„Kiedy wiesz wszystko, zwykle umierasz z samotności” – to kolejna sentencja z pana filmu.

– To dość powszechnie znana prawda: głupi ludzie żyją dłużej. Są szczęśliwsi dzięki swojej ignorancji i mogą w niej dociągnąć nawet do 140 lat.

Mówi pan o Włoszech: witalne, katolickie, zdegenerowane, kruche i bezużyteczne...

– Ale także zabawne.

Nawet gdy pograżające się w głupocie?

– Wszystko ma swój awers i rewers. W Neapolu prawie nic nie działa jak należy: to oczywiste, skoro od dekad przede wszystkim dobrze się tu bawiliśmy. Ale witalność jako forma podejścia do świata jest piękna.

Czy Partenope w pana filmie można traktować jako metaforę miasta Neapol?

– Tak, w tym sensie, że Neapol wie, że jest piękny, ale żyje w nonszalanckim zanieidbanium. Podobnie jak pewien typ kobiet, tak wspaniałych, że mogą sobie odpuścić nawet wizyty u fryzjera.

„Nie można być szczęśliwym w najpiękniejszym mieście na świecie”?

– Wyświechtany frazes, prawda? Tak naprawdę po prostu trudno jest być szczęśliwym, w pięknym czy brzydkim mieście tak samo.

Bardzo interesuje mnie to, gdzie jako społeczeństwo szukamy równowagi, spokoju. Miliony ludzi szukają tego w religii. I przyznaję, że katolicyzm ma oczywiście ten swój spektakularny wymiar, który dla mnie jako showmana jest bliski.

Partenope to kobieta, która przenikliwie myśli. I w związku z tym jest samotna.

– Jest samotna, ponieważ dorastała w czasach, gdy wybór bycia wolną kobietą zwykle prowadził do samotności. Dziś też mam wrażenie, że mężczyźni, na różną skalę, ale jednak coraz bardziej boją się wolności kobiet. Fascynuje mnie to jako temat. Ale zawsze tak było, że kto jest bardzo wolny, ten stwarza problemy reszcie.

Dlaczego obawiać się wolności kobiet, a mężczyzn – nie?

– Przez wieki to mężczyźni mieli kontrolę, a utrata kontroli jest zwykle przerażająca. Jak wszystko, co dawno nabyte: jeśli stracisz dom, który zawsze posiadałeś, jest jakbyś trochę umarł. Dlatego mężczyźni przechodzą trudny okres. Niektórzy kompletnie nie wiedzą, jak nawiązywać relacje, więc sięgają po przemoc. Inni, bardziej samoświadomi czy wrażliwi, uczą się relacji. Wciąż jest to trudne.

Ale warto pamiętać, że każde podjęcie decyzji o śmiałym celu i potem konsekwentne dążenie do tego ma dla wszystkich te samą możliwą konsekwencję: można skończyć w osamotnieniu.

Po raz pierwszy główną bohaterką pana filmu jest kobieta.

– W ten sam sposób, w jaki nie znałem Andreottiego, myślę, że nie znam kobiet, więc chciałem zakochać się w kobiecej postaci w ten sam sposób, w jaki zadurzyłem się w postaci Andreottiego. Bo robienie filmu ma dla mnie wiele wspólnego z zacho-

chaniem. Rozmowy o różnicach między mężczyznami i kobietami mało mnie interesują. Interesuje mnie to, co nas łączy: zarówno cierpienia, jak i przyjemności. Filmy to mój świat alternatywny, miejsce, w którym mogę bezkarnie popaść w szaleństwo albo wykazać się odwagą. Tak, robię śmiało filmy, bo w życiu nie jestem odważny. Chociaż muszę powiedzieć, że teraz, kiedy się definitywnie starzeję, zaczynam podejmować większe ryzyko. ●

tłum. Łukasz Grzymiśławski



FOT. STEFANO RELLANDINI/AFP/EPAST NEWS

*Jestem skrajnym realistą.
Nie można mi zarzucać
fantazji tylko dlatego, że ktoś
nie widział na własne oczy
tego, co pokazuję*

*To powszechnie znana
prawda: głupi ludzie żyją
dłużej. Są szczęśliwsi dzięki
swojej ignorancji i mogą
w niej dociągnąć nawet
do 140 lat*

PAOLO SORRENTINO

prezentowali przeciwieństwo mojego wyobrażenia o tym, jak należy funkcjonować w świecie. Dziś politykom brakuje charyzmy. Także tym wszystkim prawicowym populistom.

Czy dałoby się opowiedzieć o kimś takim, jak Berlusconi, bez wulgarności?

INTUICJA KOMPUTERA

Deep Blue myślał nad tym ruchem nadzwyczaj długo. I w końcu wybrał taki, który zablokował podstęp Kasparowa. Oslupiały człowiek poddał partię.

Jarosław Kopec



Oram ostatnio w szachy, a że niczego w życiu nie potrafię traktować inaczej niż projekt do zrealizowania, to wpadłem w temat jak śliwka w kompot. Czytam więc poradniki strategii i taktyki, powoli zabieram się do nauki otwarć.

Kiedy poprzednio grałem w szachy, nie licząc jakichś incydentalnych partii, komputery dopiero zaczynały wygrywać z arcymistrzami. Ale po tym, jak jeden arcymistrz oskarżył drugiego o oszukiwanie z wykorzystaniem komputerowego szachisty, rozgorzała dyskusja, czy nie rozgrywać najważniejszych pojedynków w szczelnych pomieszczeniach, do których nie będzie mógł się przedostać jakikolwiek sygnał radiowy i dokąd nie będzie miała dostępu publiczność.

Otwarcie orangutana

Szachy są grą prostą do kodowego zapisu, dlatego podpowiadać jest bardzo łatwo. Decydująca o losach meczu podpowiedź może brzmieć na przykład „a2”. A że jeden z silniejszych silników komputerowych o nazwie Stockfish (korzysta z niego m.in. popularna platforma Chess.com) może zainstalować każdy, kto ma choć umiarkowane umiejętności programistyczne, to pojedynczy sekundant wśród publiczności, posługując się prostym systemem mrugnięć,

może pomóc nieuczciwemu pretendentowi zdobyć tytuł mistrza.

Jak na razie od matematycznych reguł rozgrywki bardziej interesują mnie biografie ekscentrycznych szachistów sprzed lat. Stąd jedno z pierwszych otwarć, które mnie zafrapowało, to otwarcie orangutana. Nawiązuje do niego tytułem swojej książki o polskich szachach „Gambit orangutana” Kasper Bajon.

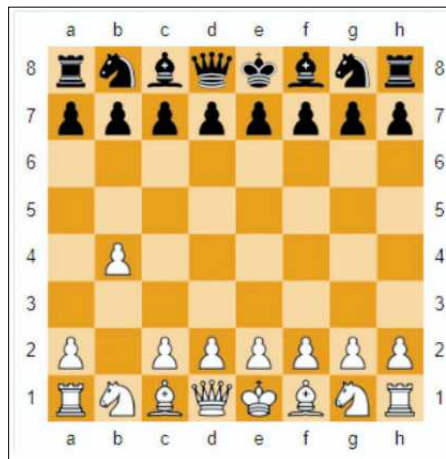
Otwarcie orangutana to cudaczne zagranie. Jednym z najgłośniejszych przykładów jego użycia był rozgrywany w 1924 r. mecz Ksawerego Tartakowera z Gezą Maroczyn.

Nieoczywistą postacią był Tartakower, jego biografia uzmysławia odmienność XIX-wiecznej rzeczywistości. Urodził się w Rostowie nad Donem w rodzinie żydowsko-polsko-austriackiej. Potem liźnął Zachodu w Genewie i Wiedniu, wrócił do Rosji, a po wojnie zamieszkał w Paryżu, ale z obywatelstwem polskim.

Wybuch drugiej wojny światowej sprawił, że Tartakower utknął na turnieju w Buenos Aires. Wielu kolegów zostało tam dłużej, czasami także dlatego, że nie mieli do kogo wracać – wielu szachistów miało żydowskie korzenie. Tartakower jednak wrócił do Europy, zaciągnął się do francuskiej armii i został Francuzem. Tak więc zaliczenie go do grona polskich szachistów jest kwestią skomplikowaną. Ale co w tamtych czasach nie było skomplikowane?

Tartakower twierdził, że inspirację do niecodziennego otwarcia meczu z Maroczym zaczerpnął od orangutanicy imieniem Susan, którą dzień wcześniej widział w zoo na nowojorskim Bronksie.

Mnie to otwarcie polegające na przesunięciu piona z b2 na b4, z lewej strony szachownicy, przypomina uniesienie wysoko pięści – gest sprzeciwu, po który sięgali i paryscy demonstranci w 1936 r., sprzeciwiając się faszyzmowi, i Tommie Smith z Johnem Carlosem podczas igrzysk olimpijskich w Mexico City. Wówczas odziana w czarną rękawicę pięść była znakiem Czarnej Siły. Tyle tylko, że tutaj gniewną pięść wznoszą białe.



Bajon w swojej książce też interpretuje tę nieszablonoową zagrywkę Tartakowera jako protest, choć nie do końca wiadomo, przeciwko komu. Czy przeciwko okrutnemu traktowaniu zwierząt tu reprezentowanych przez orangutanicę Susan? Czy przeciwko ludzkiemu złu w ujęciu ogólniejszym?

Mam wątpliwości, czy to interpretacja uprawniona. Bo czy mamy odpowiednio silne wskazówki, że Tartakower mógłby wykonać się tego rodzaju wrażliwością? Ale szczerze mówiąc, to bez znaczenia.

Szachy w getcie, w łagrach, w okopach

Uczę się więc dalej otwarć i w czasie mojej szachowej wspinaczki od zera do trochę mniejszego zera stopniowo pojąłem – w czym pomogła mi także książka Bajona – że doskonały szachista wbrew temu, co sądziłem, nie zajmuje się wyłącznie przewidywaniem przyszłości, nie myśli nie wiadomo ile ruchów do przodu.

W znacznej mierze polega bowiem na pamięci i dobrze poinformowanej intuicji. Doskonali szachiści pamiętają setki sytuacji, w których się znaleźli, setki sekwencji, które zagrali, i rozpoznają na szachownicy wzorce, które pomagają im wybierać odpowiednie ruchy.

Możliwych ruchów w szachach jest zbyt wiele, by dało się przewidywać wszystkie warianty, gdy tyka zegar. Zresztą, nawet gdyby nie było zegara, ludzka

pamięć nie pomieściłaby ich. Jest ich bowiem ok. 10 do potęgi 40. To wprawdzie mniej – wbrew obieguwej mądrości – niż atomów w widocznym kosmosie, których jest dziesięć do 78-82, ale i tak bardzo dużo.

Tak więc szachy są w głównej mierze grą pamięci. Podobnie zresztą pamięci, choć w innym znaczeniu, poświęcona jest książka Bajona. Opowiada o polskich bohaterach szachowych, o Akiwie Rubinsteinie, który miał być rabinem, ale został szachistą, a im dłużej grał, tym bardziej podupadał na zdrowiu, przede wszystkim psychicznym.

Opisuje też Bajon inną historijkę, w której szachiści utykają na wyjeździe, bo wybucha wojna światowa. Tylko tym razem rzecz dzieje się nie w tropikach Argentyny, ale w znacznie mniej tropikalnym Mannheim. Ponieważ wybuchła wojna, polscy, a więc de iure rosyjscy szachiści, zostali internowani. Setki partii rozgrywali więc w komisariacie albo w kolejnych luksusowych miejscach internowania: w Baden-Baden i szwarcwaldzkim Tribergu.

Polskę reprezentował Aleksander Flambert. Warszawiakowi wpisanemu jako reprezentant Imperium Rosyjskiego poszło fatalnie. Mnie ta historia jakoś przypomina „CK Dezerterów”.

W tym, że szachy są grą pamięci, niektórzy upatrują źródeł szczególnej predyspozycji do tej gry, którą przejawiali zawodnicy pochodzenia żydowskiego. Wedle tej teorii żydowscy szachiści mieli mieć umysły wyćwiczone na studiowaniu Talmudu, czym rzekomo przygotowywali się do zapamiętywania później setek czy tysięcy kombinacji.

Niewiele w tym pewnie prawdy, bo wielu żydowskich szachistów wcale nie śleczowało latami nad religijnymi pismami, a w ogóle Żydzi z początku XX w. w Europie niekoniecznie byli szczególnie religijni, często wręcz – jak sam Tartakower – pochodzili z rodzin konwertowanych na chrześcijaństwo lub wprost zasymilowanych i przynajmniej stosunkowo świeckich.

Akiwa Rubinstein na przykład oddał się szachom po tym, jak zerwał z jesiwą i planowaną karierą rabina, choć może jeszcze istotnie pomogła mu wznieść fundamenty pałacu pamięci.

Ja w pamięciowym charakterze gry w szachy widzę z jednej strony kognitywistyczną ciekawostkę, która pokazuje, że ludzki umysł jest raczej maszyną przetwarzającą przeszłość, a nie przewidującą przyszłość, z drugiej – zachętę, by pamiętać o szachistach, ich meczach, turniejach, tragediach i dylematach używać jako wehikułu, którym można się cofać w czasie.

Do wyrastającej, wydawałoby się, z niczego Łodzi, która stała się jednym z czołowych szachowych centrów świata. Do wiejskich sztetli, z których młodzi Żydzi uciekali do miast, by znaleźć schronienie w szachowych klubach.

I do obserwacji, że nawet w najcięższych wojennych czasach ludzie muszą też po prostu żyć. Grali więc w szachy w okopach pierwszej wojny, w getcie, w lagrach, strugali pionem w obozach koncentracyjnych albo nad szachownicą umierali. Niektórzy grali, żeby przeżyć – Bajon wspomina o szachistach uratowanych w czasie wojny przed śmiercią przez swoich szachowych kolegów z aryjskiej strony.

Gari Kasparow przegrywa z Deep Blue

Grające w szachy komputery – choć nie wszystkie, ale o tym za chwilę – różnią się od ludzkich szachistów tym, że grają, patrząc raczej w przód niż w tył.

Jednym z królów królewskiej gry jest dzisiaj Stockfish – program komputerowy, którego kod źródłowy każdy może pobrać z GitHuba. Tenże arcymistrz – choć i to zmienia się wraz z kolejnymi jego wcieleńiami – czerpie swoją siłę właśnie z tego, że może myśleć w przód.

*Grali więc w szachy
w okopach pierwszej
wojny, w getcie,
w lagrach, strugali pionem
w obozach koncentracyjnych.*

W „Grze tajemnic” z 2014 r. grany przez Benedicta Cumberbatcha Alan Turing rozmawia podczas przesłuchania, które zaprowadzi go na przymusową „terapię” homoseksualizmu, ze śledczym. Śledczy zaś, chyba pod wrażeniem, jakiego znamienitego podejrzanego przyszło mu przesłuchiwać, zadaje pytanie spoza protokołu. Przypomina tym podekscytowanego słuchacza na spotkaniu autorskim.

– Maszyny będą kiedyś mogły myśleć jak ludzie? – pyta.
– Większość osób twierdzi, że nie – odpowiada Turing.
– Pan nie jest jak większość osób.
– Problem w tym, że zadaje pan głupie pytanie. Maszyny nie mogą myśleć jak ludzie, bo maszyna jest inna od człowieka. Myśli więc inaczej. Interesujące pytanie brzmi raczej, czy jeśli jakaś osoba myśli inaczej niż pan, to czy oznacza to, że nie myśli wcale. Pozwalamy ludziom różnić się pomiędzy sobą. Pan lubi truskawki, ja nienawidzę lyżew, pan płacze na smutnych filmach, ja mam alergię na pyłki. Jaki sens mają różne gusta czy preferencje, jeśli nie taki, że nasze mózgi działają inaczej, inaczej myślimy. Jeśli możemy powiedzieć to o sobie nawzajem, to dlaczego nie możemy powiedzieć tego samego o mózgach zbudowanych z miedzi, kabli i stali?

W szachach metalowe mózgi myślą inaczej niż ludzie. Te podobne do Stockfisha z jednej strony przetwarzają niezliczone ilości wcześniejszych rozgrywek, więc posługują się pamięcią. Z drugiej – kalkulują szanse wygranej na wiele kroków do przodu. Mierzalnym rezultatem ich myślenia jest to, że wygrywają. Turing w wersji filmowej powiedziałby więc pewnie, że nie potrzebujemy chyba innego do wodu, że myślą.

Rozgrywka, w której po raz pierwszy arcymistrz przegrał z komputerem – mecz Gariego Kasparowa z Deep Blue – nie był wcale tak jednowymiarowy, jak bywa przedstawiany. Wiele uwagi poświęca mu w książce „The Signal and the Noise” Nate Silver – amerykański statystyk, specjalista od przewidywania przyszłości metodami naukowymi, który został gwiazdą, gdy przewidział poprawnie wyniki wyborów prezydenckich w 2008 roku w 49 z 50 stanów USA.

Jak wyjaśnia Silver, mecz szachowy składa się z trzech podstawowych części. Pierwsza – otwarcie – cechuje się tym, że nie da się prosto obliczyć, co należy zrobić. Nie ma jeszcze czego bić, nie ma jak zrobić mata. Szachiści polegają więc na opasłej tradycji szachowych otwarć, które doczekały się dziesiątków teoretycznych opracowań. Wybierają ruchy i kontry zgodnie z jedną z kilku partytur. Podobnie działał Deep Blue.

Artykuł poradnikowy, który czytam na łamach Chess.com, doradza początkującym szachistom, a więc i mnie, żeby w pierwszej kolejności opanować grę włóską, obronę sycylijską, obronę francuską i otwarcie Ruya Lopeza.

Same nazwy tych otwarć przechowują w sobie historię królewskiej gry. Ruy Lopez to imię hiszpańskiego księdza z XVI-wiecznej Estremadury, który wykorzystywał peregrynacje do pałacu papieskiego i na dwory szlacheńców do potyknięcia się z innymi szachistami.

Został po sobie pierwszą teoretyczną rozprawę o otwarciach szachowych wy-

dana w 1561 r. Teraz powinniście czuć dramat mojego położenia. Teoretyczna nauka otworzyć szachowych ma już prawie 500 lat tradycji. I jak to teraz ogarnąć?

Deep Blue poddał się w 45. ruchu
W 1997 r. w Nowym Jorku w rewanżowym meczu z Deep Blue, rok po porażce, Kasparow wyszedł najpierw koniem ze strony króla, potem pionami na g3 i b3.

„Od razu widać, że to nie jest Garry Kasparow”, komentuje historyczny mecz Levy Rozman, międzynarodowy mistrz i popularny szachowy youtuber prowadzący kanał GothamChess, który został moim przewodnikiem po świecie szachów. Rozman otwarcie Kasparowa klasyfikuje jako rodzaj ataku indyjsko-królewskiego, a więc wariant systemu bardzo rzadko spotykanego w rozgrywkach na poziomie arcymistrzowskim.

W odpowiedzi Deep Blue zaatakował gońcem. „Bez wątplenia dlatego”, pisze Silver, „że ze zgromadzonych danych wynikało, że takie zagranie historycznie ograniczało szansę zwycięstwa białych [w tym przypadku – Kasparowa] z 56 do 51 procent”.

W kolejnym ruchu Kasparow postanowił zaskoczyć przeciwnika i zamiast wzmocnić obstawę swojego skoczka, wyruszył pionkiem po drugiej stronie szachownicy. Powstały na skutek tego ruchu układ figur w zawodach szachowych na poziomie arcymistrzowskim miał miejsce tylko raz. Więc Deep Blue nie mógł już polegać na analizie danych z przeszłości. „Musiał zacząć myśleć sam”, pisze Silver.

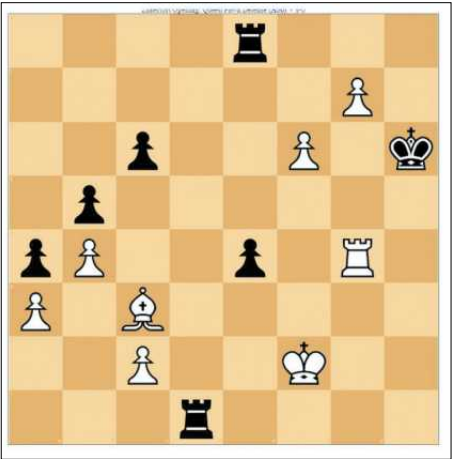
Po długiej grze manewrowej, w ruchu 30., Kasparow wystawił na bicie swoją wieżę. I Deep Blue wykorzystał sytuację. Tyle tylko, że do swoich kalkulacji nie wliczył przewagi, którą uzyskał Kasparow – jego pionem miały teraz otwartą drogę do ataku na słabo chronionego króla.

– Komputery były wtedy materialistyczne – wyjaśnia Rozman. Materiałem nazywa się wartość figur, które gracz ma na szachownicy. Myślenie materialistyczne, które zdaniem Rozmana dominowało w analizie prowadzonej przez Deep Blue, miało polegać m.in. na chętnym przystawaniu na korzystne wymiany figur, jak ta, na którą skusił Blue Kasparow.

„Kasparow nie wie jeszcze, jak dokładnie król Deep Blue zostanie zmatowany, ale wie, że wobec takiego naporu komputer ma mniejsze szanse na wygraną”. W tym zdaniu zamyka się sedno ludzkiej gry w szachy – nie chodzi o to, by wiedzieć od razu całą grę do samego końca.

Chodzi o to, by umieć podejmować dobre decyzje w sytuacjach, w których nie da się wszystkiego wprost policzyć. Deep Blue na tamtym etapie nie miał wystarczająco dużo mocy obliczeniowej, by wejść w przyszłość odpowiednio daleko i zapobiec swojej porażce. Kasparow też nie potrafił tego dokładnie wyliczyć. Ale miał coś, co pozwalało mu poruszać się w zamglonej przyszłości, a więc szachową intuicję i strategię.

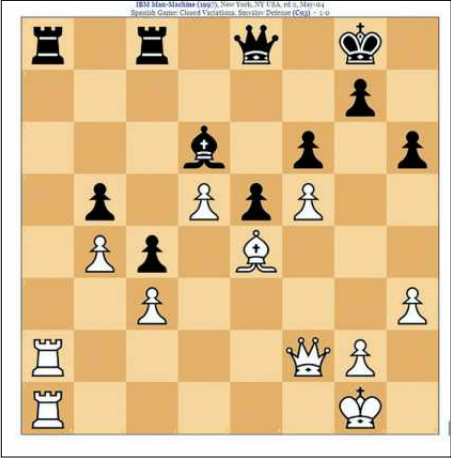
Finalnie Kasparow tę partię wygrał – Deep Blue poddał się w 45. ruchu. Można było odnieść wrażenie, że szachowa supremacja ludzkości pozostanie niezagrożona.



Kasparow w panice

Kolejnego dnia w kolejnej partii komputer, grając białymi, otworzył Ruyem Lopezem. Dalej wszystko toczyło się standardowo, aż doszło do 36. ruchu Blue. Miał dwie podstawowe możliwości. Mógł wysforować się hetmanem i zbić pionem Kasparowa. Wpadłby w pułapkę, ale Kasparow się spodziewał, że komputer da się nabrać, bo ówczesne maszyny szachowe były materialistyczne.

Komputer jednak myślał nad tym ruchem nadzwyczaj długo. I w końcu wybrał ruch, który zablokował podstęp Kasparowa na środku planszy. Ruch gońca na e4 wytrącił Kasparowa z równowagi.



Rozman wskazuje, że unikając pułapki, komputer zachował się niezgodnie z oczekiwaniami Kasparowa – nie przyjął okazji do korzystnego bicia, która podobnie jak w poprzednim meczu miała dać Kasparowowi przewagę strategiczną.

Co więc stało za tą decyzją? Jak pisze Silver, Kasparow analizował sytuację na szachownicy i nie mógł wydobyć się z osłupienia. Widział dwa możliwe wyjaśnienia. Albo komputer jest o wiele dłuższy inteligentniejszy od niego, albo nie gra sam – pomaga mu jakiś ludzki element arcymistrzowski.

Dziesięć ruchów później osłupiały Kasparow poddał partię. Podczas konferencji prasowej aluzyjnie oskarżył zespół IBM o oszustwo. Załamał się jeszcze bardziej, kiedy analizy przeprowadzone po meczu wykazały, że był w stanie doprowadzić do remisu.

Kasparow i Deep Blue po dwóch grach mieli więc po jednej wygranej. W kolejnych partiach Kasparow sięgał po niestandardowe otwarcia, licząc na to, że skonfunduje maszynę. Wiedział, że została skonstruowana w taki sposób, by pokonać nie dowolnego arcymistrza, ale właśnie jego. Dlatego starał się – jak wyjaśnia Silver – grać jak ktoś inny.

I także dlatego przegrywał – innych otworzyć, innych rozegrać nie znalazł wylot jak tych, którymi się posługiwał. Ale prawdziwym zgryzem było kończenie gier. O ile na początku gry liczby możliwych kombinacji są gargantuiczne, to w końcu meczu tych możliwości jest już mniej.

Wówczas sfinalizowanie korzystnej sytuacji wygraną wymaga długiej serii bezbłędnych posunięć. Deep Blue dysponował bazami zakończeń – wiedział, jak w danej sytuacji, która wydarzyła się już kiedyś na turnieju, dać mata w, dajmy na to, 200 ruchach. Dla człowieka spamiętanie tylu zakończeń podczas mistrzowskiego pojedynku to znacznie poważniejsze wyzwanie.

Do piątej gry Kasparow podszedł z jedną wygraną i trzema remisami. Tyle samo miał ich Deep Blue. Poddał ją w 19. ruchu, bo popełnił banalny błąd – stracił hetmana. Jak widać, może się to przydarzyć każdemu. Ale nie sztucznej inteligencji.

Murray Campbell, jeden z programistów Deep Blue, przyznał, że niestandardowe zagranie w drugim meczu było wynikiem błędu w oprogramowaniu, które – jeśli coś nie działa – wykonuje po prostu losowy ruch.



• W 1997 r. w Nowym Jorku w rewanżowym meczu z Deep Blue, Gary Kasparow wyszedł najpierw koniem ze strony króla, potem pionami na g3 i b3 FOT. NAILAH FEANNY/GETTY IMAGES

– Widzieliśmy ten błąd wcześniej, w testowej grze, i myśleliśmy, że to naprawiliśmy – wyjaśnił.

Tak więc, owszem, komputer wygrał z arcymistrzem. Ale sądzę, że wygrał z nim w wyniku błędu w oprogramowaniu, okazał się chwilowo mniej (albo bardziej) bystry, niż spodziewał się Kasparow.

I to doprowadziło go do rozstroju, a następnie do porażki na froncie psychologicznym.

Nie jest bez znaczenia, że wyjaśnienia, które widział w tamtym momencie Kasparow – albo że komputer jest za głupi, albo za mądry – są sprzeczne. Gdyby to pierwsze było prawdziwe, oznaczałoby, że tak naprawdę musi stać za komputerem człowiek, a więc mamy do czynienia z oszustwem. Drugie – że komputer jest tak mądry, widzi tak daleko w przyszłość, że nie szans z nim wygrać.

Widać w tym myśleniu panikę. Kasparow przecież wygrał z Deep Blue dzień wcześniej. Wówczas udało mu się nabrać komputer właśnie dlatego, że ten koncentrował się na taktyce, ale nie widział bardziej długofalowych konsekwencji swoich ruchów. Nie potrafił rozumować na skróty, liczyć we mgle.

Szachowe drzewo

Dzisiaj programy szachowe są silniejsze od ludzkich graczy. Ale w tym, jak myślą, też doszło do przełomu.

Jedna gałąź programów szachowych, do niedawna jedyna, posługuje się metodami podobnymi do tych, którymi posługiwał się Deep Blue. Algorytmy przeszukują drzewo stanów gry, a potem oceniają je przy pomocy funkcji ewaluacyjnych.

Jak to często bywa z wyrafinowanymi algorytmami, za tym skomplikowanym sformułowaniem stoi w gruncie rzeczy prosta zasada. Na początku szachownica zawsze wygląda tak samo. Biały może wykonać 24 ruchy. Wyobraźmy sobie więc, że z tego pierwotnego stanu gry wyrastają 24 gałęzie. Z każdej z nich znowu wyrastają 24 gałęzie – bo tyle ruchów może w odpowiedzi wykonać czarny.

Po każdym ruchu z każdego stanu gry wyrastają kolejne gałęzie odpowiadające liczbie ruchów, które wykonać może gracz. I tak powstaje drzewo stanów

gry, które bardzo szybko osiąga rozmiary trudne do ogarnięcia ludzkim rozumem.

Teoretycznie komputer mógłby przeszukać wszystkie gałęzie i znaleźć wygrywające ruchy. Musiałby aktualizować położenie w drzewie wraz z ruchami przeciwnika, ale ostatecznie szachy nie mają elementu losowego, a liczba zakończeń meczu jest, choć ogromna, skończona. Dysponując odpowiednią mocą obliczeniową, powinno więc dać się znaleźć wygraną.

Ale w praktyce komputer nie jest w stanie tego robić w czasie rzeczywistym – obliczeń jest zbyt dużo nawet dla mózgu wykonanego z krzemu i kabli. Dlatego algorytm musi odcinać gałęzie, które nie rokują. Do tego służy funkcja ewaluacyjna, która ocenia, jak silne jest położenie gracza w poszczególnych stanach gry. I za jej pomocą wybiera gałęzie do obcięcia.

Podobnie działają ludzcy szachiści – choć na początku biały może wykonać 24 ruchy, w praktyce sięgnie po jeden z kilku uznanych przez tradycję za najkorzystniejsze. Za funkcję ewaluacyjną robią w takim wariantcie opracowania napisane na przestrzeni setek lat, które podpowiadają, jakie ruchy pozwalają skutecznie kontrolować poszczególne otwarcia.

Ewaluacja nie odbywa się więc w trakcie gry, ale w ciągu lat grę poprzedzających, gdy arcymistrz uczy się z wielowiekowej tradycji. Podobnie ja, gracz jeszcze niezaskługujący nawet na rangę amatora, uczę się tego z tutoriali szachowych otwarc.

Funkcja ewaluacyjna, którą posługuje się komputer, też powstała zawczasu

– w trakcie gry jest tylko stosowana do konkretnych układów na szachownicy.

Przez lata taki sposób konstruowania programów szachowych dominował. Ich siła rosła wraz z dodawaniem mocy obliczeniowej, technicznymi poprawkami, które usprawniały obliczenia.

A potem Leela zaczęła robić cuda

Okolo roku 2017 zaczęło się to jednak zmieniać. Na szachowe salony wtargnęły programy oparte nie na siemieżnych algorytmach szachowych, ale na sieciach neuronowych. Uczące się programy trenowały same ze sobą. Jeden z najbardziej znanych – Alpha Zero – po 9 godzinach treningu osiągał poziom pozwalający pokonać jeden z wiodących programów szachowych napisanych w starej generacji – Stockfisha 8.

Autorem jednego z dobrych programów szachowych starej generacji był Paweł Koziol. Jego Rodent, jak pisze na łamach „Dwutygodnika”, był w najlepszym momencie 30. na świecie. Wiemy, bo programy szachowe też mają swoją ligę.

Ale wraz z wkroczeniem programów opartych na sieciach neuronowych Rodent poszedł w odstawkę. Przełomowym punktem była w tej historii potyczka Rodenta z Leelą – programem zbudowanym na podstawie założeń sieci neuronowych, który uczył się grać, nie wiedząc, co do powiedzenia na temat strategii gry w szachy mają gracze ludzcy.

„Uważam, że w konfrontacji z nową technologią, której siła stanowiła wtedy wielką niewiadomą, mój program spisał

się nieźle. W niewygodnej pozycji oddał piona, licząc na to, że aktywność jego figur skompensuje niewielki deficyt materialny.

A potem Leela zaczęła robić cuda. Pozycja jej skoczków przez długi czas wyglądała dziwnie, płały się z tyłu, pozornie bezużyteczne. Po kilkudziesięciu ruchach okazało się jednak, że pozycję białych można powoli poprawiać, a czarne nie mają jak się temu przeciwstawić.

Moje prywatne spekulacje przegrały w ten sposób z dobrze zdefiniowanymi metodami statystycznymi. Eksperyment się powiódł i cieszę się, że dane mi było w nim uczestniczyć” – pisze w epitaforium dla swojego programu Koziol.

Mistrz szachowy Bill Jordan podsumował różnicę pomiędzy Leelą (programem opartym na sieci neuronowej, podobnie jak AlphaZero) a Stockfishem już w tytule swojej książki: „Kalkulacje kontra intuicja”

Leela nie musi przeszukiwać całego drzewa decyzyjnego. Podczas tysięcy gier, które rozegrała, wykształciła rodzaj intuicji ucieleśnianej w funkcji ewaluacyjnej. Ta funkcja ewaluacyjna z ludzkiego punktu widzenia jest po prostu ogromnym zbiorem instrukcji opartych na prostych działaniach matematycznych. Ale ten zbiór instrukcji powstaje na tak abstrakcyjnym poziomie, że nie sposób wyjaśnić prosto, jak działa.

Ruch w kierunku sieci neuronowych w szachach jest jednak ruchem w kierunku upodobnienia ich do ludzkich graczy. Znowu o ich sile decyduje nie umiejętność patrzenia w przyszłość, na której opierał się np. Stockfish, ale wyćwiczona na tysiącach rozgrywek intuicja, która potrafi w mig ocenić, które ruchy mają sens, a które niekoniecznie.

Najważniejsza różnica polega na tym, że sieć neuronowa potrafi po prostu zbudować tę intuicję szybciej, zawsze umie wyciągnąć sensowne wnioski i nie popełnia najprostszych błędów wynikających ze zmęczenia albo rozproszenia uwagi. Ale na dobrą sprawę nie wiemy też, w jaki sposób faktycznie myśli o szachach człowiek. O tym, jak działa ludzki mózg, wiemy jeszcze mniej niż o algorytmach Alpha Zero.

Ostatnie pytanie brzmi jednak, czy to, że sieć neuronowa myśli inaczej niż człowiek, oznacza, że nie myśli wcale? ●

Ruch w kierunku sieci neuronowych w szachach jest ruchem w kierunku upodobnienia ich do ludzkich graczy

Podwyżka

Prezes Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski poinformował nas, że „trwa walka o bezpieczeństwo dzieci w szkole”. Zadrżeliśmy, bo nic nie jest nam tak drogie, jak dzieci i ich bezpieczeństwo.



Michał Rusinek

Jeśli tylko wyrazimy zgodę, możemy co tydzień dostawać list od samego prezesa Ordo Iuris Jerzego Kwaśniewskiego. Jest to właściwie newsletter, ale ponieważ zwraca się do nas prezes Kwaśniewski zgodnie z zadeklarowaną przez nas uprzednio płcią, więc mamy poczucie, że pisze właśnie do nas.

A jest to epistolograf płomienny, używający wytluszczonego druku, zwanego z angielska dumnie boldem, oraz nadużywający wykrzykników. Ale nie ma się co dziwić: zagrzewa nas on do walki i oporu, bezlitośnie szydzi z ideologicznych wrogów, rysuje przerażające wizje prześladowań i tortur, szkokuje obrazami dewiantów i odtrąbia własne zwycięstwa na różnych frontach. Krótko mówiąc: śmiesz, tumani, przestrasza.

Ostatnio poinformował nas, że „trwa walka o bezpieczeństwo dzieci w szkole”. Zadrżeliśmy, bo nic nie jest nam tak drogie, jak dzieci i ich bezpieczeństwo. Chodzi oczywiście o edukację zdrowotną, ale Jerzy Kwaśniewski, który nie da sobie zamydląć oczu, nazywa ją po imieniu: „Minister Barbara Nowacka planuje wdrożyć wulgarną edukację seksualną do naszych szkół”.

Kluczowy jest w tym zdaniu przymiotnik „wulgarny”. Pochodzi on od łacińskiego słowa „vulgaris”, oznaczającego coś pospolitego, właściwego pospółstwu czyli ludowi („vulgus”). Obecnie dotyczy środków wyrazu – języka i zachowań – i oznacza tyle, co ordynarny, nieprzyzwoity, pozbawiony smaku czy subtelności. Skoro więc prezes Kwaśniewski zarzuca ministerstwu wulgarność, liczymy na to, że ją napiętnuje. I po cichu oczekujemy, że jej przejawy zacytuje, bo przecież wulgarność bywa perwersyjnie pociągająca, jak owoc zakazany, zwłaszcza dla osób żyjących w okowach konserwatywnych zakazów.

Przeczytajmy więc, z wypiekami, jakież to wulgarności znalazł prezes Kwaśniewski w „demoralizującym” programie nowego przedmiotu. „Nawet edukacja domowa, szkoły katolickie, czy po prostu dobre szkoły – nie będą mogły uchylać się od mówienia uczniom podstawówek o »zachowaniach autoseksualnych«, rodzinach »z dwoma tatusiami«, możliwości dowolnego kształtowania swojej orientacji seksualnej czy ideologicznych konstrukcjach »cisplciowości« lub »transplciowości«. W liceach nastolatkomw będą zgłębiać wiedzę o czynnikach wpływających na popęd seksualny (libido), o »różnych formach aktywności seksualnej« i »przynależności do grupy LGBTQ+«”.

Dalej – potykając się nieco o obrzydliwie zgenderyzowaną polską gramatykę pisze: „Dzieci z klas 7-8 mają zostać zapoznani z pojęciami orientacji psychoseksualnej i kierunkami jej rozwoju »(heteroseksualna, homoseksualna, biseksualna, asekualna)«; wyjaśniać pojęcia: »tożsamość płciowa, cisplciowość, transplciowość«, charak-

teryzować »metody antykoncepcji, np. mechanicznej, hormonalnej, chemicznej, naturalnej«. Przyznajmy, że jesteśmy nieco rozzarowani. Jakoś inaczej rozumiemy wulgarność. Słownikowo, czyli tradycyjnie.

Tymczasem dla Kwaśniewskiego wulgarne są takie sformułowania, jak „zachowania autoseksualne”, „libido”, „formy aktywności seksualnej”, „antykoncepcja”, „orientacja psychoseksualna” – czyli pojęcia naukowe, z definicji będące na antypodach języka niewykształconego „pospółstwa”. Owszem, dla ludzi nieznających języka naukowego mogą brzmieć groźnie, bo są niezrozumiałe, a to, czego nie rozumiemy, zwykle budzi lęk. Jeśli dodamy do nich jeszcze wyrazy nowsze, więc płycej zakorzenione w dyskursie seksuologicznym, jak trudna do wymówienia i kojarząca się muzycznie „cisplciowość” – mamy już poczucie osaczenia ze wszystkich stron językiem obcym, a więc zapewne wrogim. Łatwo więc Kwaśniewskiemu przekonywać, że są to brzydkie słowa.

A w dodatku niebezpieczne, bo – zdaniem prezesa – jeśli dzieci będą się nimi posługiwały, to ulegną „demoralizacji” i „ideologicznej indoktrynacji”, która będzie – jak pisze Kwaśniewski, nie zważając na niefortunność metaforyki – „brzemieniem w skutki”.

Jakie to skutki? Otóż jeśli „w szkołach ponadpodstawowych uczniowie będą [...] opisywać »stereotypy płciowe«, a także omawiać ich negatywny wpływ na rozwój człowieka i relacje interpersonalne oraz omawiać sposoby przeciwdziałania im”, to „trudno powiedzieć, ilu uczniów po takich lekcjach zacznie kwestionować swoją tożsamość płciową i wpadnie w łapy tranzycyjnego biznesu, który zarabia miliony na okaleczaniu zdrowych nastolatków w imię fałszywej ideologii”. Tymczasem nasze pieniądze powinny płynąć w zgola odmiennym kierunku.

Dodajmy, że Ordo Iuris ma znacznie skromniejsze potrzeby finansowe: monitorowanie działań rządu Tuska, które „wiąże się dla naszych analityków z wieloma godzinami analizowania tysięcy stron procedowanych aktów prawnych” to miesięczny koszt zaledwie 6 tys. zł. Podjęcie „interwencji w obrobie praw rodziców do wychowania dzieci w zgodzie z własnymi przekonaniami, w ramach której wychodzimy często na drogę procesową, wymaga drobiazgowego zbadania sprawy, przeprowadzenia analizy prawnej, sporządzenia potrzebnych dokumentów oraz wiąże się każdorazowo z podróżami po całym kraju” to suma od 10 tys. do 20 tys. zł. Natomiast „opracowanie analizy nowej propozycji rozporządzenia w sprawie edukacji zdrowotnej” oraz „wskazanie i precyzyjne omówienie wszystkich merytorycznych argumentów przeciwko umieszczeniu w podstawie programowej wulgarnych treści” wycenia prezes Kwaśniewski na 16 tys. złotych – i zachęca do wpłat.

Innymi słowy, wydobycie rzekomych wulgaryzmów z programu nowego przedmiotu, czyli pracę w istocie filologiczną, pracownicy Ordo Iuris wyceniają bardzo konkretnie. W imieniu przymierających głodem filologów pragnę wyrazić prezesowi ogromną wdzięczność, bo wycena ta stanowić będzie od teraz ważny argument w rozmowach z pracodawcami – na przykład redakcji gazety, do której pisujemy – o podwyżkach. Nareszcie wiemy, ile powinno kosztować znajdowanie figur, tropów, toposów, motywów czy wątków w utworach literackich. Dziękujemy i z niecierpliwością czekamy na kolejny newsletter! ●

Cement cementuje

Poszukajmy gadżetu kampanijnego dla Trzaskowskiego i Nawrockiego

Marcin Matczak



W świecie, w którym obraz wart jest tysiąca słów, gadżety polityków są ważne. Pila łańcuchowa prezydenta Argentyny Javiera Mileia, mural graniczny Donalda Trumpa czy nasza swojska gaśnica Grzegorza Brauna. Artefakty, narzędzia, rzeczy, które mówią i symbolizują. Pod koniec tego roku zastanawiam się, jaki będzie kampanijny gadżet Rafała Trzaskowskiego.

Bo gadżet to broń polityczna i trzeba ja wybierać z namysłem. Karol Nawrocki, kandydat PiS, już się zaczął wokół swoich gadżetów kręcić. Albo będą to rękawice bokserskie, bo chyba nie kij bejsbolowy, może będzie to worek cementu. Wybór nie jest głupi. Boks kojarzy się z walką, a walka z odwagą i sprawczością. Cement cementuje – na przykład wspólnotę. A poza tym kojarzy się z budowaniem i to solidnym, nie budowaniem na piasku.

Jak widać, prawica wybiera na swoje symbole gadżety sprawcze: pila tnie, mur zatrzymuje, gaśnica gasi. Ich przeciwnicy wybierają zazwyczaj inaczej – świński łeb i dildo Janusza Palikota, na ten przykład, tej sprawczości w sobie nie mają. Uosabiają raczej prowokację (świnia) albo przyjemność (sztuczny penis). Oczywiście można sobie jeszcze wyobrazić walkę na flagi: biało-czerwoną, unijną, tęczową. Ale to już się przejadło.

Może tramwaj? Nie jest zły, bo łączy (na przykład dzielnice Warszawy) i przenosi w inne miejsca. Zasięg ma jednak niewielki (choć Himilbsbach mówił: „Ja zwiedziłem kawał świata! Widziałem Mokotów, Powiśle, Pragę, ulicę Targową niech Pan sobie wyobrazi!”).

Może gadżetem będzie kładka – kojarzy się z przerzuceniem bezpiecznej przeprawy nad burzliwymi wodami. Chyba że jest rekreacyjna, wtedy też kojarzy się raczej z przyjemnością, a ta sprzedaje się słabiej niż militaryzacja czy odbudowa. Gramofon z płytą jazzową też się nie nada – zbyt inteligencki i nie da się nim kogoś uderzyć, powstrzymać czy zgasić.

Ma więc Rafał Trzaskowski gadżetowy problem. Oczywiście nie jest ten problem związany jedynie z jakimś śmiesznym rekwizytem, ale z całociowym wizerunkiem rządzącej koalicji.

Oś wizerunkowego sporu między konserwatystami a postępowcami biegnie dzisiaj po linii „siła-słabość”, „surowość-frywolność”, „solidność-rozmemlanie”, „asceza stanu wojny-hedonizm czasu pokoju”. Nie chodzi tu o prawdziwe cechy polityka czy jego partii, to jasne, ale o to, jak polityk czy partia jest postrzegana. Prawica robi wszystko, żeby przekonać ludzi, że kiedy ona jest na wojnie, inni są na wczasach. Chętnie pozuje i robi brodą Mussoliniego, żeby ludzie uwierzyli, że kiedy ona marci się o los Polski i jej geopolityczne bezpieczeństwo, jej przeciwnicy albo haratają w gałę, albo chodzą w radosnych paradach.

Można się z tego nabzdyczenia śmiać, ale nie można go lekceważyć. Wielu ludzi ma nieprzeparte i uzasadnione wrażenie,

że świat płonie. Dlatego bliżej im psychologicznie do emocji wyrażanych przez zaciętą twarz Zelenkiego, który – choć kiedyś był komikiem – od dwóch lat się nie uśmiecha, niż do lekkości Szymona Holowni. Stąd wydaje mi się, że najbliższe wybory prezydenckie w Polsce wygra kandydat poważny, surowy i taki, który daje ludziom poczucie sprawczości.

Na razie z tą sprawczością Koalicji Obywatelskiej jest słabo. Komisje sejmowe śledzące zło PiS nie mogą się go dośledzić. Rozliczenia za atak na praworządność kuleją, bo strzela im w kolano raz po raz Andrzej Duda. To główny zabetonowujący prawicowej myśli prawniczej, dzięki której słabo działające sądy po „reformie” działają beznadziejnie, a dodatkowo w ogromnej liczbie spraw nie są w stanie wydawać niepodważalnych wyroków. Ale teraz ten chaos działa na niekorzyść rządu Tuska, nie PiS.

Romanowski na Węgrzech także przyczynia się do tego, aby spełniło się przekleństwo Ziobry o „fujarach” – jak w filmie o policjantach i złodziejach, ludzie zaczynają kibicować temu złemu, który gra państwu na nosie. Bo pamięć o przekrętach szybko zanika w świecie wiecznej terażniejszości. A brak sprawczości staje się kłopotem.

To, w czym koalicja jest wizerunkowo dobra, a więc prodemokratyczność, probowatelskość, zdolność do dyplomacji i rozmów, liczy się dla jej twardego elektoratu. Poza tym ludzie wiedzą, że Trzaskowski jest odcytany i mówi w czterech językach. Tu Nawrocki nie może z nim konkurować – po co wzmacniać się tam, gdzie już się jest mocnym?

Dla wahających się inne rzeczy są ważne. Dla nich to nie jest czas pokoju, tylko czas permanentnego stanu wyjątkowego – nie czas pozytywnych emocji, ale czas obaw o przyszłość. Dlatego władza prodemokratyczna musi się politycznie zmilitaryzować, musi przestać się uśmiechać. Musi być bardziej zadziorna, fizyczna surowa – mniej inteligencka.

Poprzedni prezydent Warszawy, który został prezydentem Polski, Lech Kaczyński, ruszał do walki o prezydenturę jako szeryf walczący z przestępczością. Rafał Trzaskowski nie jest szeryfem – bardziej kojarzy się z budowniczym. Zamiast strzelby bardziej pasuje mu budowlany kask, w którym zresztą często występuje. Ale dzisiaj ludzie nie chcą budowania – to jest zadanie dobre na czas po wojnie. Dzisiaj wahający obawiają się, że mamy czas przedwojnia. I biorąc pod uwagę to, co dzieje się wokół, bardziej czekają na Piłsudskiego, niż na Paderewskiego. Dla nich normalność nie jest sexy, nie jest sexy ciepła woda w kranie. Oni chcą emocji walki, nie emocji budowania.

Czy w takiej sytuacji Trzaskowski ma kupić sobie pilę łańcuchową albo kij bejsbolowy? Oczywiście nie. Byłoby to sztuczne i nieprzekonujące. Ale tak naprawdę potrzebuje piły albo kija w wersji inteligenckiej. Co nim może być?

Może nim być strategia – plan na przyszłość i plan na przeszłość. Prezydent musi być generałem, musi być głównodowodzącym, a jego gadżetem może być strategia i zdolność podniesienia morale. Powinien przedstawić wizję wspólnego przedsięwzięcia, planu dla wspólnoty – pokazać wielką przyszłość Polski, przyszłość, która nie ma barw politycznych, nie dzieli, ale jednoczy.

Żeby wygrać z populistami, samemu trzeba być trochę populistą. Niestety, inteligenckość w byciu populistą przeszkadza i w tej kampanii może być obciążeniem, nie przewagą. ●

Z THOMASEM SUDDENDORFEM,
ADAMEM BULLEYEM I JONATHANEM
REDSHAWEM ROZMAWIA KASPER
KALINOWSKI

KASPER KALINOWSKI: Jesteśmy jedynym gatunkiem, który żegnając się, wie, że w przyszłości możemy się nie spotkać. Co to mówi o mózgu i zdolnościach *Homo sapiens*?

THOMAS SUDDENDORF: Ludzki umysł jest wehikulem czasu. Dzięki niemu możemy przeżywać przeszłe wydarzenia i wyobrażać sobie przyszłe sytuacje, takie jak nasze drogi, które jutro ponownie się skrzyżują. Ponieważ nasze mózgi zamieniają nas w umysłowych podróżników w czasie, możemy się przygotować na szanse i zagrożenia z dużym wyprzedzeniem oraz próbować kształtować przyszłość według własnego uznania.

Przewidywanie, zdolność do przewidywania wydarzeń i odpowiedniego działania jest najpotężniejszym narzędziem, jakim dysponujemy – nawet jeśli tak często się mylimy. Ma ona kluczowe znaczenie dla ewolucji i funkcjonowania ludzkiego umysłu, a także dla tego, jak działają. Nasza książka jest próbą przybliżenia natury i pochodzenia tej zdolności oraz jej roli w historii *Homo sapiens*.

Od razu pomyślałem o nowych odkryciach neuronauki. Mózg nie odbiera bodźców ze środowiska, ale aktywnie konstruuje rzeczywistość. Jaki jest tego powód?

ADAM BULLEY: Gdybyśmy zawsze musieli czekać, aż dane wejściowe ze środowiska zostaną w pełni przetworzone przez zmysły i dopiero wtedy mózg wyśle odpowiednie polecenia do mięśni w celu podjęcia działania, stale żylibyśmy ułamek sekundy w przeszłości. Dlatego mózg nieustannie dokonuje przewidywań, a następnie sprawdza, czy te przewidywania się potwierdzają, gdy napływają nowe dane. Dzięki temu może aktualizować kolejne przewidywania. Aby żyć w teraźniejszości, mózg musi nieustannie przewidywać, co nastąpi za chwilę.

A co z blisko spokrewnionymi z nami szimpansami? Myśląc, wybiegają w przyszłość?

JONATHAN REDSHAW: Szimpansy są naszymi najbliższymi żyjącymi krewnymi i na pewno to niezwykle inteligentne stworzenia. Mamy to szczęście, że pracujemy z nimi od wielu lat. Mogą zaplanować wykonanie jakiejś czynności, jak np. podniesienie kamienia, a następnie udać się do miejsca oddalonego o 100 metrów, aby użyć go do rozbicia orzechów. Wydaje się jednak, że nie biorą pod uwagę bardziej odległej przyszłości, w której mogą cię ponownie spotkać. Szimpansy chrząkają na powitanie, ale nigdy nie żegnają się z innymi osobnikami.

Możemy więc powiedzieć, że inne gatunki żyją w wiecznej teraźniejszości?

T.S.: Przewidywanie przyszłości jest nie jedną, konkretną zdolnością, ale produktem wielu współdziałających w tym samym czasie zdolności. Inne zwierzęta mają niektóre z tych zdolności i mogą działać w sposób ukierunkowany na przyszłość. Opisujemy ciekawe przykłady takich zdolności u wron, delfinów, szimpansów i innych gatunków.

W naszych eksperymentach odkryliśmy, że wrony potrafią wybrać narzędzie do rozwiązania problemu, z którym zmierzają się kilka minut później. Jednak nawet te ptaki, które wykazują pewne zdolności przewidywania przyszłości, zwykle nie radzą sobie z bardziej odległymi wydarzeniami i uwzględnianiem wielu możliwości. U szimpansów i wron nie zaobserwowano tworzenia nawet prostych planów awaryjnych.

A co z najbardziej uderzającymi przykładami, takimi jak wiewiórki zbierające jedzenie na zimę? Czy to nie jest planowanie przyszłości?

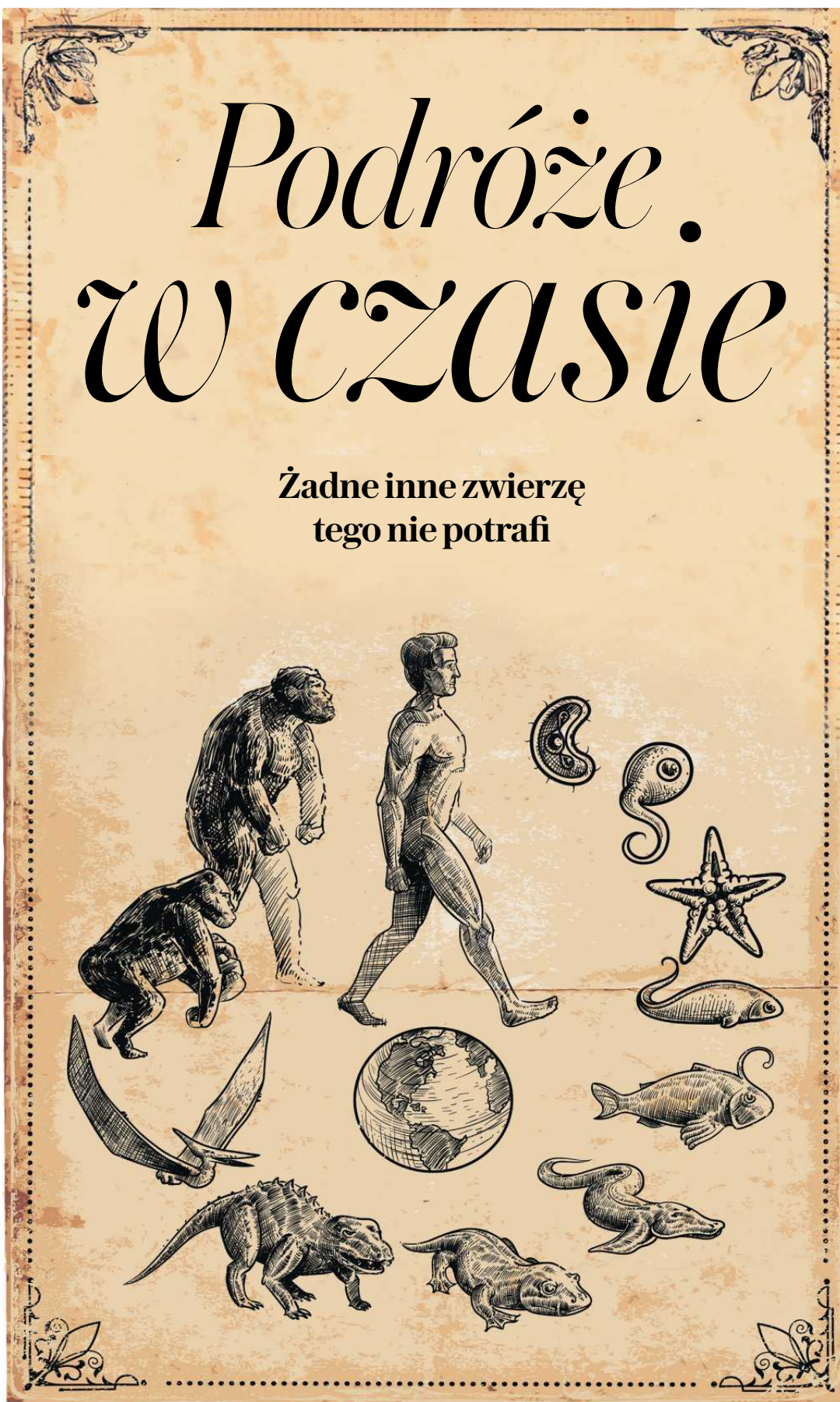
J.R.: Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że wiewiórki wyobrażają sobie, że będą głodne i pozbawione pożywienia podczas nadchodzących mrozów. Jednak to nie jest powód, dla którego gromadzą żywność. Nawet młoda wiewiórka, która nigdy nie doświadczyła zimy, będzie gromadzić i przechowywać zapasy. To zachowanie wynika z wrodzonego instynktu, a nie z wnikliwych analiz własnego położenia. Innymi słowy, wiewiórki w toku ewolucji wytworzyły zachowania, które rozwiązywały stale powtarzające się wyzwanie, jakim jest niedobór żywności w okresie zimowym.

Wiele organizmów wykształciło sposoby działania zgodnie z powtarzającymi się długoterminowymi wzorcami. Nawet bakterie, takie jak *E. coli* przygotowują się do regularności pewnych wydarzeń. Gdy *E. coli* podróżują przez ludzkie przewody pokarmowe bogate w laktozę, aktywują geny trawienia maltozy przed dotarciem do obszarów, które obfitują w ten związek.

Takie przygotowanie nie oznacza jednak, że bakteria myśli o przyszłości z wyprzedzeniem. To zasługa ewolucji. Bakte-

Podróże. w czasie

Żadne inne zwierzę
tego nie potrafi



FOT. MAN, HALF-TUBE/GETTY IMAGES

Aby usprawnić działanie silników samochodowych i podnieść ich trwałość, wynalazca Thomas Midgley Jr. wprowadził do benzyny ołów. Chciał efektywniej wykorzystać zużyte surowce i energię – a nie przewidział, że jego innowacja okaże się jednym z najgorszych zanieczyszczeń, jakie kiedykolwiek stworzono

rie, które aktywują geny w takiej kolejności, przeżywają i rozmnażają się częściej niż te, które robią to zbyt wcześnie lub za późno. Jeśli długoterminowy wzorzec pozostaje taki sam, dobór naturalny może kształtować zachowania, które wydają się inteligentnie dopasowane do nadchodzących wydarzeń.

Przypomina mi to historię Clive'a Wearinga. Co się z nim stało?

A.B.: Clive Wearing to angielski muzykolog, dyrygent i pianista, który doznał uszkodzenia mózgu w wyniku zakażenia opryszczką. Utracił nie tylko zdolność do przypominania sobie przeszłych wydarzeń, takich jak własne występy, ale również zdolność do umysłowego podróżowania w przyszłość i wyobrażania sobie występu w przyszłym tygodniu czy w jakimkolwiek innym czasie. Clive nie jest w stanie zaplanować weekendu ani cieszyć się wakacjami. To dobitnie pokazuje, że ten sam umysłowy wehikul czasu pozwala nam podróżować w czasie wstecz i do przodu.

Te same mechanizmy odpowiadają za myślenie o przyszłości i przeszłości?

T.S.: Istnieje wiele podobieństw. Kiedy uczestnicy badań z obrazowaniem mózgu są proszeni o zapamiętanie przeszłości i wyobrażenie sobie przyszłości, okazuje się, że aktywacji ulega wiele tych samych obszarów mózgu. Jeden z nich, hipokamp, został poważnie uszkodzony w mózgu Wearinga.

Przeprowadzono wiele eksperymentów wykazujących podobieństwa między umysłowymi podróżami w czasie do przeszłości i przyszłości. W jednym z badań zadawaliśmy małym dzieciom pytania dotyczące ich przeszłości i przyszłości. Odkryliśmy związek między ich zdolnością do dokładnego przypominania sobie tego, co robiły wczoraj, i zgłaszania tego, co zrobią jutro. Podobnie z wiekiem pogarsza się nie tylko złożoność i dokładność pamięci, ale równolegle zdolność do przewidywania przyszłości.

Może więc takie umysłowe wybieganie w przyszłość to unikalna ludzka cecha, coś, co odróżnia nas od innych zwierząt, czyni nas ludźmi i pozwala tworzyć wyrafinowaną kulturę i religię?

T.S.: Tak, to jest klucz do zrozumienia, co sprawia, że ludzie są tak wyjątkowi. Przewidywanie przyszłości jest również niezbędne do wyłonienia się wyrafinowanej ludzkiej kultury. Twierdzimy, że ta zdolność napędza ewolucję kulturową na co najmniej dwa kluczowe sposoby – nauczanie i innowacje.

Kiedy uczymy innych, zastanawiamy się nad tym, co ktoś musi wiedzieć, a następnie aktywnie staramy się przekazać właściwe informacje we właściwym czasie – kształtujemy jego umysł w kierunku wiedzy, której będzie później potrzebować. Kiedy wprowadzamy innowacje, tylko dzięki dalekowzroczności możemy rozpoznać przyszłą użyteczność nowego pomysłu. Bez takiego zrozumienia nawet najbardziej kreatywne rozwiązania mogą zostać zignorowane lub odrzucone po tym, jak zostaną wykorzystane do rozwiązania bieżącego problemu.

Doceniając potencjał przedmiotów i pomysłów, ludzie stają się zmotywowani do ich zachowania i udoskonalania, dzielnie się nimi, sprzedawania ich czy kradzieży. Przewidywanie leży u podstaw szybkiej ewolucji kulturowej, która wprowadziła ludzi na ścieżkę wiodącą do antropocenu.

Dlatego jesteśmy jedynym gatunkiem homininów, który przetrwał? Przewidywanie przyszłości dało nam przewagę?

T.S.: Wraz z pojawieniem się tej zdolności nasi przodkowie w coraz większym stopniu byli w stanie przetrwać dzięki sprytności, rozpalając ogień, zastawiając pułapki i przenosząc narzędzia w przenośnych pojemnikach. Tak zaczęła dominować w środowisku. Nie jest jasne, dlaczego inne gatunki homininów wyginęły, ale nie jest zbyt dużą przesadą przypuszczenie, że nasi przodkowie mieli w tym udział

– czy to konkurując z nimi, czy na drodze bezpośredniego konfliktu.

Ale jak wyjaśnić wyginiecie neandertalczyków? Mieli większe mózgi niż my, stworzyli kulturę i grzebali zmarłych.
J.R.: Jak zauważył Thomas, przyczyny upadku innych hominidów, w tym neandertalczyków, nie zostały ustalone. Zauważmy, że w pewnym sensie neandertalczycy nawet nie wyginęli. *Homo sapiens* krzyżował się z nimi i do dziś nosimy w sobie część ich materiału genetycznego.

A co z danymi archeologicznymi? Czy mogą dać nam przybliżenie, kiedy ta zdolność pojawiła się w toku ewolucji?
T.S.: Tak. Najważniejsze są kamienie miłowe w dziedzinie używania narzędzi. W przypadku *Homo erectus* mamy dowody na wielokrotne używanie i transport trudnych do wykonania narzędzi kamiennych około 1,8 miliona lat temu, co sugeruje pewne rozumienie ich użyteczności w przyszłości.

Około 500 tysięcy lat temu pojawiły się ślady złożonych narzędzi – np. włócznie z kamiennymi grotami – których konstrukcja wymaga wielu etapów prac i zaawansowanego planowania. Natomiast około 100 tysięcy lat temu pojawiły się pierwsze ślady przenośnych pojemników. Dzięki urządzeniom do przenoszenia ludzie mogli mieć przy sobie całe zestawy narzędzi. Gwarantowało im to, że ich lokalne środowisko zawierało wszystko, co niezbędne, gdziekolwiek się udali – coś w rodzaju przenośnego systemu podtrzymywania życia.

Kamienne narzędzia z paleolitu są wyjątkowym świadectwem naszych zdolności poznawczych. Czy każdy z nas mógłby je wykonać?

J.R.: Powodzenia! I wcześniej upewnij się, że założyłeś gogle ochronne. Wykonanie narzędzi, które *Homo erectus* robił tak często, jest trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. W jednym z badań studenci nie opanowali w pełni tej techniki po dziesiątkach godzin treningu. To sugeruje, że prehistoryczni twórcy tych narzędzi spędzili długi czas, celowo ćwicząc tę technikę, aby zyskać biegłość i stać się ekspertami. Kształtowali przyszłe umiejętności podobnie jak współcześni ludzie. Za pomocą treningu.

Który gatunek homininów jako pierwszy myślał z wyprzedzeniem?

J.R.: Mamy archeologiczne dowody na niezwykle zdolności *Homo erectus* sprzed około 1,8 miliona lat. Istnieje prawdopodobieństwo, że zdolności te stopniowo ewoluowały. Nie nauczyliśmy się myśleć o jutrze z dnia na dzień.

Tylko czy jesteśmy dobrzy w kreśleniu scenariuszy przyszłości? Nasza pamięć jest pełna luk i uzupełnień.

A.B.: Nasza zdolność do tworzenia scenariuszy przyszłości musi być elastyczna, ponieważ musimy być w stanie wyobrazić sobie wiele możliwości. Kiedy ta zdolność jest wykorzystywana do rekonstrukcji wydarzeń z przeszłości, często robi to w sposób kreatywny, a nie wierny rzeczywistości.

Do tego większość czasu spędzamy na myśleniu o rzeczach, które nigdy się nie wydarzą – to zjawisko mind wanderingu, czyli swojskie błędzenie myślami. Czyli to nie jest zwyczajna strata czasu? Czerpiemy z tego korzyści?

A.B.: Biorąc pod uwagę, że przyszłość jest niepewna, musimy dysponować zdolnością do tworzenia nowych scenariuszy przez łączenie w całość podstawowych elementów, takich jak aktorzy, ich działania i przedmioty.

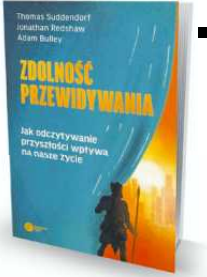
Prawdą jest, że wiele rzeczy, które sobie wyobrażamy, nigdy się nie wydarzy. Zauważmy jednak, że niektóre nie wystąpiły, ponieważ aktywnie staramy się ich uniknąć – jeśli wyobrażasz sobie, co może pójść nie tak, stajesz się zmotywowany, aby upewnić się, że wydarzenia potoczą się inaczej.

Dzięki wyobrażeniom rzeczy niemożliwych czy mało prawdopodobnych też można się wiele nauczyć.

W jakim wieku pojawia się zdolność do umysłowego podróżowania w czasie? Trudno wyobrazić sobie kilkuletnie dziecko, które opóźnia gratyfikację, aby otrzymać większą nagrodę w przyszłości.

J.R.: Prowadzimy wiele badań nad tematem tego, jak małe dzieci nabywają tę zdolności. Ich niektóre elementy pojawiają się już około trzeciego roku życia, inne rozwijają się później. Odkryliśmy, że wiele trzylatków i większość czterolatek może spontanicznie przygotować się na dwie proste alternatywne scenariusze przyszłości, a czterolatki mogą również zdobyć i przechować narzędzie do rozwiązania problemu, który wystąpi w przyszłości. Jednak wiele z dzieci dopiero w wieku około 5 lat rozumie, w jaki sposób trening może prowadzić do poprawy umiejętności.

„Zdolność przewidywania. Jak odczytywanie przyszłości wpływa na nasze życie”, Thomas Suddendorf, Jonathan Redshaw, Adam Bulley, przeł. Tadeusz Chawziuk, wyd. Copernicus Center Press. Dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



Istnieją również różnice indywidualne. Na przykład w zadaniach związanych z opóźnianiem gratyfikacji niektóre cztero-latki potrafią już całkiem nieźle hamować pokusę, podczas gdy inne mają tendencję do szybkiego ulegania.

To dlaczego, mając tak wyjątkową zdolność przewidywania konsekwencji własnych działań, dość skutecznie niszczymy własną planetę i jesteśmy odpowiedzialni za antropocen?
A.B.: Dobre pytanie. Ta zdolność nie oznacza, że jesteśmy jasnowidzami.

No tak. Jak ktoś, kto w XIII-wiecznej Anglii wycinał dębowy las, żeby zbudować zamek, albo ktoś, kto w XVIII-wiecznej Anglii uruchamiał silnik parowy, żeby taniej i łatwiej wydobywać węgiel do ogrzania domów, a przy okazji oszczędzić resztki lasów, mógł przewidzieć, że to się skończy wojną domową w Syrii i topnieniem lodowców.

A.B.: Nieustannie przewidujemy rzeczy, które się nie wydarzą, a często nie udaje nam się przewidzieć tych, które się zdarzają. Co gorsza, to się zdarza nawet z przewidywaniem na krótszą metę. Na przykład aby usprawnić działanie silników samochodowych i podnieść ich trwałość, wynalazca Thomas Midgley Jr. wprowadził do benzyny ołów. Chciał efektywniej wykorzystać zużyte surowce i energię, a nie przewidział, że jego innowacja okaże się jednym z najgorszych zanieczyszczeń, jakie kiedykolwiek stworzono. Nie przewidział też, ani on, ani firmy go zatrudniające, że CFC, chlorofluorowęglowodór, lepiej znany jako freon, który wprowadził do lodówek, żeby zastąpić szkodliwe dla zdrowia lub niestabilne substancje, będzie główną przyczyną zubożenia warstwy ozonowej.

Nie można również utożsamiać zdolności do przewidywania przyszłości z jakąś formą mądrości. Niektóre z najgorszych pomysłów w historii były realizowane z długoterminową wizją, że wspomniana tysiącletnia III Rzeszę. Ludzie mogą wykorzystywać swoją dalekowzroczność do nikczemnych albo czysto egoistycznych celów.

Czy możemy mieć nadzieję, że pewnego dnia wykorzystamy tę zdolność do ulepszenia planety i ochrony innych gatunków? Co musiałoby się wydarzyć?



Thomas Suddendorf

• jest profesorem w Szkole Psychologii na Uniwersytecie Queenslandu w Australii. Wielokrotnie nagradzany naukowiec, był pionierem badań nad umysłowymi podróżami w czasie.



Jonathan Redshaw

• jest stażystą podoktorskim na Uniwersytecie Queenslandu. W badaniach rozwija koncepcję umysłowych podróży w czasie, skupiając się na zdolności przewidywania u dzieci i zwierząt.



Adam Bulley

• jest stażystą podoktorskim na Uniwersytecie w Sydney i na Harvardzie, gdzie zajmuje się mechanizmami prognozowania i podejmowania decyzji.

T.S.: Ogólnie rzecz biorąc, nie możemy już dłużej twierdzić, że nie zdajemy sobie sprawy z konsekwencji naszych działań dla środowiska.

Choćby dlatego, że dysponujemy narzędziami do dalekosiężnego i wielowątkowego prognozowania tak potężnymi, że tym budowniczym zamku wydawalibyśmy się czarodziejami.

T.S.: Mimo naszej dalekowzroczności nadal często mamy tendencję do dyskontowania przyszłości, nadawania priorytetu krótkoterminowym korzyściom kosztem długoterminowych kosztów. Wiemy, że dalsze zaśmiecanie, emitowanie i niszczenie planety jest lekkomyślne, ale napędzamy je, bo skupiamy się na natychmiastowych zyskach pieniężnych i celowo nie uwzględniamy innych niż rynkowe czynników.

Tylko że nasza unikatowa dalekowzroczność obciąża nas i tylko nas odpowiedzialnością za przyszłość. Jako jedynе zwierzę na planecie zdolne do przewidywania odległych konsekwencji własnych działań mamy do czynienia z wyborami, przed którymi nie stoi żadne inne stworzenie.

J.R.: Zajmujemy się tym, jak przewidywanie radykalnie przekształciło naszych przodków z niczym niewyróżniających się naczelnych ograniczonych do tropikalnych regionów Afryki w stworzenia, które trzymają w rękach przeznaczenie całej planety. Ale w naszej opowieści chodzi nie o odę do naszych sukcesów w przewidywaniu ani o lament z powodu naszych porażek, tylko o zrozumienie, jak ta zdolność działa i co możemy z nią zrobić.

Ludzie mają niezwykłą zdolność do przemierzania wielu wieków w umyśle, ale być może nasze największe moce pochodzą z czegoś skromniejszego. Rozumiemy, że nie możemy wiedzieć na pewno, co przyniesie przyszłość, i zdajemy sobie sprawę, że lepiej coś z tym zrobić. Paradoksalnie duża część mocy przewidywania wynika z tego, że jesteśmy świadomi własnych ograniczeń.

A.B.: Ludzie nie tylko przewidują i planują. Kluczem do ludzkiego sukcesu jest to, że zastanawiamy się, czy nasze przewidywania okażą się słuszne i czy nasze plany staną się rzeczywistością. Gdy odpowiedź na którekolwiek z tych pytań jest przecząca, szukamy innych rozwiązań. Przygotowujemy się na najgorsze, nawet jeśli mamy nadzieję na najlepsze.

Jak pokazujemy w książce, duża część ludzkiej siły pochodzi ze strategii kompensacyjnych, które możemy stworzyć, aby poradzić sobie z niewiadomymi wylaniającymi się na pochmurnym horyzoncie. Dla wszystkich z nas oznacza to, że rozpoznanie ograniczeń naszej zdolności do przewidywania przyszłości – takich jak nasze nadmierny optymizm, niedocenywanie zysków w przyszłości czy skłonność do niedocenywania zobowiązań czasowych – może nam pomóc. ●

POPKULTURA I NAUKA



• Serial „Rodzina Soprano” Davida Chase’a miał sześć sezonów, zdobył 5 Złotych Globów i 61 innych nagród



PRZYCHODZI MAFIOSO DO LEKARZA

25 lat temu Tony Soprano z New Jersey wszedł do gabinetu psychoterapeutki. I na zawsze zmienił telewizję. „Konflikty zbudowane w ciągu 13 godzin tego serialu mają siłę greckiej tragedii” – pisali krytycy.

Emilia Dłużewska

Są seriale, które na miano kultowych – określenie wytarte, ale biorę za nie pełną odpowiedzialność – pracują latami. Pierwsze sezony przechodzą bez większego echa, ale z dość dobrą oglądalnością, by telewizyjni decydenci dali się namówić na kolejny. Stopniowo zdobywają wiernych fanów, szeptany marketing robi swoje, pomaga moment historyczny albo dobre słowo od uznanego twórcy.

„Rodzina Soprano” nie jest takim serialem. Dwa dni przed premierą pilota „New York Times” zapowiadał: nadchodzi jeden z najbardziej wciągających seriali w nadchodzących miesiącach. „Połączenie czarnej komedii i psychologicznego dramatu nadaje serialowi oryginalny sznyt, który dopełnia jego bezbłędny koncept” – chwaliła Carolyn James, szefowa działu telewizyjnego dziennika.

HBO przed premierą udostępniło krytykom cztery odcinki, James nie mogła mieć pewności, że obcuje z rzeczą wybitną. Ale bezbłędnie to wyczuła.

Po pierwszym sezonie media były jednogłośnie. No, prawie jednogłośnie. Chłodną recenzję opublikował jeden krytyk z Miami. – Nie wiemy, co się z nim potem stało – żartował twórca serialu David Chase.

Dziennikarze wyliczali: błyskotliwy, zabawny, genialny. I że „Rodzina Soprano” jest najlepszym, co przydarzyło się telewizji od dekad. „Konflikty zbudowane w ciągu 13 godzin serialu mają siłę greckiej tragedii. A może to komedia Czechowa odegrana ponownie w przetykanym wulgaryzmami żargonie bandyterki z New Jersey?” – pytał krytyk Stephen Holden.

Dwadzieścia pięć lat później to pytanie jest wciąż aktualne. Choć w czasach streamingu o nowych, wspaniałych, niezapomnianych, wciągających serialach słyszymy przynajmniej raz w tygodniu, tych prawdziwie wielkich jest wciąż najwyżej dziesięć, a tych, co do których krytycy zasadniczo się zgadzają, jeszcze mniej: „The Wire”, „Mad Men”, „Breaking Bad”. I „Rodzina Soprano”.

Wpływ serialu Chase’a na masową wyobraźnię, popkulturę i sposób konstruowania opowieści jest bezsprzeczny. Na dobre i na złe.

Zawód? Konsultant

Oszczędzę państwu szczegółowego streszczenia sześciu sezonów serialu. Dość powiedzieć, że zaczyna się jak w dowcipie: przychodzi baba do lekarza. Tyle że zamiast baby jest Tony, wysoko postawiony członek mafii z New Jersey. Za to lekarz jest babą. W dodatku psychiatrą.

Tony Soprano do gabinetu dr Melfi trafia z polecenia swojego lekarza rodzinnego. Niedawno stracił przytomność, badania nic nie wykazały, specjaliści podejrzewają, że problem ma podłoże psychiczne: Tony cierpi na ataki paniki. On sam jest sceptyczny. Z różnych względów. – Nie mogę sobie pozwolić na rozmawianie z psychiatrą – rzuca.

Scena pierwszego spotkania dr Melfi i Tony’ego jest jednocześnie otwarciem serialu. Jest rozpisana perfekcyjnie. Od pierwszego spojrzenia, jakie Tony rzuca dr Melfi, przez udawaną pewność siebie, gdy wchodzi do gabinetu, sposób, w jaki rozpiera się w fotelu, i złoty sygnet na palcu, po kamienną twarz, z którą spytany o pracę odpowiada: „konsultant do spraw gospodarki odpadami” – wystarczą niecałe dwie minuty, by widz bezbłędnie rozpoznał, z kim ma do czynienia. Nie musimy nawet widzieć tatuażu z tygrysem na ramieniu, wielkiej posiadłości, żony podsuwającej dzieciom neapolitańskie ciastka. Ale w trzeciej minucie zobaczymy.

Pierwsze dwie minuty wystarczają też, by stwierdzić, że twórcy serialu trafili w dziesiątkę, obsadzając w głównej roli Jamesa Gandolfiniego. Do 1999 r. włoska mafia w filmach miała twarze Marloona Brando, Al Pacino, Roberta De Niro – śniadych, szczupłych, eleganckich mężczyzn w garniturach. 38-letni Gandolfini jest wielki i nieco niezgrabny. Do pracy chodzi w rozchełstanych koszulkach polo, po domu w szlafroku, bokserkach i podkoszulce. Ma początki łysiny i okazały brzuch. Ma też charyzmę, która rozsądza ekran.

Twórca „Rodziny Soprano” David Chase rozpoznał ją od razu. I to mimo że pierwsze przesłuchanie Gandolfini przerwał w połowie i wyszedł, uznawszy, że poszło mu fatalnie. Dostał rolę Tony’ego za drugim razem, gdy czytał kwestie w garażu Chase’a.

W Jennifer Melfi wcieliła się Lorraine Bracco. W chwili premiery to ona była największą gwiazdą w obsadzie – w 1991 r. została nominowana do Oscara za rolę Karen Hill w „Chłopcach z ferajny” Martina Scorsese. Chase chciał, by w „Rodzinie Soprano” zagrała rolę żony Tony’ego, Carmeli, ale Bracco zależało na innym typie postaci. Carmelą została więc Edie Falco.

„Rodzina Soprano”. Mafioso w kryzysie

Ta decyzja była podwójnie nieoczywista. Dla widzów na całym świecie żona gangstera miała twarz Bracco. A już na pewno nie wyglądała jak Falco, blondynka o niebieskich oczach i jasnych, prostych włosach. Za to wyglądały tak miliony innych żon: znudzonych pań domu czekających na męża z obiadem w domu na przedmieściach, chodzących z koleżankami na lunchy i wybierających tapety między kłótnią z nastoletnią córką a zawodami pływackimi sy-

na. A tym właśnie poza byciem żoną gangstera zajmuje się Carmela Soprano.

I to właśnie jest w serialu Chase’a najbardziej rewolucyjne. Bo „Rodzina Soprano” przynajmniej w tym samym stopniu co o kryminalnej aktywności – wymuszaniu haraczy, korumpowaniu polityków, ob-sadzaniu fikcyjnych etatów związkowych, wreszcie starym, dobrym strzelaniu wro-gom w łeb – jest opowieścią o codziennym życiu Amerykanina z wyższej klasy śred-niej: martwiącego się o dzieci, kłócącego z żoną, usiłującego zarządzać nieszczegól-nie rozgarniętymi podwładnymi, wchodzą-cego w kryzys wieku średniego. I mierzą-cego się z tym, co zwykło się nazywać „tok-syczną męskością”.

Mało które określenie budzi dziś takie emocje. W większości u mężczyzn, którzy czują się atakowani przez mizoandryczne publicystki albo przedstawicieli niedookre-słonej „ideologii woke”. „Czym, jeśli nie mo-wą nienawiści, jest nazywanie mężczyzn toksycznymi?” – pytają oburzeni.

Tyle że samo określenie wcale tego nie sugeruje; podobnie jak nie sugeruje, że mę-ska tożsamość jako taka jest szkodliwa czy zła. „Toksyczna męskość” to określenie nie-kórych postaw wpajanych mężczyznom w procesie socjalizacji – tych, które na dłuższą metę często w największym stop-niu szkodzą im samym. Problemy z wyra-żaniem emocji innych niż gniew, niezdol-ność do poproszenia o pomoc, paniczny lęk przed okazaniem słabości, skłonność do rozwiązywania problemów przemo-cą, przedmiotowe traktowanie kobiet, nie-ustanna potrzeba dominacji. Innymi sło-wy: wszystko to, czego świat oczekuje od szefa mafii.

Kochanka i pistolet

Konserwatywny model męskości to prze-kleństwo wielu mężczyzn w wieku To-ny’ego (gdy serial wchodził na antenę, bo-hater miał 40 lat, dziś dobijałby więc wie-ku emerytalnego), zwłaszcza tych dorasta-jących w katolickich, patriarchalnych śro-dowiskach – a takim była bez wątpienia społeczność Amerykanów włoskiego po-chodzenia. Różnią się jednak konsekwen-cje grożące za przekroczenie narzucanych przez niego norm. Przeciętnemu człowie-kowi grozi wyśmianie, utrata statusu, spo-łeczny ostracyzm. Tony’emu – kulka w łeb. Dosłownie: gdy jego matka Livia dowiaduje się, że syn chodzi na terapię, doprowadza do zamachu na jego życie.

Równie surowe kary ponoszą inni członkowie organizacji. Kiedy do Tony’ego dociera plotka, że jego wuj Corrado, zwany Juniorem, zaspokaja swoją partnerkę oral-nie, zaczyna grozić mu kompromitacją. Ju-nior staje przed wyborem: stracić autory-tet lub rozstać się z wioletołnią kochanką. Nie waha się ani chwili. Szans na przetrwa-nie nie ma inny członek mafii, Vito. Przyła-pany w gejowskim klubie ucieka do innego stanu. Kiedy próbuje wrócić, ginie okrut-ną śmiercią, a mordercy beczeszczą je-go zwłoki.

To przypadki ekstremalne. Są i łagod-niejsze: syn Tony’ego i Carmeli Anthony Junior jest dla ojca źródłem ciągłych roz-czarowań. Tony niekiedy próbuje okazać mu czułość, ale na ogół natychmiast traci cierpliwość. Przez większość czasu AJ jest przez ojca na zmianę wyśmiewany i opie-przany. Owszem, nie jest przesadnie roz-garnięty, ale nie jest też głupszy od swego kuzyna Christophera Moltisantiego. Tyle

że Chris potrafi być brutalny i bezwzględ-ny, więc Tony namaszcza go na swego na-stępcę.

Kobiety? W tym świecie dzielą się na dwie kategorie: udomowione i te na bo-ku. Pierwsze mają wychowywać dzieci, ro-bić pranie, gotować makaron i nie zada-wać zbyt wielu pytań; drugie można nie-kiedy zabrać na kolację, ale można też pro-sto do hotelowego pokoju. Pierwsze wiedzą o drugich, ale traktują je jako zło koniecz-ne – „goomar”, jak z włoska nazywane są kochanki gangsterów, to akcesorium rów-nie oczywiste jak złoty łańcuch albo noszo-ny za pasem pistolet. Podobnie jak pistolet mają pozostać dyskretnie ukryte. W razie wpadki żonę trzeba udobruchać, najlepiej futrem lub biżuterią, w wersji premium: domem nad oceanem.

Mamy „Ojca chrzestnego” w domu

Brzmi znajomo? – Może na zewnątrz są lata 90. W tym domu mamy rok 1954 – oświadcza Tony Soprano, gdy jego

„Rodzina Soprano” to nie elegia do przeszłości, ale opowieść o pustce pozostałej po rozpadzie tradycyjnych modeli: rodziny, biznesu, społeczeństwa. Stare zasady przestały obowiązywać; nowe jeszcze się nie wyłoniły i być może nie wyłonią się już nigdy.

nastoletnia córka zaczyna przy stole roz-mowę o seksie.

Data zapewne nieprzypadkowa. Pierwsza połowa lat 50. XX w. to nie tyl-ko czas, gdy zamożna amerykańska klasa średnia holdowała tradycyjnym wartościom, kontrkultura nie istnia-ła, a dzieci nie pyskowały rodzicom. To również czas akcji pierwszej części „Oj-ca chrzestnego”.

Film Francis Forda Coppoli, zreali-zowany dokładnie 25 lat przed premie-ra „Sopranos”, powraca jako punkt od-niesienia serialu nieustannie. Czasem wprost, czasem w sposób mniej oczywi-sły – choćby kiedy wynajęci mordercy strzelają do Tony’ego, gdy ten kupuje na ulicznym straganie sok pomarańczowy. Bohaterowie dyskutują o filmie Coppoli, oglądają go na kradzionym, rzecz jasna, DVD. I cytują, niekoniecznie dokładnie.

W pierwszym sezonie Christopher Moltisanti z młodzieńczą dezynwolturą deklamuje: „Louis Brazzi śpi z rybami”. Jego pomyłka – budzący postrach egze-kutor rodziny Corleone nazywał się Luca Brasi – jest komiczna, ale i znacząca. Bo choć Tony Soprano i jego gang czują się następcami rodziny Corleone, do bohate-rów „Ojca chrzestnego” mają się jak New Jersey do Nowego Jorku: inicjały mo-że te same, ale wszystko jakby mniejsze, brzydsze, bardziej byle jakie.

Bylejakosć jest dla serialu kategorią kluc-zową. Rzeczywistość „Rodziny Sopranos” to nie świat honoru, powinności i wierno-ści, ale chciwości, lenistwa, zwietrzałych zasad, podważalnej lojalności, małostko-wości wygrywającej z etosem, choćby i kry-minalnym. Mafijne struktury znane wi-dzom z filmów Coppoli i Scorsese trzeszczą i rozłają się w szwach. – Wiem, że przysze-dłem za późno, by zbudować coś od pod-staw. Ale ostatnio prześladowe mnie poczu-cie, że trafilem na zmierzch. Najlepsze jest już za nami – mówi Tony podczas pierw-szej rozmowy z dr Melfi.

– Wielu Amerykanów czuje to samo – odpowiada terapeutka.

Nawet gangsterzy nie wytrzymują

Z pewnością czuł to David Chase. W do-kumencie „David Chase i »Rodzina Sopra-nos«”, który w 2024 r. miał premierę w se-rwisie streamingowym HBO, opowiada o poczuciu beznadziei, jakie towarzyszy-ło mu w latach 90. Amerykańska gospo-

cze raz podniesiesz na nią rękę, a będziesz miał ze mną do czynienia.

I dodaje: – Jestem staromodny. Chcesz ją bić, daj jej swoje nazwisko i nie będzie to dłużej moja sprawa.

Moralista kontra scenarzysta

Chase nie pozostawia widzom złudzeń: je-go bohaterowie nie są dobrymi ludźmi. Na-wet jeśli mierzymy ich miarą przeciętnego Amerykanina. Tony i jego mafijna rodzina są pozbawionymi skrupułów, nieczułymi, brutalnymi bandytami. A ci, którzy osobi-ście nie wymuszają haraczy, nie strzelają ludziom w łeb i nie okradają państwa z po-mocą skorumpowanych polityków, są żyją-cymi z cudzej krzywdy hipokrytami.

Kiedy policja zatrzymuje Tony’ego i jego żonę za przekroczenie prędkości, Carme-la rzuca, że lepiej zajęliby się łapaniem di-lerów heroiny – choć pieniądze z jej sprze-daży leżą w grubym zwitku w kieszeni jej męża. Kilkanaście odcinków później zwie-rza się terapeutce, że mimo problemów nie

darka radziła sobie dobrze, ale reszta? Uro-dzony w 1945 r. w rodzinie włoskich imi-grantów Chase na własnej skórze doświad-czył tego, jak zmieniało się USA przez ca-łą drugą połowę XX w. Od czasów stabiliza-cji, jaką klasie pracującej dały lata 50., gdy syn właściciela sklepu żelaznego i gospo-dyni domowej miał szansę studiować reży-serię na Stanfordzie (Chase zrobił tam dy-plom w 1971 r.), przez rosnące nierówności, erodujące więzy społeczne, kolejne kom-promitacje elit politycznych i karierę ha-sła „chciwość jest dobra”. Miał wrażenie, że kraj, w którym wyrósł, pożera materializm.

– W gruncie rzeczy „Sopranos” to se-rial o tym, że Ameryka zeszła na psy do te-go stopnia, że nawet gangsterzy dostają de-presji – tłumaczył.

Moralizowanie? Owszem. Tyle że Chase nie gloryfikował starych, dobrych czasów. Potrafił dostrzec ich mroczną stronę, choć-by przemoc, która w jego środowisku była normalna. Dom rodzinny wspominał bez sentymentu. Ojca opisywał jako surowego i nieustannie go krytykującego; matkę jako osobę zatruwającą życie każdemu, kto zna-lazł się w jej orbicie – to na niej wzorowa-na była serialowa Livia. Od sentymentów uciekają też jego bohaterowie. – „A pamię-tasz, jak...” to najgłupszy rodzaj rozmów – mówi do podwładnych Tony (mocne sło-wa w ustach człowieka, którego ulubionym kanałem jest History Channel).

„Rodzina Soprano” to nie elegia do prze-szłości, ale opowieść o pustce pozostałej po rozpadzie tradycyjnych modeli: rodziny, biznesu, społeczeństwa. Stare zasady prze-stały obowiązywać; nowe jeszcze się nie wyłoniły i być może nie wyłonią się już ni-gdy. Zwłaszcza że bohaterowie, tak chętnie deklarujący przywiązanie do starego por-ządku, zapominają o tych deklaracjach, gdy tylko jest im to na rękę.

Zresztą czy na pewno był on tak dobry? Kiedy Chris uderza swoją dziewczynę Ad-rianę, jedną z najsympatyczniejszych bo-hateerek w serialu, jej wuj mówi mu: – Jesz-

chce rozwodu. – Jest dobrym człowiekiem i dobrym ojcem – tłumaczy.

– Mówiłaś, że jest kryminalistą z depre-sją. Łatwo wpadającym w gniew, regular-nie ci zdradzającym. To jest twoja defi-nicja dobrego człowieka? – odpowiada te-rapeuta. Zanim się rozstaną, doda: – Od-tąd nie możesz już twierdzić, że nikt ci tego nie powiedział.

Jest tylko jeden problem: widzowie To-ny’ego pokochali. Tak bardzo, że robili, co mogli, by nie widzieć, z kim mają do czy-nienia. Nawet kiedy nie mogli już twier-dzić, że nikt im nie powiedział.

Przemykanie oka na przekroczenia bohatera nie było bynajmniej proste. W pierwszym sezonie można się jeszcze ludzić, że Tony jest postacią godną sym-patii – może i czasem złamie komuś kilka żeber, ale pod jego gruboskórnością kry-je się skrzywdzony przez matkę uroczy chłopiec (James Gandolfini uśmiecha się tu rozbrajająco). Ale z każdym kolejnym sezonem Chase zostawia widzom coraz mniej marginesu. Tony jest coraz brutal-niejszy, coraz bardziej bezwzględny, co-raz bardziej cyniczny. Jest otwarciem ra-sistowski – i nie mówimy tu o niesmacz-nych żartach przy rodzinnym stole, ale o pogroźkach w stronę czarnego chłopa-ka córki, któremu każe przestać się z nią spotykać. Seryjnie niewierny, a zara-zem kontrolujący.

Jest też, nie da się ukryć, seryjnym mor-dercą. Osobiście zabija na ekranie osiem osób, wiele kolejnych ginie z jego polece-nia. A widzowie nadal go kochają.

Dlaczego? Najprostsza odpowiedź brzmiałaby: Chase moralista przegrywa z Chase’em scenarzystą. Historia jest po prostu zbyt dobra, postaci zbyt prawdziwe, by się do nich nie przywiązać. Im dłużej to-warzyszymy Tony’emu, tym trudniej jest nie przyjąć jego perspektywy. Przy odpo-wiednio dobrej opowieści prowadzonej od-powiednio długo antybohater nieuchron-nie stanie się bohaterem.



• Bohater serialu „Breaking Bad” Walter White (Bryan Cranston) i jego uczeń Jesse Pinkman (Aaron Paul) po robocie, czyli wytworzeniu metamfetaminy FOT. AMC

To odpowiedź optymistyczna. Bardziej pesymistyczna brzmi: kochamy Tony’ego Soprano, bo pozwala sobie na to, na co my chcielibyśmy móc sobie pozwolić. Zdradza, oszukuje, morduje, łamie prawo – i nie ponosi tego konsekwencji. Ma humory nastolatka i cierpliwość pięciolatka, jest zachłanny, lekkomyślny, egocentryczny, okrutny – i uchodzi mu to płazem. Odmawia bycia wrażliwym, empatycznym, tolerancyjnym, nowoczesnym – i wychodzi na swoje.

Terapeutyczny sukces dr Melfi jest zarazem jej etyczną porażką: po godzinach spędzonych w jej gabinecie Tony nie staje się lepszym człowiekiem, za to dużo lepiej radzi sobie z byciem złym. To obserwacja wciąż aktualna: 25 lat po premierze po sieci krąży mem z Tonym duszącym zdraycę kablem, podpisany „jestem w terapii”.

„Breaking Bad”. Soprano à rebour? Niekoniecznie

Ostatni odcinek „Rodziny Soprano” HBO wyemitowała w czerwcu 2007 r. Siedem miesięcy później widzowie poznali godnego następcę Tony’ego: Waltera White’a. Serial „Breaking Bad” Vince’a Gilligana zaczyna się jak „Sopranos” à rebours: tam mieliśmy kryminalistę zmagającego się z problemami zwykłego Amerykanina; tu zwykłego Amerykanina przeobrażającego się w kryminalistę.

Walter White właśnie skończył 50 lat. Uczy chemii w liceum, ma dom na przedmieściach, nastoletniego syna z porażeniem dziecięcym i żonę w zaawansowanej ciąży. Ma też, co odkrywa w pierwszym odcinku, raka płuc w zaawansowanym stadium. Szanse przeżycia są niewielkie, leczenie zrujnowałoby rodzinę, która bez niego i tak zostanie bez środków do życia. Zdesperowany Walter postanawia wykorzystać swoje niedoceniane talenty i zaczyna produkować metaamfetaminę. Jak się szybko okaże, najlepszą na rynku.

Prędko okazuje się też, że produkcja i dystrybucja wysokojakościowej metaamfetaminy nie jest – kto by się spodziewał – biznesem, który da się prowadzić bez zobowiązań, na małą skalę, nie wchodząc nikomu w paradę. Wokół Waltera zaczyna krążyć rekin narkotykowego bizne-

Walter White z „Breaking Bad” to godny następcy Tony’ego z „Sopranos”. Tam kryminalista zmagał się z problemami zwykłego Amerykanina; tu zwykły Amerykanin przeobraża się w kryminalistę.

su. A jemu samemu niespodziewanie rosną rekinie zęby. Fajtlapowaty, podtatusiasty nauczyciel postawiony pod ścianą zmienia się w bezwzględniego kryminalistę gotowego truć, strzelać i mordować, by chronić swój biznes.

Z początku jest nawet zabawnie. Ale im dłużej ogląda się „Breaking Bad”, tym mniej w nim komediowych chwytów i więcej sygnałów, że Walter wcale nie przeszedł na złą stronę, lecz był w niej od początku. I jak niewiele w nim z przeciętnego człowieka. Nie tylko dlatego, że jest geniuszem. Równie ważny jest psychopatyczny rys, który wyraźnie odróżnia go od innych postaci: jego pomocnika Jessiego czy Mike’a, specja od mokrej roboty. Wejście Walta w narkobiznes jest nie koniecznością, ale wyborem.

Twórcy pokazują to wprost: w piątym odcinku serialu były przyjaciel bohatera, właściciel firmy technologicznej, oferuje pokrycie całkowitego kosztu jego leczenia. Nie decyduje się na to, bo zraniłoby to jego dumę – były przyjaciel wzbogacił się na ich wspólnym wynalazku. A może też dlatego, że w końcu jest w czymś dobry? Im dłużej Walter poświęca się kryminalnej aktywności, tym wyraźniej się zmienia: nabiera pewności siebie, goli głowę, prostuje ple-

cy, zdobywa respekt otoczenia, odzyskuje atrakcyjność w oczach żony. Mężnieje.

Wszyscy, byle nie żona

Bohatera „Breaking Bad” z Tonym Soprano łączy wiele. Vince Gilligan nie wypierał się tego związku. „Mówiłem to wielokrotnie, publicznie i w prywatnych rozmowach (...): bez Tony’ego Soprano nie byłoby Waltera White’a” – napisał po śmierci Jamesa Gandolfiniego w 2013 r.

Twórca „Breaking Bad” wpadł w tę samą pułapkę co David Chase: stworzył idealnego antybohatera, ale nie był w stanie sprawić, że widzowie przestaną go kochać. Ba, jemu samemu zajęło to ładnych kilka lat. – Im więcej czasu minęło od „Breaking Bad”, tym mniej jest we mnie współczucia dla Waltera – mówił w 2022 r. w „New Yorkerze”. – Był pelen hipokryzji i pychy. Miał ego wielkości Kalifornii. I ciągle uważał się za ofiarę. Obsesyjnie trzymał się tego, jak świat go oszukiwał, jaki jest niedoceniony – wyliczał.

Nie przeszkadzało to widzom kibicować mu do samego końca. A także nosić koszułek z jego podobizną, przebierać się za niego na Halloween, kupować sobie figurki i plakatów z White’em. Choć „Breaking Bad” roi się od morderców i okrutników,

największą i zażartą nienawiść widzów budziła jedna postać: żona Waltera Skyler.

Gilligan w rozmowie z „New Yorkerem” zauważał, że nawet Gus Fringe, szef narkotykowego imperium i największy wróg Waltera White’a, nie budził takiej niechęci. – Przyznam, że zawsze mnie to niepokoiło, bo Skyler, jako postać nie zrobiła nic, by na to zasłużyć – dodał.

A może jednak? Skyler jest pryncypialna, gderająca, mieszczańska. Nie podoba jej się, że mąż znika gdzieś na długie godziny. Chce wiedzieć, skąd bierze pieniądze. Gdy się dowiaduje, usiłuje go zostawić. Innymi słowy: uporczywie psuje widzom zabawę. Walter, podobnie jak wcześniej Tony, wielokrotnie powtarza, że wszystko, czego się dopuszczają, robi dla rodziny. Niechęć, jaką budziła w widzach Skyler, to kara za to, że bohaterka nie chce partycypować w tej iluzji.

Antybohater na miarę czasów

Gilligan ostatecznie nie zdecydował się jej rozwiązać, choć był blisko. W przedostatnim odcinku Walter jest zaszczuty, samotny, umierający w ukryciu nad beczką pełną pieniędzy. Ale w ostatnim dostaje szansę na częściowe odkupienie – choć w scenariuszowym *deus ex machina* trudno nie wyczuć fałszywej nuty.

Na forach dyskusyjnych fani przyznają wprost: kibicujemy Tony’emu i Walterowi, bo to dobra zabawa, ale też dlatego, że łatwo się z nimi utożsamić. Bo są silni, sprytni, odważni. Bo każdy z nas miewa poczucie, że życie nie traktuje go sprawiedliwie, rodzina nie docenia, że zasługuje na więcej. Bo jeśli bylibyśmy na ich miejscu, być może zrobilibyśmy tak samo – a przynajmniej chcemy móc to sobie wyobrazić.

Ani „Rodzina Soprano”, ani „Breaking Bad” nie są odą do twardych, silnych mężczyzn, którzy biorą sprawy w swoje ręce. Ale sympatia, jaką mimo swoich grzechów budzą ich bohaterowie, pokazuje, jak bardzo ćwierć wieku później wciąż jesteśmy do takich postaci przywiązani.

Entuzjazm, jaki wzbudził ostatnio inny potomek włoskich migrantów, całkiem realny Luigi Mangione, dowodzi, że kibicujemy im nie tylko na ekranie. ●

GAMING

PO LATACH

Poradnik dla dorosłych

Graliście w Wolfensteinie, Doomie i Quake’u jako nastolatki, teraz wasze dzieciaki dorastają, macie znowu trochę czasu i chcecie wrócić? Podpowiadamy, od czego zacząć

Paweł Hekman

Kiedyś koce i łóżka polowe na bazarach, dziś reklamy w prime timie. Kiedyś dziwna pasja „dla piwniczaków”, dziś wielomilionowy biznes. Niegdyś rodzice krzyczeli: „Odejdź od komputera, wyjdź na podwórko”, dziś sami zarywają nocki. Również nie tak dawno napisalibyśmy: „Do grania w gry przyznaje się muzyk X, aktorka Y”, dziś Quebonafide w jednym ze swoich numerów wyznaje: „Zapytałaś, kiedy płakałem ostatni raz/ Jak przeszedłem »The Last of Us«”.

Historia zasłyszana podczas wizyty w warszawskim elektromarkecie. Na oko 40-letni mężczyzna, schludnie ubrany, z aktówką w ręce, podchodzi do pary ekspedientów i z miejsca wpada w monolog: – Bo wiecie państwo, w podstawówce grało się z kolegami w „Wolfenstein” i „Dooma”, pamiętam, że coś się robiło z głowicą przy Commodore, no i Pegasus był w domu. Ale od 30 lat żadnej gry na oczy nie widziałem, a chciałbym chyba do tematu wrócić. Od czego zacząć?

Miny sprzedawców, przynajmniej o połowę od klienta młodszych, były cokolwiek nietęgłe, a lakoniczną odpowiedzią było wydrukane: „No mamy tu takie konsole”.

Sytuacja to o tyle ciekawa, że wejście w świat gier w teorii jest łatwiejsze niż kiedykolwiek przedtem. A jednocześnie osoba chcąca swoją przygodę rozpocząć staje przed mnóstwem pytań i wątpliwości. Bo jeśli konsola, to która? I czym one się w zasadzie różnią. A co z graniem na komputerze? No i przede wszystkim w co? Jaką drogę trzeba przejść, by jak bohater kultowego mema zacząć grać w gry?

Łatwo wpaść w boomerskie tony i rzucić memiczne „kiedyś to było”. Na początku lat 90. grało się w to, co było. Droga była prosta. Pójść na giełdę, wysłuchać opinii wszechwiedzącego sprzedawcy albo kierować się wyglądem okładki, jeśli takowa w ogóle była.

– Dziś gier jest tyle, że podejście „zagram we wszystko” jest niemożliwe. Zaczynamy więc wyszukiwać tytuły, które ci pasują. Z jakichkolwiek względów. Współczesność pozwala wybierać gry pod siebie. Nie zagramy w jedną produkcję, nie nie szkodzi, czeka kolejny tysiąc w kolejce – podpowiada Maciej Miąsik, legenda polskiej branży growej, który swój pierwszy duży tytuł i jed-

• **Super Mario.**
Wąsaty hydraulik bawi
niezmienne od 41 lat

nocześnie jedną z pierwszych profesjonalnych produkcji „made in Poland”, a sprzedawanych na całym świecie – „Electro Body” – wydał w 1992 r.

Posłuchajmy zatem jego rad i spróbujmy wybrać odpowiednie kryteria.

Od czego zacząć? Najlepiej od wyboru platformy. O naszą uwagę walczą komputery osobiste (pecety) oraz konsole PlayStation, Xbox i Nintendo.

Jeśli pójdziemy tropem nostalgii, najmocniej trafi ostatnia z nich. Konsola będąca domem dla Super Mario. Wąsaty hydraulik karierę robi od 1983 r., kiedy to pierwszy raz podbił serca milionów, trafiając na japońskie pionierskie urządzenie o nazwie NES.

Nad Wisłą słyszeli o niej tylko najbardziej zainteresowani tematyką grową lub technologiczną. Ale w ortalionowej Polsce wczesnych lat 90. wszystkie chwytły były dozwolone, ustawę chroniącą prawa autorskie traktowano jako wskazówkę, a nie przyms, i domorośli, świeżo upieczeni, acz pomysłowi biznesmeni obstalowali na Tajwanie jej podróbkę – rodzinną konsolę Pegasus. Koszt takiego ustroju nie był duży, kartridże z grami można było dostać nie tylko na komputerowej giełdzie, ale nawet na osiedlowych rynekczkach, nie może dziwić zatem fakt, że niepozorne urządzenie podłączane do telewizora trafiło pod strzechy około miliona Polaków.

Nintendo, będąc konserwatywną japońską firmą, dba o korzenie, więc na każdej kolejnej konsoli nie może zabraknąć przygód Super Mario. Nie inaczej jest z Nintendo Switch, hybrydowym urządzeniem, które możemy podłączyć do telewizora lub zabrać ze sobą na spacer. W „Super Mario Odyssey” – bo tak nazywa się ostatnia (jak dotąd) odsłona kultowej serii – nie gra się dla fabuły.

Scenariusze stanowiły jedynie pretekst do zabawy i „Odyssey” również w ten trend się wpisuje. Próg wejścia jest stosunkowo niski, nadal sterujemy tym samym bohaterem co przed laty, znów zbieramy złote monety i gwiazdy, zwiedzamy kolorowe krainy i skaczemy po wszystkim, co się rusza, i nie tylko. Cel jest prosty – uratować księżniczkę. W grze nie brakuje momentów nostalgicznych, gdy na wskroś nowoczesna, trójwymiarowa gra zmienia się w swojego ośmibitowego pradziadka.

Przez kilka chwil znów gramy w „Super Mario” znanego z Pegasusa. Zgadza się nawet dźwięki. Uśmiech pod nosem nawet największego malkontenta gwarantowany.

Japończycy mają rękę do kolorowych, na pozór zupełnie dziecięcych światów. Ale – jak ostatnio pokazała choćby pandemia – ten infantylizm jest przemyślany: działa, gdy szukamy ucieczki od szarej codzienności. W czasach zarazy wszyscy przejawialiśmy zachowania eskapistyczne.

I niektórzy trafili na niemalże bezludną wyspę, gdzie można było oddać się bez troskiemu łapaniu motyli, pielęgnowaniu kwiatów, uprawianiu rzepy, zbieraniu owoców, łowieniu ryb oraz dekorowaniu swojego namiotu (a z czasem domu). Był jeden, jakże kapitalistyczny haczyk – kredyt hipoteczny. I choć na brzmienie tych dwóch słów wielu cierpienie skóra na karku, Tim Nook, nasz kredytodawca, nie bierze pod uwagę zmian stóp procentowych i niespecjalnie dba o terminy spłat. Tak zaczyna się przygoda w „Animal Crossing: New Horizon”.

Bardzo specyficzna to gra. Oparta na relaksie, niespiesznym oddawaniu się prozaicznym zajęciom i pielęgnowaniu wymarzonego, choć wirtualnego, skrawka ziemi. Tytuł stał się socjologicznym fenomenem. 45 mln sprzedanych egzemplarzy nie umknął uwadze nawet celebrytom, którzy sami zaczęli udostępniać swoje bezludne wyspy. Najbardziej aktywni byli m.in. Elijah Wood (Frodo z „Władcy pierścieni”), Brie Larson („Kapitan Marvel”) czy Danny Trejo („Maczeta”).



• **„Indiana Jones i Wielki Krag”. Lepszy niż ostatnie filmy o słynnym archeologu awanturniku, jest wspomnieniem szczenięcych lat z młodym Harrisonem Fordem na kasetach VHS**

Gdzie Indiana Jones spotyka Stinga i Clintę Eastwooda, a wojownik psychoterapeuta tłumaczy trudy samotnego ojcostwa? No pewnie, że na komputerze. Chyba, że na konsoli

Nieco mniej rozpoznawalny był Gary Whitta, scenarzysta m.in. filmu „Łotr 1. Gwiezdne Wojny – historie”, który postanowił wykorzystać pięć minut „Animal Crossing”, by zadbać o swoje pięć minut, i w świecie gry poprowadził pełnoprawny talk-show. Estradowy potencjał migiem zobaczyli też muzycy, i to wcale nie niszowi, desperacko szukający szansy na zaistnienie – w wirtualnym świecie koncertowali i promowali nowe kawałki Gorillaz, Seleny Gomez i Sting w duecie z Shaggyem.

Przygody Mario, „Animal Crossing”, jak i większość pozostałych tytułów od Nintendo skupiają się na rozrywce dla całych rodzin. Nie brakuje gier wieloosobowych, często pozbawionych przemocy, więc trop rodzinny powinien bezwzględnie prowadzić do Switcha.

Ale co, jeśli celem jest nie tylko międzypokoleniowa sentymentalna podróż w czasie mająca pokazać, czym bawili się tata i mama, kiedy byli mali? Co z dorosłymi, którzy chcą poczuć tamte nastoletnie emocje, ale woleliby magdalenkę upieczonej bardziej pod czterdziestokilkuletni smak? Tu wyborem najwygodniejszym wydają się pozostałe z konsol – PlayStation i/lub Xbox.

Dlaczego najwygodniejszym? Ano dlatego, że podłączamy je do telewizorów i voilà – można grać. Tyle teoria. Praktyka pokazuje, że nic nie jest takie proste. Jeśli bowiem chcemy korzystać z takich cudów technologii jak trójwymiarowy, przeniesiony z kina dźwięk Dolby Atmos, marzy nam się jakość obrazu 4K lub 8K, o czymś takim jak odświeżanie ekranu – chodzi o liczbę klatek wyświetlanych w ciągu sekundy, im więcej, tym obraz płynniejszy, a oko mniej zmęczone, docelowo idealne jest 120 Hz – nie wspominając, trzeba myśleć o stosownym telewizorze. Niby wszystko będzie działało na każdym odbiorniku, które ma wejście HDMI, ale dopiero widząc różnicę gołym okiem, zrozumiemy, na czym sztuczka polega.

W przypadku amerykańskiej konsoli od Microsoftu musimy jeszcze zadbać o dostęp do Game Passa, potocznie nazywanego „Netflixem dla gier”. Podobnie jak w przypadku rozmaitych platform streamingowych wykupujemy miesięczny abonament, który automatycznie daje dostęp do ponad setki tytułów. Znajdziemy tam rzeczy starsze, nowsze, produkcje wysokobudżetowe, jak i rzeczy od mniejszych, czasem jednoosobowych zespołów (tzw. gry indie, od – podobnie jak w indie rocku – „independent”).

Wypadkową wysokiego budżetu i niezależnego podejścia (które w filmie nazywamy arthouse’em, a w świecie gier jeszcze nie dorobiło się etykiety) jest dylogia „Hellblade: Senua’s Sacrifice”.

Pozornie to horror psychologiczny utkany z celtyckich i nordyckich przypowieści. Pod dość uproszczoną rozgrywką – wojownicza udaje się w zaświaty walczyć o duszę ukochanego – kryje się jednak pieczołowicie przygotowane studium ludzkiej psychozy i opowieść o radzeniu sobie ze stratą. Twórcy mnóstwo czasu i pracy poświęcili nie tylko zjawiskowej oprawie graficznej i jeżącej włos na karku warstwie audio, ale również rozmowom z ekspertami oraz osobami dotkniętymi różnymi chorobami psychicznymi, aby zrozumieć je i oddać tak wiarygodnie, jak to tylko możliwe.

Effekt jest piorunujący i zapada w pamięć na długo. Ale jeśli komuś przypadnie do gustu, zderzy się z problemem znanym widzom, którzy kiedyś po prostu stawali przed regalem pełnym kaset lub płyt DVD wypożyczalni czy sklepie, a dziś muszą krążyć pomiędzy Netflixem, Max (dawnym HBO), Disneyem+, Amazonem Prime i tuzinem innych serwisów lub kupować kilka abonamentów, bo ten czy inny tytuł migruje między platformami albo któraś ma go na wyłączność.

Bo Game Pass nie jest jedynym abonamentem. Podobne oferty ma PlayStation (PS Plus) oraz Nintend (NSO). Ich zasób zmienia się cyklicznie, tytuły pojawiają się i znikają, często podróżują między konkretnymi platformami. Wypisz wymaluj to, co znamy doskonale ze streamingów filmowych. Otóż w wydanej w zeszłym roku drugą odsłonę „Hellblade” zagrać można wyłącznie na konsolach Xbox. Choć gracz i tak ma lepiej niż kinoman czy serialożerca – do sięgania w ten sposób głębiej do portfela zmusza go nie kilkanaście platform, ale trzech producentów (nie licząc pecetów).

Innego rodzaju rozrywką, choć nadal skierowaną do dojrzałego odbiorcy, jest „Indiana Jones i Wielki Krag”. To kolejny sentymentalny skok na kasę każdego miłośnika popkultury. Trzeba jednak oddać twórcom, że jest to skok jakościowy, okrutnie obnażający ostatnie dwie kinowe odsłony przygód legendarnego archeologa. „Królestwo Kryształowej Czaszki” i „Artefakt Przeznaczenia” wyglądają przy „Wielkim Kręgu” jak serialowe produkcje rodem z TVN czy Polsatu sprzed półtorej dekady.

Gra z jednej strony uderza w melancholijne tony, rozpoczynając naszą przygodę odtworzoną jeden do jednego sekwencją z pierwszej części przygód Indiany (tą z kultowym złotym posążkiem i gigantyczną kulą na czele), która błyskawicznie przechodzi w nową przygodę. Możemy spacerować się po uniwersytecie, na którym wykłada archeolog obieżyświat, a później pozostaje już tylko chwycić za kapelusz oraz bicz i ruszyć do Watykanu, by tam odkryć tajemnice podziemi papieskiej stolicy, następnie prosto do egipskiej Gizy, by na końcu przedziierać się przez tajlandzką dżunglę.

Brzmi jak spełnienie szczenięcych lat, kiedy oglądaliśmy przygody wtedy jeszcze młodego Harrisona Forda na kasetach VHS zdobywanych na zapisy w piwnicznej wypożyczalni wideo? Bo dokładnie tym „Wielki Krag” jest. Listem miłosnym do czegoś nazywanego przed laty „kinem nowej przygody” i jednocześnie pomostem pomiędzy minioną już epoką a współczesną rozrywką, jaką są gry wideo.

„Indiana Jones” zadebiutował na Xboxie w grudniu i do wiosny będzie dostępny wyłącznie na konsoli Microsoftu. Potem ma trafić na pozostałe platformy, w tym na konkurencyjne PlayStation. Wielu ekspertów podaje w wątpliwość biznesowy sens tego ruchu – mieć tak duży i udany tytuł na wyłączność, by za chwilę oddać go do „wrogiego obozu”? A graczom nie pomaga to w rozwianiu wątpliwości, na które urządzenie ostatecznie postawić. Z drugiej strony – nie powoduje rozczarowań pod tytułem „już się napaliłem/napaliłam, ale na moją konsolę gry nie ma” i nie zmusza do inwestowania w kolejny sprzęt, by pograć w wymarzony tytuł.

Co zatem do zaoferowania ma drużyna „niebieskich”, jak nazywane jest czasem PlayStation? Tu świeżo wracający do świata gier mają nieco ułatwione zadanie. Kto bowiem nie słyszał o „The Last of Us”? W ubiegłym roku serial HBO trafił do większości podsumowań najlepszych produkcji, a drugi sezon, zapowiedziany na początek nowego roku, wymienia się wśród tych najbardziej wyczekiwanych.

Nic w tym dziwnego. Serial czerpał garściami z gry, jednocześnie poszerzając wykreowany na konsolach postapokaliptyczny, spustoszony świat, który przemierzają nastolatka i szmugler poszukujący ostoi cywilizacji, dodając mu odpowiedniej, filmowej głębi.

Można jednak zaryzykować stwierdzenie, że oryginalne „The Last of Us” jest historią jeszcze lepszą, ciekawszą, bardziej wciągającą. W grze stajemy się bowiem częścią opowieści i mamy na nią iluzoryczny, ale jednak jakiś wpływ. Mowa o mitycznej immersji, czyli zanurzeniu w opowiadanej historii. W serialu jesteście obserwatorami – z padem w dłoniach stajemy się częścią świata. Świata brutalnego, bezwzględnego, gdzie potwory/zombiaki/zarażeni (niepotrzebne skreślić) dookoła są jedynie dodatkiem, bo – cytując klasyczny utwór – „piekło jest w nas”. Historia o starej jak świat spirali przemocy, bezsilności, kłamstwie i przetrwaniu. A na końcu o niespełnionym rodzicielstwie, w tym konkretnym przypadku – ojcostwie.

To niejedyna gra od PlayStation, która sięga po tematykę ojcostwa. W ciekawy sposób dotykają jej obie nowe odsłony klasycznej już – prawie dwie dekady na rynku!, w świecie gier to jak stulecie – „God of War”.

Jako Kratos, który w imię zemsty najpierw wyciął w pień cały panteon bóstw znanych z mitologii Parandowskiego, nie dość, że musimy odnaleźć się w zupełnie nowym anturazie wierzeń nordyckich, to w dodatku zostajemy samotnym ojcem. Jego/naszej relacji z synem bliżej do autystycznej niż ciepłej, więcej tu zimnego chowu niż współczesnych porad rodzicielskich. A młodość jak to młodość – musi się wyszumić i dokazywać. W ich wspólnej drodze opartej na cierpliwości i krótkich momentach, gdy uczucia dają o sobie znać, od razu

pobrzmiewają echa „The Last of Us”, ale gdy weźmiemy całą historię pod mikroskop, dostrzeżemy w niejatomy „Drogi” Cormacka McCarthy’ego, kinowego „Logana” z Hugh Jackmanem, a nawet „Gran Torino” Clinta Eastwoda.

A dodajmy, że cały czas mowa o wysokobudżetowej grze akcji, w której nie brakuje ekwilibrystycznych pokazów walk oraz audiowizualnej maestrii. Sięgając do porównań kinowych, które są łatwą ścieżką dla mniej zaznajomionych z grami wideo, mamy tu do czynienia z wielką hollywoodzką produkcją, skonstruowaną tak, by każdy znalazł w niej coś dla siebie, lecz z ambicją wykroczenia poza czysty eskapizm.



• **Keanu Reeves – „Cyberpunk” tak dobry, jak on, czy on tak dobry, jak „Cyberpunk”?**



FOT. OD PROJEKT.MAT.PRASOWE

Potyczki King Konga z Godzillą, czyli Microsoftu z Sony, emocjonują nie tylko graczy, ale i wszystkich zainteresowanych stykiem biznesu z popkulturą – lecz z której strony nie patrzeć na rynek gier wideo, nieustannie żółtą koszulkę lidera nosi kto inny: stary, dobry pecet.

Czyli po prostu komputer. W latach 90. taki sprzęt załatwiał „znajomy znajomego”, owiany nimbem „informatyk”, czyli najczęściej ktoś, kto niekoniecznie umiał od ręki napisać program w Pascalu i C++, ale wiedział, co która karta graficzna potrafi, czy ta płyta główna nie pogryzie się z tantym procesorem, i potrafił z tych klocków złożyć działające urządzenie. W teorii do grania, choć znane są historie, gdy dzieci wmawiały rodzicom: „Komputer pomoże w nauce”. Jak mawia klasyk, kawa nie wyklucza herbaty, ale niech pierwszy rzuci kamieniem, kto nie nasłuchiwał kroków mamy w korytarzu, by dwoma płynnymi ruchami myszki wstrzymać ogień od esesmana w kultowym „Wolfensteinie” i przykryć go programem do matmy.

Dziś sprawa jest pozornie prosta. Wystarczy pójść do sklepu i poprosić o komputer do gier. Czy jak kto woli – gamingowy. Opcji jest multum. Ale trzeba pamiętać, że o ile konsola to zamknięta struktura, monolit zaklęty w kawałek plastiku, o tyle peceta można modyfikować. Dobór podzespołów dla żółtodzioba będzie tak zrozumiała, jak wyliczanie punktów w konkursie skoków narciarskich, coś gdzieś dzwoni, ale do końca nie wiadomo skąd – ale nawet zostawiając technikalnia sprzedawcy, przy ladzie z miejscą zaczynamy rozumieć, z jakimi dylematami mierzą się tureczi choćby samochodowi. Bo już na starcie tu można dorzucić pamięci („bo wie pani, konsole są zaprojektowane z zapasem, a w pecetach parametry pędzą, więc żeby za dwa lata też mogła pani swobodnie popykać...”), tam „za niewielką dopłatą, 120 zł droższa, ale perspektywiczna” wymienić kartę graficzną. Nie mówiąc o rozterkach, jakie generuje wybór obudowy – pudeł są dziesiątki fikuśnych wzorów i kolorów z tuzinami opcji podświetleń czy błyskających światełek ledowych.

„Sky is the limit”, jak mawiają jankesi. I tu przewaga konsoli zaprojektowanych „ready to use” i ściśle określonymi parametrami, i to niezmiennymi przez kilka lat, do których dostosowują się twórcy gier, jest bezsporna: są jak iPhone, włączasz, używasz, wszystko dzieje się samo i masz tę miłą świadomość, że w przeciwieństwie do konkurencji za dwa, trzy czy pięć lat twój sprzęt, choć stary, wciąż będzie dawał radę.

Ale jeśli chodzi o to, co najważniejsze, czyli o gry, to pecet rządzi. Bo dziś na komputerach można grać niemal we wszystko. Rynek się tak skonsolidował, że mało który producent może sobie pozwolić, aby jego gra ukazała się wyłącznie na jedną czy dwie konsolowe platformy.

Branża gier wideo nie jest odporna na inflację; przeszacowano postpandemiczne wyliczenia finansowe, gdy statystyki grających wystrzeliły pod sufit, bo w trakcie lockdownów ludziom szybko nudzi-

ły się kolejne filmy i seriale, więc sięgali po kolejne wcześniej nieeksplorowane formy rozrywki. Wielu inwestorom i zarządom wydawało się, że „ludzie się przyzwyczaili” i taki stan utrzyma się długo, nawet po powrocie normalnego życia, więc rozochoceni pompowali budżety i rozpoczęli projekty, które do najbardziej przemysłanych nie należały.

Pandemia mocno dała też w kość producentom kart graficznych i procesorów. Większość fabryk stała – a w wielu przypadkach nadal stoi – w Chinach, a zerwanie łańcuchów dostaw zbiegło się z nową strategią Pekinu, którą można streścić jako „najpierw zaspokajamy potrzebny naszej gospodarki”. To z kolei przełożyło się na skomplikowaną premierę konsol, których najwzyczajniej w świecie brakowało na półkach sklepowych.

Zmiany geopolityczne też odciskają piętno na branży gier wideo. Rosjanie chętnie grali w gry, więc wykluczenie tego rynku odczuli wszyscy twórcy.

Trzeba przyznać wprost – rynek gaminowy jest w głębokim kryzysie, studia zwalniają na potęgę, inne po prostu znikają z powierzchni ziemi. Rok temu pracę na świecie straciło przeszło 10 tys. osób. W 2024 r. licznik dobija do 17 tys. I niewiele wskazuje na to, żeby miał przestać się kręcić. Dlatego tzw. tytuły ekskluzywne zaczynają być rzadkością.

Jeśli komuś wydaje się, że wybór „na konsolach” jest zbyt duży, to powinien zachować ostrożność, wchodząc na Steam, największą platformę sprzedażową gier komputerowych, bo tam łatwo o zawrót głowy. Tytułów są tam nie setki, ale tysiące. – Sam nie gram we wszystko. Mam konkretny gust, konkretne kryteria i pod tym kątem szukam interesujących mnie tytułów. Pomocny może być algorytm, który ma Steam: im więcej gramy, tym częściej będzie podpowiadał tytuły, które pasują do naszych dotychczasowych preferencji – podsuwa Miąsik. Mechanizm działa na podobnych zasadach jak Spotify czy Netflix. Warto o tym pamiętać, bo raz podpowiedź będzie strzałem w dychę, innym razem kompletnym niewypałem.

Zaczynając – czy wracając do korzeni, bo przecież większość z nas zaczynała od zawieszających się komputerów z Windowsem 95, 98 czy niesławnym Millenium – granie na pececie, warto dać szansę tytułom dużym. Rodzime flagowce pokroju „Wiedźmina” czy „Cyberpunka 2077” znać po prostu wypada. Kilkadziesiąt milionów sprzedanych egzemplarzy na całym świecie mówi same za siebie, podobnie jak kolejne miliony oglądające zwiastun „Wiedźmina 4”.

Liczbę to jedno. Obywatelski obowiązek – w końcu to globalne hity – to rzecz druga. Ale przede wszystkim to bezpieczne wybory. Czy „Wiedźmin”, czy „Cyberpunk” – to przede wszystkim świetne historie, doskonale napisane, z pełnokrwistymi postaciami, stosunkowo proste w obsłudze, a do tego piekielnie wciągające. I oczywiście można się czepić, że to mainstream, że rozrywka dla mas, i pewnie, że gdzie indziej znajdziemy więcej arcyzmu, ale poznajmy najpierw podstawy i na nich wyrabiamy sobie zdanie, umiejętności i apetyt.

Do polskiej wyliczanki warto dorzucić którąś z dwóch odsłon „Frostpunka”, w którym gracze starają się stworzyć i utrzymać miasto w ekstremalnych, niemalże postapokaliptycznych zimowych warunkach pogodowych, podejmując trudne i kontrowersyjne decyzje: zbudować sierociniec czy posłać dzieci do ciężkich robót, opiekować się chorymi czy postawić na ryzykowne terapie, zwiększyć porcje żywienia, a może dosypać do nich jak w stalinowskich łagrach trocin, by obywatele oszukali głód, a zaoszczędzone skromne środki przeznaczyć na jeszcze pilniejsze potrzeby, np. paliwo i leki?

Na pececie znajdziemy też nieśmiertelne „Simsy”. Warto o tej grze wspomnieć choćby z racji długowieczności – jej premiera miała miejsce w 2014 r., tytuł jest rozwijany nieprzerwanie do dziś. Jeśli coś tyle lat angażuje kolejne pokolenia graczy, niezależnie od płci, pochodzenia i upodobań, to wypada sprawdzić dłaczego.

Zmagania z własną psychiką, samotne ojcostwo i polityka miejska w czasach katastrofy politycznej? Scenarzyści gier komputerowych już nie mają kompleksów wobec literatury i kina

Liczbę dodatków trudno się już doliczyć, nie można natomiast przeoczyć przeszło miliarda dolarów, które w sumie zarobiły dla swoich twórców. Zabawa w wirtualny dom to już nie tylko meblowanie, ale także planowanie całych karier, opieka nad zwierzętami, wspólne wakacje, nawet życie pozagrobowe. Słowem – symulacja świata.

Próg wejścia jest niemal zerowy, ale wypada uprzedzić, że jest to doświadczenie ze znikomą wręcz fabułą. Jeśli zatem ktoś, kto w dzieciństwie z klawiaturą i joystickiem był raczej strzelcem czy wodzem niż strategiem, wraca do grania i liczy na scenariuszowe wolty oraz skoki adrenaliny, to ten adres jest niewłaściwy.

Co innego „Baldurs Gate 3”. To z kolei gra behemot. W dodatku wybitnie niedzisiejsza. Co dzieciaka zaczynającego przygodę z graniem, a wychowanego w kulturze gotowych do działania aplikacji może zniechęcać, ale dla niegdyś graczy będzie niekwestionowaną zaletą? Otóż pierwsze godziny spędzimy, tworząc swojego bohatera/bohaterkę, rasę, klasę, specjalizację, pochodzenie i mnóstwo innych wskaźników. Już na tym etapie wiadomo, że wszystko ma znaczenie i będzie miało wpływ na świat gry oraz historię, którą przeżyjemy.

Bo „Baldurs Gate 3” to RPG czystej krwi. A role playing game – jak sama nazwa wskazuje – ma polegać na odgrywaniu roli. Coś, o czym współcześni przedstawiciele gatunku często zapominają, skupiając się na spek-

takularnych filmikach, bombastycznych introdukcjach i tiktokowym tempie.

Możliwości rozmów, ich warianty prowadzące do przeróżnych rozwiązań każą podejrzewać, że sposobów podejścia do różnych zagadnień i problemów jest tu po prostu bez liku. I już sama ta zabawa pożera wiele godzin. Dorzucmy do tego scenariuszowe meandry w przebiegłym świecie fantasy, mikropowieści każdego z napotkanych towarzyszy, które z czasem przeradzają się w fabularne matrioski. Twórcom udało się stworzyć świat, w którym na pytanie, jak rozwiązać dany problem, którą opcję wybrać i czy to zakłęcie będzie lepsze od tamtego – każda odpowiedź brzmi „tak”.

Nic, tylko grać.

Dziś w świecie gier wideo znajdziemy wszystko: niskich lotów rozrywkę, igrzyska śmierci do wyboru do koloru, emocjonalną głębię, przygody nie z tego świata, relaks i medytację oraz spełnienie najgłębszych fantazji – a wszystko to w opowieści pod względem realizmu, płynności ruchu, subtelności czy rozmachu nie odbiegającej, a czasem nawet przewyższającej kinowe produkcje.

Bo dla kogoś, komu w ostatniej dekadzie mignęła jakakolwiek gra, to banal, ale dla „re-born players”, zahibernowanych w realu od czasów „Quake’a” i „Heroes of Might and Magic III” – postęp, jaki dokonał się w grafice od późnych lat 90., przypomina ten w lotnictwie. Pod względem realizmu, szczególności i płynności gry katapultowały się z epoki trójplatawców w czasy F-35. Oprawa audiowizualna potrafi dosłownie wgnieść w fotel – dość powiedzieć, że wiele spektakularnych scen kinowych niczym nie różni się od spektakularnych scen w grach wideo.

Medium, którego mimo upływu dekad wciąż trzyma się etykieta „młode i nie do końca poważne”, naprawdę dorosło. Zaczęło poruszać coraz dojrzałe wątki i rozwinęło scenopisarko, osadzając gracza wewnątrz wirtualnego świata, tworząc bohaterów i postaci, na których – jak w dobrym serialu czy książce – naprawdę nam zależy, z którymi się zżywamy i wspólnie z nimi przeżywamy emocjonalne rollercoastery.

Co również ułatwia zaawansowana technologia. Dzięki graficznej doskonałości już nie musimy się domyślać. Wystarczy rzut oka na cyfrową twarz i wiemy, czy ktoś się smuci, czy cieszy. A czasem nie musimy się nawet domyślać, kim jest epizodyczna postać czy mijany na ulicy wirtualny człowiek. W „Cyberpunku 2077” pojawia się raper Quibonafide, podobnie jego kolega po fachu Taco Hemingway. Obaj używają co prawda tylko głosu, nie sposób ich jednak nie poznać. Ale już takiego Dawida Podsiadłę spotkamy w grze we własnej osobie. I uwierzcie – gdy go zobaczycie, nie będziecie mieć najmniejszych wątpliwości, z kim macie do czynienia. Keanu Reeves też tam rzecz jasna jest.

Wirtualne światy serwowane przez twórców to wypadkowa literatury, filmu, muzyki i bogowie raczą wiedzieć czego jeszcze. Więc być może najlepsza odpowiedź na pytanie, od czego zatem zacząć swoją przygodę z tym już nie tak młodym medium, jest najprostsza. Nie myśleć za wiele, po prostu w coś zagrać. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Paweł Hekman

• prezes w spółce True Games Syndicate, producent w Movie Games, ekspert ds. branży gamedev. Jako dziennikarz gamingowy i technologiczny był związany z redakcjami Wirtualnej Polski, „Wyborczej” i Polygamii.



Co mnie urzekło

Kongregacja pod chmurką

Spotkałem starotestamentowych chrześcijan w wersji zielonoświątkowej

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Każdy, kto niespiesznie podróżuje przez południowo-zachodnią Afrykę, na pewno dostrzeże tam, szczególnie w Zimbabwie, weekendowe zgromadzenia ubranych na biało ludzi. Podzieleni na dwie przeciwlegle bosonogie grupy siedzą przy drodze na ziemi – najczęściej pod dającym trochę osłony drzewem.

Nasz kierowca łatwo ich zidentyfikował jako wyznawców Kościoła apostolskiego (Apostolic Church). Dostępność takich kongregacji pod chmurką skłoniła mnie do bliższego przyjrzenia się jednej z nich. Stanęliśmy więc w odległości, która zdawała się nie przekraczać sfery intymności grupy złączonej modlitewnym uniesieniem.

Słysząc było stamtąd chórálne śpiewy przerywane rytmiczną melodeklamacją znajdującego się pośrodku mężczyzny, który zdawał się prowadzić z grupą energiczny dialog i ekspresyjnymi ruchami połączonymi z wymachiwaniem długą laską dyrygował tym niezwykłym zgromadzeniem.

Staliśmy w ciszy urzeczeni widokiem surowego krajobrazu złamanego przez białe plamy ludzkiej ciżby i niosącymi się szeroko odgłosami jej duchowej jedności. Po jakimś czasie zostaliśmy dostrzeżeni i ruszył ku nam postawny mężczyzna z ogoloną głową. Stwierdziwszy nasze pokojowe zamiary, nakazał odwrót biegnącemu za nim towarzyszowi, który krzykiem próbował nas wypłoszyć.

Zaczął w języku shona, ale widząc, że naszemu kierowcy trudno idzie symultaniczne tłumaczenie, szybko przeszedł na wzorcową angielszczyznę. Ustaliwszy, że przywiodła nas „religioznawcza” ciekawość, przedstawił się jako Joseph i z pobłażliwym uśmiechem odpowiedział na dręczące nas pytania.

Sprawdziłem później szczegóły, o które nie zdążyłem go zapytać. Głównie interesowała mnie historia tego Kościoła i jego zasady organizacyjne.

Można go zaliczyć do misjonarskiego nurtu zainicjowanego w końcu XIX w. w Zion w Illinois przez Johna Alexandra Dowiego. Jego emisariusze przybyli w 1904 r. do południowej Afryki, gdzie szybko zyskali licznych wyznawców swojej wizji religijnej, będącej kombinacją starotestamentowego chrześcijaństwa w wersji zielonoświątkowej (np. radykalny pacyfizm) i judaizmu (np. reguły obchodzenia szabatu i posługiwanie się „gwiazdą Dawida”).

Z upływem czasu następowały wewnętrzne podziały inicjowane przez ambitnych liderów.

W Zimbabwie największą popularność zyskał charyzmatyczny Muchabaya Momberume, który przybrał „apostolskie” imię Johane Marange (1912-63). Specyficzna interpretacja Biblii w ujęciu lokalnych tradycji ludu Shona i rezygnacja z kosztownego budowania świątyń przysporzyły mu zwolenników w biednych społecznościach wiejskich – szczególnie wśród kobiet. Wierzą oni, że to sam Duch Święty przekazał mu zasady organizacji Kościoła Apostolskiego, wymogi zachowania wyznawców i praktyki rytualne.

Dawniej tę religię szerzyli wędrujący pieszo kaznodzieje, którzy chrzcili konwertytów w rzekach i jeziorach. Po krótkiej instrukcji dotyczącej podstawowych nakazów i zakazów nowy wyznawca otrzymuje imię starotestamentowe.

Od tego czasu przynajmniej w dni świąteczne musi nosić przepisany strój, tj. białą bieliznę pod białą szatą sięgającą do kostek. Mężczyźni otrzymują długie kije w kształcie laski pasterskiej lub zakończone pierścieniami. Go-

*Nie posyłają dzieci do szkół, nie piją,
nie palą, nie korzystają
z telefonów. Pomocy medycznej szukają
u charyzmatyków*

lą też głowy, a kobiety przykrywają je białymi szalami. Sądząc z dostępnych w internecie filmów, frenetycznymi liderami zgromadzeń modlitewnych są wyłącznie mężczyźni, którzy cieszą się też przywilejem wielożenstwa.

Wyznawcy Kościoła Apostolskiego nie posyłają dzieci do szkół, nie piją, nie palą, nie korzystają z telefonów. Wierzą, że wszelkie choroby mają podłoże duchowe i są skutkiem odstępstw od doktryny religijnej. Nie szukają więc pomocy medycznej, zdając się na moce zbiorowych rytuałów i uzdrawiające przymioty charyzmatyków.

Wiara w cudowną moc namaszczonego liderów znalazła skrajny wyraz po śmierci drugiego historycznego przywódcy tego Kościoła, Noaha Mutumwy Taguty (1940-2022), który był bratankiem jego założyciela Johane Marange. Otoczenie ukrywało jego zgon, wierząc, że zmar-

tychwstanie trzeciego dnia. Ostatecznie został pochowany z państwowymi honorami na szczycie świętej góry Chimyamukumba obok swojego świątobliwego stryja. Na mniej więcej 5 mln dolarów oszacowano jego majątek, którego pochodzenie jest bardzo niejasne.

Nie wiem, czy nasz spotkany przy szosie kaznodzieja Joseph znalazł te informacje, ale nam zarysował dość idealistyczny wizerunek swojego Kościoła. Według niego wszyscy w Kościele Apostolskim są absolutnie równi, więc zarówno mężczyzna, jak i kobieta mogą wystąpić podczas zgromadzenia, jeżeli tylko czują, że mają coś ważnego do przekazania.

W jego Kościele nie ma hierarchii i nie pobiera się żadnych opłat, bo nie potrzeba budować świątyń ani utrzymywać „księży/pastorów”. Wszyscy sami pokrywają koszty uczestnictwa w zgromadzeniach, a ich jedynym obowiązkiem jest przestrzeganie reguł godziwego życia, co zapewnia im zbawienie. Ten niezwykle Kościół ponoć niczego nie posiada.

Bosy Joseph w nieskazitelnie białej szacie brzmiał bardzo wiarygodnie, ale może to była tylko wersja dla cudzoziemców upiększona dla potrzeb zewnętrznej propagandy. Czy jednak wiejski kaznodzieja miałby interes w zwodzeniu obcych przybyszów? Nie mogłem tego zweryfikować w rozmowie z szeregowymi wyznawcami, bo nas do nich nie dopuszczono.

Jadąc dalej szosą z Masvingo do Bulawayo, widzieliśmy jeszcze wiele rozśpiewanych białych zgromadzeń. Oficjalne statystyki szacują liczbę wyznawców od kilkuset tysięcy do nawet miliona wiernych rozproszonych po Zimbabwie, Botswanie, RPA i Zambii. Czy im się to podoba, czy nie, są więc atrakcyjnym lupem politycznym.

Wyraźnie zdaje sobie z tego sprawę umizgujący się do Kościoła Apostolskiego przewodniczący rządzącej od ponad 40 lat partii ZANU-PF i kandydat na dożywotniego prezydenta Zimbabwe Emmerson Dambudzo Mnangagwa, pieśzczotliwie nazywany przez niektórych obywateli „krokodylem”. Pewnie nie jest to tylko pragmatyzm polityczny, ale też typowa dla wielu autokratów skłonność do religijnego legitymizowania swojej władzy i do poszukiwania wskazówek na przyszłość w ruchach ezoterycznych.

Jednak prości wierni siedzący pod samotnym drzewem przeżywają tam swoje śpiewne uniesienie nieświadomi tych pozareligijnych aspektów sukcesu swojego Kościoła.

Psychiatria jest w kryzysie, bo nie umie określić, czym jest choroba psychiczna

Z **BENJAMINEM WATERHOUSEM**,
BRYTYJSKIM PSYCHIATRĄ
I STAND-UPEREM ROZMAWIA
KRYSTYNA ROMANOWSKA

KRYSTYNA ROMANOWSKA: Panie doktorze, zna pan ten kawał? Do psychiatry przychodzi pan Smith i mówi: – Doktorze, każdej nocy śni mi się krasnoludek i... – Dobra, niech go pan po prostu gdzieś wyśle. Następnego dnia. Drzwi do gabinetu psychiatry się otwierają, wchodzi krasnoludek i mówi: – Ja od Smitha. **BENJAMIN WATERHOUS:** A to pani zna? Młody psychiatra chce otworzyć okno w gabinecie, bo mu gorąco. Starszy psychiatra informuje: – Okna się nie otwierają, żeby nikt nie mógł przez nie wyskoczyć. – Nawet w gabinetach psychiatrów? – pyta młody z niedowierzaniem. – W szczególności w gabinetach psychiatrów – odpowiada stary.

Kto się obraził po wydaniu pańskiego debiutu „Nie musisz być szalony, żeby tu pracować”?
– Raczej nikt. Pacjenci się skarżyli, że to nie ich przypadek trafił do książki. A znajomi lekarze? To, co opowiadałam w tej książce, nie jest zbyt kontrowersyjne. Myślę, że wszyscy psychiatry wiedzą, o czym piszę, i nie jest to dla nich nic nowego, choć wnioski mogą być frustrujące.

Nie ma nic kontrowersyjnego w wypowiedzi: „Mnóstwo ludzi ma skomplikowane, chujowe życie. A moją rolą

jako psychiatry jest głównie dobieranie odpowiednich dawek leków, przepisywanie nowych, zmienianie starych i czekanie na to, co się wydarzy. Czyli leczenie dziwną i mało naukową metodą prób i błędów, które jednak wielu osobom daje potwierdzenie, że ich cierpienie jest jak najbardziej realne”? Przecież to przyznanie się, że nie wiecie, jak leczyć ludzi!
– Bo nie wiemy. W psychiatrii nigdy nie można być niczego pewnym. Jeżeli postawi się tego samego pacjenta przed dziesięcioma psychiatrami, każdy z nich może postawić inną diagnozę. Psychiatria to nie jest hard science, chociaż lekarze i pacjenci by tego chcieli. Chorzy mogą wymagać, że lekarz cudotwórca za pomocą magicznych pigulek przywróci im radość życia.

A nie przywróci?
– Gdyby tak było, brytyjska [służba zdrowia] National Health Service (NHS) nie musiałaby się martwić o permanentny brak łóżek na oddziałach psychiatrycznych. Koszt jednego łóżka to 400 funtów na dobę – drożej niż w Ritzu.

Dalej w książce jest jeszcze lepiej. Wspomina pan receptę na leki antydepresyjne wypisaną przez lekarza pierwszego kontaktu, który zobaczył, w jakim pan jest stanie. Wyrzucił ją pan do kosza. Jest pan antypsychiatrą, który udaje psychiatrę?
– (*śmiech*) Nie, nie jestem. Chociaż ten pani zarzut przypomina mi moją pacjentkę Barbarę. Była w manii, ubrana w różową suknię ślubną, wmówiła wszystkim dokoła, że leci poślubić Harry’ego Stylesa. Pamiętam, jak mi powiedziała, kiedy przyszedłem ją zbadać: – Najważniejszą rzeczą, którą musisz wiedzieć o psychiatrii, jest to, że ona nie istnieje. Nie ma na to wszystko żadnych dowodów. To tylko metoda kontroli społecznej.

W jakiś sposób zgadzam się z tym. Na studiach uczyłem się o słynnych antypsychiatriach – Thomasie Szasz, R.D. Laing czy Ervingu Goffmanie. Kwestionowali oni naukowe podstawy wyodrębniania chorób psychicznych, a także prawo, jakie daje ten zawód, by traktować ludzi w sposób, który poza murami szpitala zostałby uznany za naruszenie praw człowieka.

Ja jednak mimo moich wątpliwości jestem psychiatrą, który ze wszystkich sił stara się pomagać ludziom, ale widzi słabości i wady systemu, a także samej psychiatrii jako dziedziny medycyny w potężnym kryzysie tożsamościowym.

Wracając do mojej sytuacji osobistej z czasów, kiedy dostałem receptę na antydepresanty – nie sądzę, żebym w tamtym momencie mojego życia cierpiał na depresję. Był to raczej rodzaj wypalenia zawodowego i poczucie braku sensu. W dodatku wtedy zaczął się lockdown, a ja poszedłem na zwolnienie lekarskie. Powiedziałem mojemu superwizorowi, że czuję się bardzo przygnębiony. – Po to właśnie jesteś psychiatrą, żeby tak się czuć – odpowiedział.

Ten stan przygnębienia nie trwał jednak długo. Na szczęście dla siebie zacząłem pracować w innym miejscu, w przychodni, w której mogłem efektywnie leczyć pacjentów. Okazało się, że porzucenie na chwilę psychiatrii, a potem

zmiana miejsca pracy, działa jak najlepszy antydepresant.

Jaki z tego wniosek?
– Nie każdy smutek i przygnębienie jest depresją. Ludzkie cierpienie jest nieuniknione, jest sprzężone z naszą egzystencją. Człowiek często cierpi po prostu dlatego, że żyje, a nie dlatego, że ma depresję. Zalicza tylko (lub „aż”) upadki i wzloty bycia człowiekiem. Poza tym najlepsze i najnowocześniejsze lekarstwa nie podziałają, jeżeli żyje się lub pracuje w miejscu, które działa destrukcyjnie, albo gdy ma się u boku partnera czy partnerkę, z którymi trudno wytrzymać.

Przyzwycailiśmy się do fantazmatu, że otrzymanie diagnozy u psychiatry to tak jak końcówka westernu, podczas której kowboj jedzie zwycięsko w stronę zachodzącego słońca. Tymczasem to czasami po prostu ślepa uliczka.

Próby podnoszenia świadomości na temat zdrowia psychicznego miały zmniejszyć stygmatyzację osób cierpiących na zaburzenia czy zmagających się z większymi lub mniejszymi wahaniem nastroju. I to się w jakimś sensie udało, ale konsekwencją stało się dążenie ludzi do przesadnego leczenia każdego nieprzyjemnego uczucia.

Gdyby Romeo i Julia przyszli do pańskiego gabinetu, zapisałby im pan leki antydepresyjne?
– Dobre pytanie! Myślę, że tak. Jeżeli opowiedzieliby mi o myślach samobójczych, to zdecydowanie – moim zadaniem jako psychiatry – byłoby zadbanie o ich bezpieczeństwo, z włączeniem farmakologii, oczekanie najbardziej kryzysowych momentów, które u osób w potężnym kryzysie po jakimś czasie mija

ŻYCIE BO LI



ją. Nie dałbym Szekspirowi szans na napisanie tragedii.

Nawiasem mówiąc, w zeszłym tygodniu spotkałem się z ludźmi w bardzo głębokim kryzysie po rozpadzie związku, które zdecydowanie wymagały pomocy farmakologicznej.

Na szczęście większość niespełnionych, zawiedzionych miłości pozostawia po sobie jedynie ból egzystencjalny, który zresztą kiedyś mija. Nie ma to nic wspólnego z zaburzeniem psychicznym i nie wymaga leczenia.

W książce pokazuje pan przekrój swoich pacjentów: od finansisty z City, który w eleganckim apartamencie chce dopełnić samobójstwo, po ubogich, bezdomnych i samotnych ludzi cierpiących na schizofrenię.

– Jest ogromna przepaść pomiędzy zalanianiami nerwowymi z powodów kłopotów w pracy a cichą i smutną samotną egzystencją Malcolma.

Malcolm to mój pacjent ze schizofrenią, którego na pewnym etapie leczenia namówilem, żeby wziął udział w zajęciach w ogródku sąsiedzkim, bo bardzo lubi opiekować się roślinami. Był bardzo samotny, spędzał dni na spacerowaniu po swoim mieszkanku.

Choroba psychiczna nadal dyskryminuje, zwłaszcza gdy zapadają na nią ludzie biedni, z zaniedbanych środowisk. Klasa społeczna, pleć i kolor skóry jak najbardziej wpływają na to, kto dostanie jaką diagnozę. Opinii publicznej zajętej dyskutowaniem, czy celebryta X ma ADHD, a celebrytka Y jest w spektrum, kompletnie umyka ten prawdziwy ludzki ból i cierpienie spowodowane realną schizofrenią czy psychozą.

O to mam pretensje do mediów: glamouryzując w większości wymyślone diagnozy zaburzeń, zapomina o rzeczywistości, w jakiej żyją osoby chore psychicznie. Jest bowiem ogromna różnica między tym, że ktoś nie może znaleźć swoich kluczy („na pewno mam ADHD”), a przerażającymi głosami, które słyzy się w głowie, czy cierpieniem podczas katatonii.

Czasami diagnoza choroby psychicznej może być niemal tak samo wyniszczająca jak sama choroba, jeśli społeczeństwo będzie trzymać się od osoby chorej z daleka przez resztę jej życia. I to tym ludziom chciałem oddać kawałek przestrzeni w mojej książce. To właśnie oni byli i są moimi najlepszymi przewodnikami i nauczycielami tego trudnego świata.

Jakie są główne grzechy współczesnej psychiatrii?

– Według mnie psychiatria jest w ciągłym kryzysie, bo nie jest w stanie jasno określić, czym jest choroba psychiczna. I na tym polega jej słabość. Mimo że ja sam, jak i wielu psychiatrów na całym świecie, stara się uprawiać swój zawód i pomagać ludziom jak najlepiej potrafi.

Używamy wciąż niedoskonałego systemu identyfikacji chorób czy zaburzeń, które nieustannie się rozszerza, zaburzając pojęcie normy. Dlatego warto przestać udawać, że psychiatria to jedna z nauk ścisłych. To także zdejście odium nieomylności z psychiatrów i wbrew pozorom ułatwia im pracę.

Grzechem jest „biologizowanie” zaburzeń psychicznych i wmówienie 90 proc. społeczeństwa, że depresja jest wynikiem niedoboru serotoniny. Jest nim też bagatelizowanie wpływu społecznego na choroby czy zaburzenia psychiczne.

Choroby psychiczne nie wynikają wyłącznie z biologii i genetyki, jak głosi zachodni model psychiatrii. Duży wpływ mają środowisko, społeczeństwo, rodzina, a nawet polityka. Mnie na studiach, a potem w czasie praktyk uczono wyłącznie biologicznego modelu depresji i stosowania SSRI w jej leczeniu. Tymczasem wiemy, że ten model jest już nieaktualny, a leczenie depresji SSRI – nieskuteczne. Teraz trzeba to zakomunikować ludziom.

Może warto ich przeprosić za wprowadzenie ich w błąd, że psychiatra to ścisła dziedzina nauki?

– A kto miałby to zrobić?

Właśnie psychiatrzy.

– Nie sądzi pani jednak, że odpowiedzialność spoczywa także po stronie koncernów farmaceutycznych, które promowały pogląd o biologicznym rodowodzie chorób i zaburzeń psychicznych? Wobec tego, jeżeli ktoś miałby przeproszać, to psychiatrzy i koncerny farmaceutyczne, które nigdy nie dostarczyły przekonujących badań na temat skuteczności leków antydepresyjnych.

Wiemy natomiast, że jeśli jedną z dwóch grup pacjentów poinformujemy: „Macie niski poziom serotoniny w mózgu i stąd wasza depresja”, trudniej jej będzie wyjść z tego stanu niż drugiej grupie pacjentów, której badacze powiedzieli: „Jesteście w kiepskim stanie psychicznym, bo życie was trochę przerosło”.

Wskaźniki powrotu do zdrowia drugiej grupy będą lepsze, bo ludziom nie odbiera się sprawczości, możliwości reaktywnego działania. Pierwszej grupie wmówiono fatalizm, więc natychmiast stała się zewnątrzsterowna, wpędzona w poczucie bezradności. Będzie biernie czekać, aż cudowne leki zadziałają.

Inną przywarą psychiatrii jest wyjątkowość. Tak, wyjątkowość. Czasami „przepust pacjentów” jest tak olbrzymi, że nie da się dokładnie określić, w jaki sposób można im pomóc. Potem zresztą większość znika w systemie i nigdy ich już nie spotykamy, nie wiedząc, jak potoczyły się ich losy. I czy ja – jako lekarz – postawiłem trafną diagnozę. Myślę, że podobnie jest w polskiej służbie zdrowia.

Na czym polega praca z pacjentem, który wygooglował sobie, że ma ADHD lub jest „w spektrum”?

– Trzeba wziąć na klatę fakt, że to my – lekarze – daliśmy pacjentom narzędzia i język do medykalizacji emocji i samodiagnozowania się. A ludzie po prostu zaczęli tego używać, żeby się w jakiś sposób określić. To był nasz błąd.

Oprócz tego, że z ADHD i ze spektrum, jest wiele osób, które z radością deklarują, że mają chorobę dwubiegunową. Nawet więcej – chętnie przyjęłyby jej oficjalną diagnozę, bo jest... sexy. Kojarzy im się z geniuszami, takimi jak Robin Williams, Stephen Fry czy Vincent van Gogh.

W rzeczywistości to romantyzowanie związku szaleństwa ze zdolnościami twórczymi – prawdziwa choroba dwubiegunowa często w niczym nie pomaga. Nie widzę łowców talentów artystycznych w grupach terapeutycznych na oddziałach psychiatrycznych.

Ludzie idą na łatwiznę, opisując kilka swoich cech i wkładając je w ramy diagnozy, nadużywając tego określenia. Jeżeli więc potrafią sami się zdiagnozować, po co im psychiatra?

Myślę, że naszym błędem jest brak dobrej komunikacji i mówienie ludziom, że jeżeli ktoś jest lekko roztargniony i nie potrafi się skupić, nie oznacza od razu, że ma ADHD. Rozmyślenie symptomów nie służy nikomu, a już na pewno nie osobom, które naprawdę potrzebują pomocy psychiatrycznej.

Jak w takim razie uleczyłby pan brytyjski system służby zdrowia, gdyby był pan ministrem w rządzie?

– W medycynie istnieje pogląd, że zapobieganie jest najlepszym lekarstwem. I ono jest bardzo trafne także w psychiatrii. Jeżeli nie mamy żadnych stuprocentowo skutecznych leków w tej dziedzinie, może, zamiast zatrudniać więcej psychiatrów czy psychologów i budować kolejne oddziały psychiatryczne z coraz większą liczbą łóżek szpitalnych, warto by było zawalczyć o godne warunki życia przeciętnego mieszkańca?

Można powiedzieć, że choroby psychiczne są demokratyczne, ale – powtarzam – częściej chorują biedni. Dlatego na-

leży się zająć ludźmi ubogimi, wykluczonymi, bezdomnymi. Dostrzec bezrobocie, brak odpowiedniej edukacji, rozbite rodziny, samotność, alkoholizm, uzależnienia od narkotyków. Jeżeli te rzeczy zostałyby rozwiązane – część pacjentów nie zachorowałaby psychicznie. Tylko tyle i aż tyle.

Które z dzisiaj stosowanych praktyk leczenia chorób i zaburzeń psychicznych zostaną uznane w ciągu następnych 50 lat za niedozwolone i szkodliwe? Czego będziemy żałować, tak jak dzisiaj żałujemy np. lobotomii?

– Nadal leczymy elektrowstrząsami. Bywa, że ta terapia pomaga, ale często także nie działa. Być może przejdzie do podręcznika historii razem z lobotomią jako jednak definitywnie szkodliwa.

Nie wykluczam, że sporym wstydem dla przyszłych pokoleń może okazać się fakt, że mamy miliony nieszczęśliwych ludzi, niezadowolonych ze swojego życia i zażywających antydepresanty. Możliwe, że przyszłe pokolenia będą się z nas śmiać, że – pomimo tak mizernej puli dowodów na skutecznie działanie tych leków, nieznacznie lepsze niż placebo – gorliwie faszeryowano nimi ludzkość.

Myślę też, że źle zestarzeje się sposób, w jaki traktujemy pacjentów ze schizofrenią. Zmuszanie ich do przyjmowania leków przeciwpsychotycznych, które mają monstrualne skutki uboczne, grożenie, że jeżeli tego nie zrobią, zostaną zamknięci, a potem i tak wracają do szpitala – wydaje się bardzo niehumanitarne.

Jako społeczeństwo staramy się zresztą, aby byli mocno izolowani, co odbija się rzecz jasna na ich samopoczuciu. To w moim przekonaniu stawia dobro społeczeństwo ponad potrzeby i prawa jednostki i powinno być zweryfikowane. Według mnie demonizujemy niebezpieczeństwo, które może stać się udziałem takich ludzi. Mam nadzieję, że w przyszłości będziemy faktycznie trochę bardziej szanować ich autonomię.

Wymieniliśmy się na początku rozmowy dowcipami, bo pan w wolnej chwili jest stand-uperem. W Polsce mamy wprawdzie jednego śpiewającego neurologa, Kubę Sienkiewicza, ale to na razie wszystko, na co stać tę specjalizację medyczną.

– Poważnie podchodzenie do tego zawodu i niedostrzeganie jego komicznych stron nieuchronnie może się skończyć wypaleniem. Humor rozbija i pomaga przełamywać tabu. W końcu psychiatria to jedyny zawód, który pozwala spotkać w życiu, i to nawet kilkakrotnie, Napoleona, Jezusa czy samego Boga. ●

FOT. GETTY IMAGES

Najlepsze lekarstwa nie podziałają, jeżeli żyje się lub pracuje w destrukcyjnym miejscu, albo jest się z osobą, z którą trudno wytrzymać



● **„Nie musisz być szalony, żeby tu pracować”.** Książka dr. Waterhouse’a w przekładzie Agaty Styczyńskiej i Katarzyny Brejwo wydana nakładem Znaku już w dobrych księgarniach i w formie e-booka oraz audio-booka na Publio.pl

120. rocznica rewolucji 1905 roku

Nasz sztandar płynie ponad trony

Wolność raz uświadomiona i osiągnięta może zostać przytłumiona.
Ale nigdy już nie zostanie zapomniana

Andrzej Mencwel*

W e wrześniu 1980 r., tuż po podpisaniu porozumień sierpniowych, Konstanty Puzyna, krytyk teatralny i redaktor miesięcznika „Dialog”, ogłosił w tygodniku „Polityka” artykuł publicystyczny pod tytułem „Zdumieni”. Ironia tytułu odnosiła się do tych, których zaskoczyła „dojrzałość klasy robotniczej” podczas strajków sierpniowych owego roku, skupionych w Gdańsku i Szczecinie, ale obejmujących przecież cały kraj. Wszyscy wówczas, lub prawie wszyscy byliśmy urzeczeni, nie tylko pokojowym zakończeniem tych,

największych w naszych dziejach, publicznych wystąpień ludzi pracy, ale także ich jakością społeczną i kulturową: samoorganizacją zakładową i krajową, akuratnością obyczajową i podniosłością religijną.

Spoza bram Stoczni Gdańskiej pokazywanej w telewizjach świata promieniowała jasność moralna, nieznana ówczesnej „scenie politycznej”, a nagrania kasetowe roznosiły tę prawdę po całym kraju. Byliśmy tym wszystkim „zdumieni”, bo odnosiliśmy się wyłącznie do poprzedzających sierpień 1980 r. wydarzeń z lat 1956 i 1970, żeby cokolwiek rozumieć. Nawet ci, którzy stanowczo odrzucali realność Polski Ludowej, bezwiednie przyjmowali jej oficjalne założenia: że mianowicie jest to Polska niemająca w przeszłości żadnych analogii.

Puzyna, człowiek teatru, nieznający w interpretacji przedstawienia scenicznego, okazał się wtedy wyjątkowym wizjonerem społecznym. Wskazywał bowiem rewolucję 1905 r. jako właściwą poprzedniczkę wydarzeń współczesnych i pamiętne świadectwo wczesnej „dojrzałości klasy robotniczej”. Pośrednio pytał więc o to, czym jest rewolucja społeczna i właściwy czas jej spełnień, co znaczy historia nowoczesna i kto stanowi jej podmiot podstawowy, jaka jest trwałość zdobyczy politycznych niegdyś osiągniętych, a potem zaćmionych lub nawet zduszonych.

Nie został wtedy zrozumiany, bo wszyscy mieliśmy na uwadze nagle spiętrzenia wydarzeń, a nie skryte w nich prawidłowości długotrwałych przemian dziejowych.

Ten krótki i dawny artykuł Puzyny przypomina w swoim okazałym tomie Anna Kuligowska-Korzeniewska z wyraźną estymą. Jej książka nosi tytuł „Czwarty akt »Wesela«. Teatr polski wobec rewolucji 1905 roku” i została z pietyzmem wydana przez Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego, w barwach przeważnie czerwonych. Liczy stron 770, opatrzona została wieloma odkrywczymi ilustracjami, jej spis rzeczy jest tak treściwy, że trzeba ciągle po niego sięgać, aby nie utonąć w morzu wiadomości.

Dość powiedzieć, że zgodnie z tytułem opowiada ona o TEATRZE POLSKIM tamtych lat w Warszawie, Łodzi, Krakowie, Kijowie i Wilnie, Lwowa nie przemilczając, Poznań tylko omijając. Umiejętnie też wiąże spektakle sceniczne, nawet sposoby ist-

nienia teatrów z politycznymi wydarzeniami społecznymi.

Ówczesne perypetie scen łódzkich, z Teatrem Wielkim na czele, zostały przez Annę Kuligowską-Korzeniewską zapisane z wdzięcznym lokalnym patriotyzmem. Repertuar teatru, realizacje spektakli, zapelnienie widowni podczas strajków i bojkotów, postawy aktorów i pracowników, kasa teatru oraz zasoby dyrektora spletają się w tej opowieści w dramatyczny dreszczowiec.

Ostatecznie dyrektor Marian Gawalewicz utopił w tym przedsięwzięciu artystyczno-politycznym posag córki wart 15 tys. rubli, co można przeliczyć na ok. 4 mln obecnych złotych. Chleb razowy kosztował wówczas cztery kopiejki, gdy dziś 11 złotych. A na pewno był większy...

Spośród polskich pisarzy scenicznych należą uwagę poświęca autorka Stanisławowi Wyspiańskiemu i Stefanowi Żeromskiemu, także Wacławowi Berentowi, Stanisławowi Brzozowskiemu, Tadeuszowi Micińskiemu, Kazimierzowi Przerwa-Tetmajerowi, Jerzemu Żuławskiemu, więc protagonistom Młodej Polski. Piszze też o literatach całkiem zapomnianych, jak Józef Zieliński, autor sztuk miernych, lecz dobrze zatytułowanych „Strajk” lub „Lokaut”.

Zajmując się Brzozowskim całymi latami, nigdy

■
*W październiku 1905 roku wybuchł
powszechny strajk kolejarzy,
od Kalisza po Chabarowsk.
Został złamany,
ale jego memento
pozostało trwałe:
autokracja może zostać
obezwładniona*

nie zdobyłem się na taką uwagę wobec jego „Prologów dramatycznych” jak Anna Kuligowska-Korzeniewska. Ponadto w pierwszej części książki, „Sztuka i rewolucja”, omówione zostają różne ówczesne (od Ryszarda Wagnera począwszy) koncepcje wzajemnych relacji tych dwóch sfer ludzkich działań.

Tu wyróżniono słusznie Karola Irzykowskiego z jego polemicznym tytułem „Czyn i słowo” i celnym orzeczeniem o wzajemnym niezrozumieniu rewolucji literackiej i politycznej. Wskażę jeszcze Gerharta Hauptmanna z „Tkaczami” oraz Maksyma Gorkiego ze „Zwistunem burzy”, aby oddać co należyte wiedzy teatralnej i literackiej autorki książki o „Teatrze polskim wobec rewolucji 1905 roku”.

■
Ale nie jest to jedyna racja tego opracowania. „Pół miliona robotników polskich w Królestwie stanęło

i woła: Precz z caratem!” – napisano w lutym 1905 r. we lwowskim czasopiśmie „Promień”, organie „postępowej młodzieży polskiej”.

Manifest ten nazwany „Czwartym aktem Wesela” odpomniała Anna Kuligowska-Korzeniewska i przyjęła jako tytuł własny. „Czwarty akt Wesela” nie został bowiem piórem napisany i nie rozgrywał się na scenie teatralnej, lecz na ulicach i placach Warszawy i Łodzi, w fabrykach Białegostoku, Radomia i Zawiercia, także na wsiach, ogarniętych masowymi strajkami robotników rolnych. Brały w nich udział setki tysięcy ludzi pracy, ponad 1,5 mln uczestników łącznie, na ok. 10 mln mieszkańców, proporcja podobna do tej z sierpnia 1980 r.

Ówczesne wydarzenia rewolucyjne w skali i ekspresji nie miały precedensów, nie tylko w dziejach Polski, lecz także całego, olbrzymiego, wielonarodowego imperium carskiego. Na przykład w październiku 1905 r. powszechny strajk kolejarzy, od Kalisza po Chabarowsk (do Władystoku kolej jeszcze nie dotarła), unieruchomił całą komunikację magistralną, włącznie z telegraficzną. Gigantyczne, transkontynentalne imperium zamarło w śmiertelnej ciszy, „trojki” nie nadążyły go przemierzyć z informacjami.

Lubię sobie wyobrażać, jak po wyniosłych komnatach Pałacu Zimowego błąka się autokrata Mikołaj II, gdyż nikt nie śmie mu powiedzieć, że w całym jego cesarstwie koleje stoją, a telegrafy milczą.

Strajk został złamany przez stan wojenny i militaryzację kolejarzy, ale jego memento pozostało trwałe: autokracja może zostać obezwładniona i 12 lat później upadła. Podczas rewolucji prasa znalazła się na ulicach, odezwę i ulotki tworzyły nowe MAPOWANIE POZNAWCZE (Wiktor Marzec, „Rebelia i reakcja. Rewolucja 1905 roku i plebejskie doświadczenie polityczne”, 2016), a działanie i milczenie mediów już elektrycznych, choć jeszcze nie elektronicznych, zapowiadało nową erę komunikacyjną.

●
W czerwcu 1905 r., przed powszechnym strajkiem październikowym, w drugiej obok Warszawy polskiej metropolii miała miejsce seria coraz bardziej masowych wystąpień robotniczych, nazywanych niekiedy „powstaniem łódzkim”. Łódź liczyła wówczas ok. 350 tys. mieszkańców i dygotała od strajków i manifestacji. Szacowano, że w niektórych z nich brało udział 100 tys. ludzi – robotników, rzemieślników, sklepikarzy, oficjalistów, straganiarzy i pucybutów – co zapewne było przesadą, ale jeśli przyjąć, że stawało ich 70 tys., będzie to co czwarty mieszkaniec, odliczając dzieci, starców, chorych, dozorców i gospodynie domowe.

Łódzka klasa robotnicza była też prawdziwie wieloetniczna, a stawała do walki solidarnie. Czego wymownym świadectwem są ofiary krwawego stłumienia powstania czerwcowego – według danych urzędowych w dniach 18-25 czerwca 1905 r. z rąk wojska i policji zginęło 151 osób, wśród nich 55 Polaków, 79 Żydów i 17 Niemców. Zapewne dane te zostały zaniżone, ale proporcje liczbowe ofiar są znamienne.

Nie da się rozstrzygnąć, w jakiej mierze wydarzenia te sprowokowała krwawa interwencja wobec



pierwszej pokojowej manifestacji, w jakim też stopniu organizowały je konspiracyjne, dość już liczne, partie polityczne (PPS, Bund, SDKPiL) – żywiołowa siła mas przerosła bowiem wszystkie zamierzenia i oczekiwania.

Najpierw chodziło tylko o pochówek zmarłych od policyjnych ran dwóch robotników żydowskich, a gdy solidarnościowy pochód zaatakowano salwami karabinowymi, odpowiedziano kamieniami i pojedynczymi wystrzałami, potem wzniesiono barykady i prowadzono regularne walki uliczne.

Powstanie stłumiły wojsko i policja, Łódź po miesiącach oporu spacyfikowano, ale przesłanie tych wydarzeń trwało i to nie tylko podczas strajków solidarnościowych w Warszawie i innych ośrodkach przemysłowych. Był to pierwszy w całym imperium masowy czynny opór przeciw reżimowi carskiemu, choć więcej tu padło kamieni niż strzałów, bo broń palna była okazem w rękach robotników.

Miało ono również nieznanym wcześniej wymiar obyczajowy – likwidowano sklepy alkoholowe, podlegające monopolowi państwowemu. Służby porządkowe w strajkujących zakładach 1880 r. w tej samej kwestii działały prewencyjnie. Tu i tam nie chodziło tylko o walkę z wyzyskiem, ważne były też postawy moralne.

Znaczenie „powstania łódzkiego” w naszych dziejach trudno przecenić – po raz pierwszy bowiem na ulicach wielkiego miasta i w skali powszechnej objawiło się w Polsce rozwinięte społeczeństwo klasowe. Nie była to deklaracja aktywistów elitarnej grupy politycznej, jak partia Proletariat czy pierwszy PPS, lecz bunt świadomych swej siły i sprawczości mas pracujących, podobnie w miastach Wybrzeża latem 1880 r.

Spółczesność klasowa nie tylko jest podzielona na wielkie grupy o sprzecznych interesach, przynosi ono także wyzwolenie ludzi od przyrodzonej stanowej niewoli, czyli wolność osobistą. Wolność taka, raz uświadomiona i osiągnięta, może zostać przytłumiona, ale nigdy już nie zostanie zapomniana i będzie ciągle się odradzać. Jej odyseja w naszej nowoczesnej historii – ekspresje, tłumienia i ukryte trwanie, aż do spektakularnego odrodzenia – nie została jeszcze napisana.

Wolność ta u nas zostanie nieodwracalnie potwierdzona prawie sto lat później, po wyborach 1889 r. I będzie chodziło o jej pełnię, czyli wolność publiczną, a nie tylko prywatną, którą można było sobie wydeptać wcześniej. Nie osłabia jej już wysił-

• **Warszawa, ulica Miodowa po wybuchu bomby, 19 maja 1905 r.**

FOT. POLONA

ki żadnej administracji – państwowej, kościelnej czy korporacyjnej. Oderwanie niepodległości od wolności kryje w sobie zawsze groźbę tyranii.

Przemysłowa Warszawa, dwukrotnie większa od Łodzi, była również sceną masowych strajków i manifestacji oraz wystąpień zbrojnych. W kwietniu 1904 r. Marcin Kasprzak, broniąc tajnej drukarni, zastrzelił czterech policjantów; w jego obronie i przeciw sądom wojennym latem tegoż roku stał wraz z towarzyszami Stefan Okrzeja. Został on jednym z liderów manifestacji na pl. Grzybowski 13 listopada 1904 r., któ-

„Powstanie łódzkie”, które wybuchło w czerwcu 1905 roku, stłumiły wojsko i policja, miasto zostało spacyfikowane.

Ale przesłanie tych wydarzeń trwało

ra skończyła się starciem zbrojnym z wojskiem carskim, pierwszym od powstania styczniowego 1863 r.

Datę tego protestu można uznać za początek pierwszej polskiej rewolucji, dokonującej się w latach 1904–06, wcześniejszej przeto od rosyjskiej, wskazywanej latami 1905–07, po styczniowej „krwawej niedzieli” w Petersburgu.

Poważna dyskusja nad taką periodyzacją i jej przesłankami jeszcze się nie odbyła, bo cały ten okres dziejowy, źródłowy dla odzyskania niepodległości i demokratycznego kształtu państwa po 1918 r., poddano historycznej amnezji. Badania nad nim są nieliczne i odosobnione, spory zanikły, a syntez się nie publikuje. Ostatnia z nich, pod tytułem „Czwarte powstanie czy pierwsza rewolucja. Lata 1905–1907 na ziemiach polskich”, autorstwa Stanisława Kalabińskiego i Feliksa Tycha, ukazała się w kilkadziesiąt lat temu (1969) i nawet językowo jest przebrzmiała. Wyjątkiem przywołana wyżej książka Wiktora Marca, która została przemilczana.

A przecież Bohdan Cywiński w roku 1971 opublikował „Rodowody niepokornych”; Adam Michnik

prawie równolegle ożywił „Cienie zapomnianych przodków”. Wydawany w drugim obiegu w latach 1977–81 „Robotnik” nawiązywał do „Robotnika” z lat 1894–1905, redagowanego początkowo przez Józefa Piłsudskiego i Stanisława Wojciechowskiego.

„Solidarność” swą nazwą przypominała reformistyczną Solidarność Kazimierza Puchewicza wyłonioną z rewolucyjnego Proletariatu Ludwika Waryńskiego. Ruch Młodej Polski, zawiązany w Gdańsku latem 1979 r., oddziałujący następnie na kształtowanie „Solidarności”, przyjął nazwę tej konstelacji artystyczno-ideowej z przełomu poprzednich stuleci, która chciała być synonimem Nowej Polski.

Przełomowe wydarzenia ostatnich dekad XX wieku miały swoje stuletnie źródła, tylko potem źródła te pokryto pyłem zapomnienia. Może jednak nie było to zapomnienie, lecz przedsięwzięcie celowe, którego zadaniem była ekstirpacja wszelkiej czerwieni: „Red is Bad”?

Z tamtych burzliwych lat wywodzą się podstawowe nowoczesne obozy polityczne z ich meandrami i konfliktami, ówczesne impulsy rewolucyjne przemieniają ruch ludowy, kobiecy, zawodowy, młodzieżowy, nauczycielski, nawet literacki i teatralny. Pośród dziesiątek, jeśli nie setek, różnych stowarzyszeń powstały również Związek Postępowych Literatów Polskich oraz Związek Teatrów i Chórow Włościańskich. Oraz Polski Związek Pracowników Garbarskich i Stowarzyszenie Kursów dla Analfabetów Dorosłych. Partie polityczne okrzepły, stały się masowe i konfliktowe, dzieląc się podług linii ideowych i posunięć taktycznych, skupiały się wokół swoich liderów.

Wtedy też zawładnęły wyobraźnią zbiorową osoby dwóch czołowych przywódców, Józefa Piłsud-

skiego i Romana Dmowskiego, aby na przelomie ostatnich wieków, czyli prawie po stuleciu dominacji, okazać się „cieniem dwóch wielkich trumien”. Cień to utrapiony, a jeszcze nie rozwiązany.

W roku 2005 stulecie apogeum pierwszej rewolucji zostało gruntownie przemilczane. Nie było uroczystości państwowych, zamilkły Sejm i Senat, nie zwołano historycznych konferencji naukowych, nie przedstawiono rocznicowych spektakli ani wystaw, nie wydano nawet pocztówek ani znaczków, choć ikonografia tej rewolucji jest bardzo bogata.

W Instytucie Historii PAN odbyło się kilkunastoosobowe spotkanie klubowe, na które zapraszano prywatnie. Wygląda na to, że horyzont czasowy i problemowy nowoczesnej historii Polski został dotkliwie ograniczony przez Instytut Pamięci Narodowej i jego popleczników.

Ulicę Stefana Okrzei, po zamachu na carski komisariat policji skazanego na śmierć przez powieszenie, w Warszawie obroniono skutecznie, w Zgierzu już nie. Tablicę upamiętniającą jedną z przywódczyni tej rewolucji, Różę Luksemburg, redaktorkę „Czerwonego Sztandaru”, skuto ze ściany jej rodzinnego domu w Zamościu. Minister kultury temu przyklasnął, niech pozostanie bezimienny, bo to więcej niż wstyd.

Czym dla Łodzi był czerwiec, tym dla Warszawy listopad 1905 r., a właściwie jego początek. 1 listopada bowiem na pl. Teatralnym i w okolicznych ulicach zebrało się ponad 100 tys. ludzi w odpowiedzi na imperialistyczny „Akt konstytucyjny”, który niebawem okazał się świstkiem papieru. Aktorzy i chórzyscy Teatru Wielkiego odmówili udziału w spektaklu i śpiewali dla manifestantów „Marsylianke” i „Czerwony Sztandar”.

Najazd kozacki na odświętne właściwie zgromadzenie był nagły i okrutny, kilkudziesięciu uczestników zostało zabitych, setki poranionych, opatrywał ich również zamieszkały w pobliżu dr Stanisław Słomski, co zapamiętał dziesięcioletni wówczas jego syn Antoni.

20 lat później „Balladę o placu Teatralnym” uczcił te wydarzenia Władysław Broniewski: „Kozackim cwałem, świstem kul/ osaczy groza plac rozległy”. Podczas listopadowej „dekady wolności” (10 listopada wprowadzono stan wojenny) strajkowali, wiecowali i radykalizowali swoje wolnościowe żądania zwolennicy wszystkich opcji politycznych, gazety wychodziły bez cenzury, lewicowy, bezpartyjny tygodnik „Głos” z dewizą „Proletariusze wszystkich narodowości łączcie się!”.

Zwolennicy Ligi Narodowej również zorganizowali pochód wielotysięczny, przeszedł on od katedry świętojańskiej do ul. Marszałkowskiej, pod chorągwiami kościelnymi i sztandarami powstańcy z 1831 i 1863 r. Śpiewano „Boże, coś Polskę”, nie wiem, czy odważono się na „Jeszcze Polska nie zginęła”.

To arcy-polskie rozdwojenie sugestywnie pokazała w swoim filmie „Gorączka” (1981) Agnieszka Holland. W jego kadrach dwie manifestacje, rewolucyjna i patriotyczna, „czerwona” i „biała”, przemierzają ulice Warszawy jakby równoległe, choć jeden sztandar biało-czerwony się z tego nie wylania.

Później, niestety, strzelać będą do siebie partyjne bojówki, pojawiają się denuncjacje i pogromy. Jednak rewolucje nazywane wielkimi, francuska czy rosyjska, mają niezrównanie więcej ciemnych stron. A polską rozliczał dramatycznie Stefan Żeromski w „Róży” (1909).

„Zorganizowaliśmy masę ludzi w doskonale stowarzyszenia” – mówi w „Przedwiośniu” Cezaremu Baryce Szymon Gajowiec. Młodzieńcowi z azerskich zakręgów, ostrzelanemu już w wojnie bolszewickiej i rozzarowanemu ziemiańskim dworem, pragnie przybliżyć to, co w Polsce najważniejsze i na czym sam polega.

Niewątpliwie wysławia opinię samego Żeromskiego i niewątpliwie też jest ona przesadna. Działające w ostatnich dekadach zaboru rosyjskiego polskie stowarzyszenia były nadzwyczaj liczne, ale jeszcze nie masowe, naprawdę też były one społeczne, choć nie doskonałe.

Prawdą jest jednak, że dzięki świadomej, ofiarnej pracy głównie warszawskich, ale również lubelskich, plockich, siedleckich i innych „inteligentnych proletariuszy” stworzono wówczas niebywale rozległą, gęstą i dalekosiężnie owocną sieć kół, komitetów, klubów, towarzystw i związków, którą z wielką przesadą, równą opinii Żeromskiego, można nazwać Rzeczpospolitą Samorządną w Cesarstwie Rosyjskim.

W Warszawie np. powołano Towarzystwo Kursów Naukowych, niezależną wyższą uczelnię, wy-



• **Pochód patriotyczny w Warszawie, 5 listopada 1905 r.**

FOT. POLONA

wodzącą się z działającego od 30 lat w mieszkaniach prywatnych, co zapewne było rekordem świata, Uniwersytetu Latającego. Kształcił on głównie kobiety, niemające wówczas wstępu na uniwersytety (nie tylko w carskiej Rosji, także w CK Galicji), a jego sposób działania stał się wzorem dla podziemnych wyższych uczelni podczas okupacji niemieckiej 1939-44 roku. Niezależne Towarzystwo Kursów Naukowych działało także w latach 1978-81.

W Płocku strajk szkolny 1905 r. wymusił na władzach otwarcie polskiego gimnazjum, w Łowiczu

**Zaraz po strajkach na Wybrzeżu w 1980 roku
Konstanty Puzyna, człowiek teatru,
okazał się wizjonerem.
Napisał, że te wydarzenia, dowód dojrzałości
robotników, to powrót do 1905 roku.
Nie został zrozumiany**

podobnie powołano liceum. Adam Chętnik, badacz i rzecznik Kurpiów, zorganizował w Nowogrodzie ochotniczą straż pożarną, a Stefan Żeromski w Nałęczowie zawiązał klub rzemieślniczy, potem rozwinęty w stowarzyszenie „Światło”, obejmujące także Lublin i inne miasta regionu.

Działacze „Światła” wybudowali w Nałęczowie, z zebranych środków członkowskich, w tym honorariów Żeromskiego (podobno 6 tys. rubli za „Dzieje grzechu”), ochronkę dla dzieci według projektu Jana Koszczyca Witkiewicza (później gmach główny SGH w Warszawie).

Wszystkie te stowarzyszenia szczyty swojej działalności osiągnęły podczas wolnościowych wydarzeń 1905-07 roku, ale po ich stłumieniu nie upadły, lecz odradzały się pod różnymi postaciami i owocowały społecznie w II RP. W latach Polski Ludowej inspirowały różne niezależne przedsięwzięcia: rady robotnicze, kluby inteligencji, koła opozycyjne, z KSS „KOR” na czele. Prof. Edward Lipiński, w którego mieszkaniu KOR zawiązano, osobiście potwierdzał tę historię, bo debiutował udziałem w lutowym strajku szkolnym 1905 r.

Podstawowe idee takiej Rzeczypospolitej samorządnej wysłowił Edward Abramowski w broszurze „Zmowa powszechna przeciw rządowi”, i to pod jego portretem Barykę uświadamiał Gajowiec. Abramowski był już znany ze swej krytyki socjalizmu partyjnego, przestrzegał przed jego upaństwowieniem i zakładał małe związki społeczne, koła etyków i przyjaciół. Broszurę napisał zaraz po wybuchu powszechnego strajku szkolnego w lutym 1905 r., wydrukowano ją w Krakowie, a już w kwietniu czytano w Warszawie.

Jeśli chodzi o odrzucenie rusyfikacji i polonizację szkół, strajkujący w roku 1905 uczniowie i nauczycie-

le byli jednomyślni, natomiast spory o nowy kształt edukacji były intensywne i pobudzające, uczestniczyli w nich wybitni wychowawcy z Januszem Korczakiem i Heleną Radlińską. Była to bowiem złota epoka pedagogiki polskiej, a wizja szkoły powszechnej, swobodnej i twórczej, wolnej od militarnego drylu, terroru klasyfikacji i klerykalnego patronactwa została wtedy przedstawiona i uzasadniona.

Pozytywna treść broszury Abramowskiego była bogatsza niż owa negatywnie nacechowana „zmowa przeciw rządowi”. Autorowi bowiem chodziło o budowę powszechnego niezależnego społeczeństwa, a nie o samo przeciwstawienie się reżimowi carskiemu. Do budowy tej sam się przyczyniał, powołując Związek Stowarzyszeń Samopomocy Społecznej i stając na jego czele. „Nie palcie komitetów, zakładajcie własne” – wzywał Jacek Kuroń kilkadziesiąt lat później.

Abramowski założył też Towarzystwo Kooperatystów wydające własny tygodnik, którego tytuł odpowiedział Stefan Żeromski: „Społem” (1906). Warszawską Spółdzielnię Spożywców „Społem”, która się stamtąd wywodzi, przetrzymała najazd wszelkich korporacji i właśnie czytamy, że w maju 2024 r. patronowała przeglądowi uczniowskich zespołów teatralnych pod tytułem „Witajcie w naszej bajce”.

I tu należy zapytać, czy to ja, zwiedziony historycznym patronatem, nie opowiadał swojej bajki? Stefan Żeromski cenność tego samorządnego doświadczenia społecznego zdawał się ograniczać do czasu zaboru – „zmowy przeciw rządowi” obcemu i narzuconemu. Pod rządem własnym, w „wolnym państwie polskim”, mówił w tej samej rozmowie z Baryką Gajowiec, „samo życie po tysiąc razy zaprzeczyło marzeniom tego społecznego mistyka”. I nie „stowarzyszenia obrony”, o których bał Abramowski, są nam potrzebne, lecz „sprawnie i skutecznie działająca policja”.

Napisał nawet pochwalną „Balladę o posterunkowym”, której ostatecznie nie włączył do tekstu „Przedwiośnia”, pozostawiając ją w rękopisie. Kiedy państwo własne jest już zwykłą powszednością, a do jego władz różnych szczebli, choćby tylko mentalnie, zwracamy nieustannie swoje narzekania i pretensje, wówczas bardzo trudno jest zrozumieć stany duchowe tych, którzy czuli się jego Założycielami, a wyrażali dążenia, pragnienia i marzenia pokoleń.

Autor „Przedwiośnia”, przy całym krytycyzmie wobec praktyki politycznej rządzących, niepodległe państwo polskie uważał ze swego rodzaju cud i był skłonny je deifikować. Nawiasem dodam, że „cud” w panującej wówczas frazeologii pojawiał się natrętnie, świadcząc niechęć o małej wierze niepodległościowych elit we własną sprawczość dziejową.

Z dezaktualizacją idei Abramowskiego we własnym państwie Żeromski jednak przesadził. Stowarzyszenia społeczne, ostatnio nazwane dość niedorzecznie „pozarządowymi” (z angielskiego non-governmental), odegrały olbrzymią rolę w pierwszych dekadach III RP, uspołeczniając i aktywizując jej obywateli. Braliśmy się wtedy za wszystko, co dotąd było zarzucone, zaniedbane, zakazane.

Współcześnie ich manifestacyjne, animacyjne oraz opiekuńcze działania pozostają niezastąpione, dość wskazać nie tylko Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy czy Polską Akcją Humanitarną, ale również pojedyncze kluby seniorów lub stowarzyszenia niepełnosprawnych i nieheteronormatywnych.

Podczas ostatnich rządów PiS-u próbowano jedne sieci zamrozić, inne upaństwowić przez odgórny system finansowania, uzależniający je bezpośrednio od łaski rządzących. Partijni bossowie na telewizyjnych piknikach wręczali ochotniczym strażakom i gospodyniom wiejskim swoje plakatowe czeki, aby było wiadomo, że są ludzkimi panami. Czapkowania jednak nie dostali i etatyzacja zasłużenie upadła, a czym zastąpią ją nowe rządy, tego jeszcze nie wiemy, bo w sprawach społecznych nie są one spieszne.

Natomiast „mystycyzm społeczny”, który wytykał Abramowskiemu Żeromski, zyskał ostatnio nieoczekiwane potwierdzenie. Dzięki inicjatywie dwóch młodych uczonych, Bartłomieja Blesznowskiego i Cezarego Rudnickiego, w renomowanym holenderskim wydawnictwie Brill (Leiden/Boston) ukazał się monumentalny (ponad 570 stron) tom zatytułowany „Metaphysic of Cooperation. Edward Abramowski’s Social Philosophy With Selection of His Writings”.

Nie dość na tym, w rok bowiem po tej twardej (hardcover) edycji ukazało się wydanie popularne (paperback), w chicagowskim wydawnictwie Haymarket Books. Wybór pism niegdysiejszego autora „Zmowy powszechnej przeciw rządowi”, zamieszczono w działach: „Socjologia”, „Etyka”, „Polityka”, „Kooperatywizm”, „Psychologia”, czyli wszystko to, co dotyczy człowieka w jego świecie. Edycja w światowej serii „Studies in Critical Social Sciences”. (W opracowaniu uczestniczyli także Kamil Piskala, Aleksandra Bilewicz i Lena Magnone, całość przełożyła na angielski Michelle Granas. Posłowie pod tytułem „All the Best!” zamieścił autor tego tekstu).

Hanna Arendt swoją fundamentalną rozprawę „O rewolucji” zbudowała na opozycji między dwiema rewolucjami „klasycznymi”, amerykańską i francuską. Jej wywody są wszechstronne, bogate w historyczne odniesienia, włącznie ze starożytnością grecką i rzymską, wyrafinowane w prawnej, filozoficznej i społecznej argumentacji. Nie próbuję ich przedstawić w całej złożoności, lecz tylko w osi głównej. Jestem świadomy koniecznego uproszczenia, ale też pewien, że unikam fałszu.

Otóż Arendt zasadniczo uważa rewolucję amerykańską za udaną, francuską zaś za nieudaną. Rewolucją udaną jest ta, której zdobycze wyraźnie przeważają nad stratami i tak się dzieje w owych 13 stanach amerykańskich, które w roku 1775 ogłaszają swoją Deklarację Niepodległości.

Rewolucja amerykańska, zdaniem Arendt, jest zerwaniem uzależnienia od monarchii angielskiej, pozbawionym ludzkich ideologizacji i dokonuje się niejako oddolnie, bo przez solidarną wolę zwykłych

obywateli, której pojęciowy wyraz nadają Ojcowie Założyciele. Mają oni złożyć nowe państwo federalne ze stanów już istniejących, tak jak stany te składają się z wolnych miast, gmin i osad. Stany Zjednoczone powstają niejako oddolnie, podnosząc swoją demokrację elementarną na coraz wyższy poziom polityczny.

Rewolucja francuska z roku 1789 natomiast, mając za sobą dziedzictwo monarchicznego absolutyzmu, staje się jego dyktatorską repliką. Mimo pierwotnego ludowego zaczynu podlega ona urojonym ideologizacjom, lansowanym i narzucanym przez izolowanych przywódców. Uprawiają oni swego rodzaju „rewolucję permanentną”, której skutkiem są niezliczone ofiary rzekomej wolności przekłamaney w historyczną konieczność.

Rozważania źródłowe Arendt nasycą domyślnie, miejscami jawnie, złowrogimi przypadkami rewolucji XX-wiecznych, za ich wzór uznając bezpośrednio rewolucję francuską, co częściowo, nawet w scenografiach i stylizacjach, jest prawdziwe.

Rewolucję amerykańską Arendt właściwie rozgrzesza z niewolnictwa, za które Stany zapłaciły później wojną secesyjną i setkami tysięcy jej ofiar. Ale nie ma rozpraw tak podstawowych, które nie byłyby kontrowersyjne, ja zaś nie jestem w stanie podjąć pełnoprawnej dyskusji z Hanną Arendt.

Z najwyższym natomiast zadowoleniem czytam u niej, że demokracja amerykańska wywodzi się z „równości i wzajemności”, „przymierzy osadniczych”, „umów wolnych obywateli”, „wspólnot swobodnie obranych”, składających „elementarną gramatykę działania obywatelskiego” oraz „samorządne ciała obywatelskie”.

Jak wszystkie te wartości mają się współcześnie w Stanach Zjednoczonych, tego nie wiem, jestem natomiast przekonany, że ich uprawianie w Polsce jest ciągle nieodzowne. Nasze życie publiczne nieustannie potrzebuje rozwoju KOOPERACJI, włącznie z jej METAFIZYKĄ, i to nie cudownie pozaświatową, lecz zwyczajnie międzyludzką. ●



FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Andrzej Mencwel

• ur. w 1940 r., profesor emerytowany nauk humanistycznych, krytyk i historyk literatury i kultury polskiej, eseista, prozaik. Wydał ostatnio: „Powieść z życia. I, Strona ojca” (Wyd. Nisza, 2022); „Nauczyciele i przyjaciele”, wydanie drugie, poszerzone (Wyd. UW, 2023); „Książka o »Kulturze«” (WUW, 2024).

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ołeksandr Irwaneć*

Wiersz grudniowej nocy

Wieczór z wolna staje się nocą,
Tyle o tym – i więcej nie trzeba.
W jakiejś małej knajpcie przy drodze
Trzech facetów się właśnie rozgrzewa.

Po co czas tracić nadaremno!?
Trzy setki! – najstarszy zamawia.
– Ja nazywam się Kasparenko,
Z Dnipra rodem – tak się przedstawia.

– Ja z zachodu, z Wołynia, panowie –
Mówi, biorąc butelkę do rąk,
I dolewa jeszcze do połowy
Drugi z nich, Mykoła Melchioruk.

– Cały koniak pan lej, i gitara!
A kto moich namiarów ciekawy,
To z Donbasu jestem, Baltazarow –
Mówi trzeci, najmłodszy, czarniawy.

Przemagając zmęczenie i senność,
Swoje szklanki opróżnią do dna.
W górze gwiazda rozjaśnia im ciemność.
Ich jest trzech, a gwiazda – samotna.

Nie myśleli zbyt długo – a co tam! –
Zwykłym chlebem zagryźli od razu.
Zamiast mirry, kadzidla i złota
Mają węgiel, bursztyn i żelazo.

I to wszystko – zapłacić, wychodzić.
Dalej razem pójdzie trójka cała.
Może Bóg się naprawdę narodził
Tam, gdzie gwiazda im drogę wskazała!?

przeł. Jerzy Czech

Grudzień 2016

*Ołeksandr Irwaneć

– ur. w 1961 r., ukraiński poeta, pisarz i dramaturg. W latach 80. i 90. zeszłego wieku współtworzył, razem z Jurijem Andruchowyczem i Wiktoorem Neborakiem, grupę poetycką Bu–Ba–Bu.

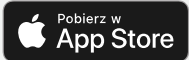
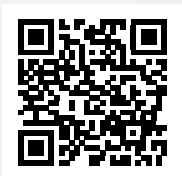
FOT. KAMILA KUBAT / AGENCJA WYBORCZA.PL



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34355062

Sprawdź, jak wygodnie
czyta się w **Aplikacji**
Wyborczej



W maju 1787 r. delegaci reprezentujący 12 stanów powołanego do życia Deklaracją Niepodległości z 4 lipca 1776 r. państwa USA zjeżdżali do Filadelfii na konwencję, która miała dać nowemu narodowi konstytucję. 81-letni Benjamin Franklin, najstarszy z uczestników, był w uprzywilejowanej sytuacji – jako filadelfijczyk nie musiał się nigdzie ruszać. 16 maja sześciu najwcześniej przybyłych delegatów spotkało się na pierwszej naradzie w dopiero co powiększonej rezydencji Franklina. „Gdy spoglądam na te budynki i porównuję je z tymi, w których kształcili się nasi rodzice, różnica napawa mnie zadziwieniem” – pisał Franklin o swym domu do siostry.

To nie był jego jedyny dom. Franklin dorobił się na drukarstwie. Drukował książki, kazania, walutę, własną gazetę. Zyski inwestował w nieruchomości na terenie rodzinnej Filadelfii i w działki wokół miasta. Przed czterdziestką był jednym z najbogatszych ludzi w koloniach.

Inny z uczestników tamtej narady, George Washington, też był właścicielem ogromnych polaci ziemi. Coraz większe tereny zawłaszczal w czasach, gdy był wojskowym i prowadził rekonesanse na pograniczu. W swojej posiadłości w Mount Vernon zarabiał na uprawach tytoniu i produkcji whisky. Wojna o niepodległość pochłonęła sporą część jego oszczędności, bo tak jak inni przywódcy rebelii przeciw Koronie Brytyjskiej inwestował w nią własne pieniądze – choćby w dozbrojenie czy stworzenie siatki szpiegów. Gdy obejmował urząd prezydenta – jako pierwszy w historii USA – nadal był jednym z największych posiadaczy ziemskich w kraju.

Potężnym sponsorem rewolucji był Robert Morris, który zbił fortunę na budowie statków i handlu transatlantyckim. W czasie wojny inwestował w stworzenie Marynarki Wojennej, która skutecznie przeciwstawiała się brytyjskim okrętom. Dzięki świetnym kontaktom w Europie dbał też o płynność dostaw broni ze starego kontynentu, pobierając jednocześnie sute prowizje od kontraktów. W 1781 r. stanął na czele pierwszego narodowego banku w nowym państwie – Bank of North America.

Autor Deklaracji Niepodległości Thomas Jefferson był właścicielem rozległych terenów w Wirginii, na których uprawiał pszenicę i tytoń. Słynął z rozrzutności. Przez niemal pół wieku wydawał wszystkie pieniądze na marzenie swojego życia – rezydencję Monticello. Komplex budynków jest dziś uważany za arcydzieło architektury, jako jedyny prywatny dom w Stanach został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Dziś do administracji Donalda Trumpa wkracza najbogatszy człowiek świata – Elon Musk. Kontrakty jego firm z rządem federalnym opiewają na 15 mi-



SPONSORZY PREZYDENTÓW

ELON MUSK NIE JEST PIERWSZY

Do administracji Donalda Trumpa wkracza
najbogatszy człowiek świata.

To nie jest nowe zjawisko w historii Stanów Zjednoczonych.

Maciej Jarkowiec



• 1. Elon Musk w maju 2018 roku na gali w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. Na sobie ma biały smoking z napisem: „Novus Ordo Seclorum”, czyli New World Order (nowy porządek świata) FOT. JASON KEMPIN/GETTY IMAGES
• 2. Andrew Carnegie (1835-1919), przedsiębiorca branży stalowej FOT. ALAMY STOCK PHOTO / BE&W
• 3. John D. Rockefeller (1839-1937), potentat naftowy, twórca koncernu petrochemicznego Standard Oil FOT. ALAMY STOCK PHOTO/BE&W
• 4. J.P. Morgan (1837-1913), finansista, bankier, jeden z największych graczy w historii Wall Street FOT. BE&W

1RP

liardów dolarów, co prowokuje oburzenie dotyczące konfliktu interesów i przede wszystkim jego roli jako szarej eminencji największego światowego mocarstwa. Musk nie jest jednak nowym zjawiskiem w historii USA.

Najbogatsi ludzie w koloniach zakładali państwo, a później przez całą jego historię to właśnie bogacze kształtowali jego rozwój, politykę wewnętrzną, a często również zagraniczną.

CZARNY TO 3/5 OSOBY

Na plantacjach Jeffersona wokół Monticello pracowało ponad 600 niewolników. Inny z ojców założycieli, James Madison, również właściciel ziemski i plantator z Wirginii, w jednym z listów chwalił się, że na każdym niewolniku zarabia 257 dolarów rocznie, wydając tylko 12 na jego utrzymanie. „Madison był wybitnym intelektualistą, jak nikt rozumiał dylemat moralny, ale niewolnictwo było podstawą funkcjonowania jego majątku ziemskiego i nie potrafił wyobrazić sobie abolicji” – mówiła mi Jill Lepore, historyczka z Harvardu, autorka historii USA „My, Naród”.

Wyliczenia Madisona dobrze oddają kontekst, w jakim Howard Zinn, autor przełomowej „Ludowej historii Stanów Zjednoczonych”, pisze o konwencji konstytucyjnej. Kwestia niewolnictwa była najistotniejsza. Frakcja zwolenników abolicji musiała się poddać, bo inaczej państwo by nie powstało. Kolonie Południa stawiały utrzymanie handlu ludźmi jako warunek konieczny przystąpienia do Unii. Powody były ekonomiczne – na niewolniczej pracy opierał się system gospodarczy. „Bez niewolnych Murzynów żaden dom nie zbuduje dostatku” – pisał pewien bogacz z Savannah w Georgii w 1784 r.

Do konstytucji wpisano, że każdy czarny stanowi 3/5 osoby – nie posiada żadnych praw, ale jest liczony jako część populacji, tak aby Południe miało większą reprezentację w wybieranych demokratycznie instytucjach. W ten sposób bogaci projektowali konstytucję zgodnie ze swoim interesem. Z prawa do głosu wyłączyli większość ludności. Konstytucja zostawiała bowiem kwestię praw wyborczych w gestii stanów. Niemal wszystkie z nich ograniczyły to prawo do mężczyzn posiadających własność nieruchomości. Oznaczało to, że amerykańska demokracja w początkowej fazie obejmowała 6 procent ludności. Została powołana do życia przez bogatych dla bogatych – przekonuje Zinn.

WSZYSCY LUDZIE, CZYLI KTO?

Historia Stanów Zjednoczonych od dnia ogłoszenia ich niepodległości po dzień dzisiejszy jest opowieścią o konflikcie wokół interpretacji dokumentów założycielskich.

„Uważamy za niezbite i oczywiste następujące prawdy: że wszyscy ludzie stworzeni zostali równymi sobie” – stwierdza Deklaracja Niepodległości, jednak rozumienie tego, kim są „wszyscy ludzie”, nigdy nie było i nadal nie jest jednoznaczne.

Jak zauważyliśmy, w początkach istnienia państwa kategoria „wszyscy ludzie” oznaczało tak naprawdę „kilka procent ludzi” – najbogatszych białych mężczyzn. W kolejnych dekadach kraj stopniowo rozpadł się na pół – Północ wpuszczała do grupy „wszystkich ludzi” coraz większą część populacji, podczas gdy Południe trwało przy wąskiej interpretacji. Działo się tak – znów – z powodu pieniędzy. W stanach niewolniczych wykształciła się bowiem oligarchia kontrolująca cały system: legislatywy, sądy, organy ścigania, armię i rzecz jasna kapitał. Została zbudowana na darmowej sile roboczej; bez niej nie miała racji bytu. W jednym z przemówień kampanii Abrahama Lincolna w 1860 r. wzywającej do abolicji określenie „oligarchia niewolnicza” padło ponad 20 razy.

Bogacze z Południa wytwarzali dogmaty społeczno-filozoficzne mające gwarantować ich monopol na władzę i pieniądze. John C. Calhoun, plantator, handlarz ludźmi, wiceprezydent w latach 1825-32, czołowy bogacz i myśliciel Południa tamtej epoki, przekonywał, że niewolnictwo jest dobre nie tylko dla właścicieli ziemskich, ale również dla niewolników. Wyznacza im naturalne dla nich miejsce w strukturze społecznej, chroniąc tym samym przed głodem i przemocą. System niewolniczy w ujęciu Calhouna jest gwarantem pokoju społecznego,





prosperity i jedyną drogą do osiągnięcia amerykańskiego marzenia. To między innymi pisma Calhouna dały władzom Południa merytoryczną podstawę do ogłoszenia secesji.

Po klęsce w wojnie domowej magnaci stracili niewolników i część majątków. Zaordynowany przez zwycięzców powojenny program rekonstrukcji miał przebudować społeczno-polityczną strukturę Południa. Szybko jednak – m.in. w wyniku zamachu na Lincolna i przyjscia do władzy przeciwnika rekonstrukcji Andrew Johnsona – oligarchia zaczęła się odradzać. Badania pokazują, że już dwie dekady po zakończeniu wojny dynastie byłych właścicieli niewolników znalazły się na szczycie drabiny ekonomicznej. Przy bierności Johnsona plantatorzy i powiązani z nimi ludzie wracali do sądów, władz stanowych, byli wybierani do władz federalnych w Waszyngtonie. Instalowali na Południu nowy rasistowski reżim, który zaprowadził segregację. Ich dominacja utrzymywała się przez następne stulecie.

W 1967 r., w czasie rewolucji ruchu praw obywatelskich, do kin wszedł film „W upalną noc” Normana Jewisona. Czarny detektyw z Filadelfii Virgil Tibbs (Sidney Poitier, pierwszy afroamerykański aktor, który otrzymał Oscara) przypadkiem trafia do małego miasteczka w Missisipi, gdzie musi rozwiązać zagadkę morderstwa. Jednym z jego wrogów jest Eric Endicott, rasista, bogacz, plantator, spadkobierca fortuny z czasów niewolnictwa. W legendarnej scenie Tibbs wymierzył wtedy Endicottowi policzek, ale na Południu do dziś największą kasę dzierżą „wszyscy ludzie” pokroju Endicotta.

MAGNACI ERY POZŁACANEJ

Gdy na Południu odradzały się plantacje, na Północy rosła w siłę inna oligarchia – przemysłowa. Klany Vanderbiltoów, Astorów, Carnegiech i Rockefellerów; J.P. Morgan, a później Henry Ford budowali fortuny na surowcach: węglu, ropie, stali, i nowych technologiach: kolei, telegrafii, elektryczności, motoryzacji.

W przeliczeniu na dzisiejsze dolary ich łączny majątek liczono nie w miliardach, lecz bilionach dolarów i przekraczał znacznie kapitał zgromadzony przez Muska, Billa Gatesa, Marka Zuckerberga, Jeffa Bezosa – tytanów technologicznych naszej ery. Mówiło się, że magnaci ery pozłacanej (Gilded Age) – jak nazwano za Markiem Twainem okres industrializacji z przełomu XIX i XX wieku – są bogatsi od Ameryki. Takie stwierdzenie nie było przesadą. Morgan, najpotężniejszy macher Wall Street w dziejach giełdy, pomysłodawca Rezerwy Federalnej, dwukrotnie ratował pożyczkami rząd federalny przed bankructwem.

Elon Musk najczęściej porównywany jest do Johna D. Rockefellera, człowieka, który zbudował najpotężniejszy monopol w dziejach. Jego Standard Oil Company kontrolowała 95 procent produkcji ropy w USA. Rockefeller uważany był nie tylko za najbogatszego Amerykanina, ale też – nieco na wyrost – najbogatszego człowieka w dziejach. Gdy zaczynał inwestycje w ropę w latach 60. XIX wieku, była to nowa gałąź gospodarki – podobnie jak IT w początkach lat 90. XX wieku, kiedy zaczynał Musk. Tak samo jak Musk Rockefeller był przekonany, że jego biznes wypełnia misję czynienia świata lepszym.

Musk chce odmienić transport, łączność, ratować klimat, podbijać dla ludzkości obce planety. Rockefeller fundował Uniwersytet Chicagowski, ośrodki medyczne, inwestował w walkę z żółtą febrą czy gruźlicą; w nowe, bardziej wydajne gatunki upraw kukurydzy, ryżu, pszenicy. Motto jego fundacji brzmiało: „Dobrostan ludzkości na całym świecie”.

DEMOKRACJA KONTROLOWANA

Baronowie ery pozłacanej uprawiali filantropię na ogromną skalę i budowali kraj. Dzisiejsza Ameryka w dużej mierze jest dziełem tamtego czasu. Rockefeller, Andrew Carnegie, Morgan i inni pozostawili po sobie: koleje, drogi, mosty, fabryki, wysokościowce metropolii, uczelnie wyższe, biblioteki czy jedno z najwspanialszych muzeów świata.

Miliony imigrantów, którzy przybywali do USA, żeby zatrudnić się w rozwijanych przez magnatów przemysłach, przyczyniły się do boomu demograficznego. To wtedy Ameryka zaczęła prześcigać resztę świata pod względem bogactwa i zaawansowania cywilizacyjnego. Jednocześnie jednak potęga baronów utrwalała nierówności,

gazety. W mieście obowiązywała osobna, bita przez firmę waluta.

Ruch związkowy i strajki były dławione przez prywatne armie korporacyjne pod rękę z siłami stanowymi bądź federalnymi. Potentat produkcji stali Andrew Carnegie, choć przez dekady deklarował się jako przyjaciel robotników i zwolennik związków zawodowych, gdy przyszło co do czego, z pomocą gwardii narodowej brutalnie zgniótł strajk w Homestead w Pensylwanii. W masakrze w robotniczym miasteczku w Ludlow w Kolorado prywatna armia zatrudniona przez Rockefellera z pomocą gwardii zabiła 20 osób.

„To nie rząd narodu, powołany przez naród i dla narodu, lecz rząd korporacji, powołany przez korporacje dla korporacji” – zdanie brzmiące jak oskarżenie dzisiejszego kapitalizmu napisał były prezydent Rutherford B. Hayes już w 1886 r.

W 2018 roku w MET pojawił się Elon Musk w białym smokingu z napisem: Novus Ordo Seclorum, czyli New World Order. Terminem tym – nowy porządek świata – miłośnicy teorii spiskowych określają tajne porozumienie globalnej elity umożliwiające totalitarną władzę nad światem

jakie kiedyś legły u podstaw państwa. Tak jak w XVIII wieku demokracja ery przemysłowej kontrolowana była przez najbogatszych.

To baronowie przez polityczny sponsoring i koneksje oraz faktyczną zależność rządu od ich technologii i surowców decydowali o regulacjach dotyczących giełdy, bankowości, eksploatacji surowców i budowy kolei. To oni namaszczeni urzędników państwowych. Szczegółem ich potęgi były wybory 1896 r. Gdy demokratycznym kandydatem został William Jennings Bryan zapowiadający likwidację monopolu i walkę z wszechwładzą przemysłowców, ci – m.in. Morgan i Rockefeller – zaangażowali ogromne środki w kampanię sprzyjającego im republikanina Williama McKinleya. Bryan został zatopiony.

To magnaci de facto tworzyli prawo pracy lub raczej dbali o to, żeby żadnych praw pracowniczych nie było. Robotnicy przemysłowi – którzy budowali Amerykę w sensie dosłownym, własnymi rękoma – pracowali w warunkach paraniewolniczych: za niskie pensje, po kilkanaście godzin dziennie, bez osłony socjalnej, często zupełnie zależni od pracodawców. Górnicy z kopalni Rockefellera Juniora w Kolorado mieli obowiązek zamieszkania w tak zwanych firmowych miastach. Otaczał je drut kolczasty, obowiązywała godzina policyjna, bram strzegli strażnicy pod bronią. Korporacja prowadziła sklepy, bary, szkołę, przychodnię, w bibliotece dostępne były tylko dopuszczone przez nią

SMOKING ELONA MUSKA

Od 1948 r. w pierwszy poniedziałek maja w ufundowanym przez bogaczy w erze pozłacanej Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku (the Met) odbywa się charytatywna gala. Zaproszenia dostają najlepiej ustosunkowani ludzie sztuki – artyści, kuratorzy, kolekcjonerzy, krytycy – ale też celebryci i miliarderzy. Imprezę organizowaną przez Instytut Odzieży the Met (w jego kolekcji jest ponad 33 tys. ubrań i akcesoriów z siedmiu stuleci) uznaje się za najważniejszą nowojorską rewię mody.

W 2018 roku na czerwonym dywanie pojawił się Elon Musk w towarzystwie swojej partnerki, kanadyjskiej piosenkarki Grimes. Miliarder miał na sobie biały smoking z gofrowanym napisem na plecach:

Novus Ordo Seclorum, czyli New World Order. Terminem tym – nowy porządek świata – miłośnicy teorii spiskowych od kilku dekad określają tajne porozumienie globalnej elity umożliwiające jej totalitarną władzę nad światem.

Czy Musk ubrał się tak dla żartu? – zapytywał komentariat. Czy to autoironia? Przyznanie się do winy? Zapowiedź nadchodzących czasów? Dziś, kiedy Musk wchodzi do administracji Trumpa, te pytania nabierają nowego smaku. Teka doradcy w sprawie efektywności finansowej rządu (czytaj: cięcia federalnych kosztów, gdzie

się da) wydaje się tylko przykrywką do dużo poważniejszej działalności. Biznesy Muska obejmują przecież technologie kluczowe dla rozwoju i bezpieczeństwa kraju – to samojedzna motoryzacja, sztuczna inteligencja, rakiety kosmiczne i zbrojeniówka.

150 lat temu magnaci ery pozłacanej podobnie do Muska działali na styku polityki i biznesu i podobnie byli postrzegani przez opinię publiczną jako zagrożenie. Ale nie trzeba cofać się aż tak daleko, żeby pokazać, że zjawisko, które dziś reprezentują szef Space X i inni baronowie nowych technologii, jest dla USA czymś naturalnym.

SUPEROBROTOWY

W pierwszej dekadzie XXI wieku przez dwie kadencje George’a Busha Juniora wiceprezydentem był Dick Cheney. Nie ma w najnowszej historii USA lepszego przykładu zarówno na fenomen, jaki nazywa się w Stanach revolving door, czyli obrotowe drzwi między biznesem a polityką, jak i na sterowanie głową państwa z tylnego siedzenia.

Pochodzący z Nebraski Cheney przez 10 lat był kongresmenem, by w 1993 r. przyjmując tekę sekretarza obrony w rządzie George’a Busha Seniora. Za 4 miliony dolarów zlecił firmie Brown and Root (dziś Kellogg Brown and Root, KBR) opracowanie raportu o tym, jak korporacje mogłyby przejąć od rządu obsługę logistyczną sił zbrojnych. KBR był częścią firmy Halliburton – potężnego konglomeratu branży naftowej i infrastrukturalnej. Raport KBR stwierdził, że outsourcing świetnie się sprawdzi.

Następnie Cheney rozpoczął wielotyśięczne zwolnienia w siłach zbrojnych jednocześnie przyznając KBR kontrakt na obsługę armii. Gdy Bush Senior przegrał wybory i nie został wybrany na drugą kadencję, Cheney został... szefem Halliburtona. Osiem lat później wrócił do władzy jako wiceprezydent u boku syna Busha, George’a Juniora. Był mózgiem wąskiej grupy strategów, którzy przekonali prezydenta, że wojna z Saddamem Husajnem jest konieczna. W kolejnej dekadzie KBR zarobił 40 miliardów dolarów na wojnie w Iraku, która kosztowała życie kilkaset tysięcy ludzi. Firma budowała dla wojska wszystko – od baz, przez stołówki, toalety, kafelki internetowe, obsługiwała łączność, transport. Dostała kontrakty bez przetargów, bo Bush Junior uchylił konieczność ich przeprowadzania w warunkach wojny z terrorem.

W kolejnych latach wychodziły na jaw oszustwa KBR – zawyżanie kosztów, przekręty księgowe, ukrywanie dochodów w rajach podatkowych. Symbolem działalności firmy w Iraku stały się puste ciężarówki jeżdżące przez objęty wojną kraj. KBR nabijała w ten sposób kilometrówkę, za którą dostawała pieniądze od amerykańskich podatników.

KTO KSZTAŁTUJE HISTORIĘ

Wojna w Iraku została wymyślona jako maszyna do robienia pieniędzy przez korporacyjno-polityczną oligarchię, która wykształciła się w Stanach w ostatnim 40-leciu w wyniku deregulacji, jaką zapoczątkował Ronald Reagan. Dick Cheney jako zręczny sufler Busha Juniora był centralną postacią operacji o potężnych skutkach geopolitycznych i wewnętrznych dla USA.

Korporacyjna elita, jakiej twarzą stał się wiceprezydent, po raz kolejny pokazała – tak jak kiedyś posiadacze ziemscy z czasów założycielskich, oligarchowie Południa czy magnaci ery pozłacanej – że bogacze kształtują historię. Dzisiejsi kapitaliści nowych technologii, z Muskiem na czele, będą suflować Trumpowi wizję z dziedziny AI, energetyki, kryptowalut, kosmonautyki, a być może również wojny. Czy nam się to podoba, czy nie „nowy porządek świata” w dużej mierze zależy od tego, co mu odpowiedzą. ●

Straciliśmy busolę

Wieżenia są pełne,
służba zdrowia w zapa-
ści, król ma raka. Jeste-
śmy zgubieni.

Z **PROF. NORMANEM DAVIESEM**
ROZMAWIA **MACIEJ STASIŃSKI**

MACIEJ STASIŃSKI: W swojej nowej książce „Plus ultra. Sięgaj dalej” rzeczywiście sięga pan daleko i w różne strony. Musimy wybrać niektóre. Zapytam o ideologiczny, mitologiczny, zwykłe fałszywy obraz własnych dziejów, który tworzą narody czy politycy, którym wytworzony obraz historii ma służyć. Píše pan o angielskim nacjonalizmie i jego wersji „Wesołej Anglii” oraz jego stosunku do Europy wraz z jego konsekwencjami, takimi jak brexit.

PROF. NORMAN DAVIES: Ciągłe coś piszę, mam esejów dużo, ale tym razem to redakcja zrobiła wybór. Niech więc będzie o Anglii. Byłem po stronie tych, którzy chcieli pozostania Wielkiej Brytanii w UE. Uważam, że brexit był katastrofą o daleko siężnych skutkach, włącznie z możliwym rozpadem Zjednoczonego Królestwa. Kampania za brexitem była dziełem nacjonalistów angielskich, nie brytyjskich. Trudno to zrozumieć ludziom z zewnątrz, ale trzeba wiedzieć, że Anglia jest tylko jednym – owszem, najsilniejszym – członkiem Zjednoczonego Królestwa. Brexit jest dziełem pokolenia, które nie poczuwa się do tożsamości brytyjskiej, w której każdy – Anglik, Szkot, Irlandczyk czy Walijczyk – ma swoje ważne miejsce. Nacjonaści wyznają tylko tożsamość angielską.

Poczucie szerszej brytyjskiej przynależności łączyło się z istnieniem Imperium Brytyjskiego. Jego narody miały interes w tym, by trzymać się razem, bo wszystkie na tym korzystały. Mniejsze czy biedniejsze bardziej niż inne. Szkoci np. odegrali wielką rolę w dziejach imperium, jeździli do Indii i innych kolonii, do Ameryki jako urzędnicy czy oficerowie. Rola Anglików była decydująca w handlu oraz zbudowanej w początkach XVI wieku marynarce jako podstawie potęgi imperium.

Imperium zamorskie zostało utworzone po zbudowaniu wewnętrznego na Wyspach. Do początku XVIII wieku Szkocja była osobnym królestwem. Podobnie Irlandia. Ulster został skolonizowany i wcielony dopiero w początkach XVII wieku za króla Jakuba VI Stuarta. Po rozpadzie Imperium Brytyjskiego po II wojnie światowej wspólne interesy zanikły. Wszyscy oplakiwali stratę imperium i każdy winił drugiego za klęskę. Narodziły się separatyzmy – szkocki, irlandzki i walijski. Irlandia odłączyła się już w 1922 roku, Szkoci o mały włos w 2014. Walijczycy nie mają niepodległościowej tradycji od XIII-XIV wieku i bardziej zależy im na odrębności językowej i kulturalnej.

Przystąpienie Wielkiej Brytanii do UE w 1973 roku złagodziło skutki utraty imperium i było jego substytutem, 10 lat wcześniej to się nie udało, bo udaremnili je sprzeciw de Gaulle’a. Jednak nacjonalizm angielski, choć wyznawany przez mniejszość, rozwijał się, żywiąc się nienawiścią do Szkotów, Irlandczyków, imigrantów i Europy. Nacjonaści rośli w siłę, zdobywali poparcie w Partii Konserwatywnej i w końcu przekonali Davida Camerona do referendum. To była wielka głupota, w dodatku oparta na kłamstwach. Nacjonaści wygrali 52:48 i skutki mamy oplakane.



• **Edynburg, 31 stycznia 2023, manifestacja pod szkockim parlamentem zorganizowana w trzecią rocznicę brexitu. Uczestnicy domagają się prawa Szkocji do samostanowienia i przypominają, że decyzję o opuszczeniu UE przez Wielką Brytanię podjęli Anglicy, a nie Szkoci**

FOT. PAP/EPA/ROBERT PERRY

Dziś chyba jest jasne, że ta kampania była oszustwem dokonanym m.in. za pomocą portalu Cambridge Analytica i że skutki są dla Wielkiej Brytanii fatalne? Dziś większość byłaby za pozostaniem? – Niby jest, ale nikt nie ma odwagi postawić sprawy jasno. Rządzi Partia Pracy, ale jej część też głosowała za wyjściem, więc oni boją się nawet zapytać Brytyjczyków ponownie, bo nie wiedzą, jak by zagłosowali. Nawet porządnych sondaży nie ma.

Rząd szuka teraz lepszych układów z Europą w sprawach handlu czy granic. Przecież brexitowcy nie rozumieją, że granica morska to nie granica angielska, ale wspólna. Że kanał La Manche jest angielsko-francuski, a nie angielski. I że wszelkie sprawy trzeba rozwiązywać wspólnie. Czas, kiedy imperialna marynarka brytyjska nie miała konkurencji i o wszystkim mogła decydować Wielka Brytania, dawno minęły. Calais nie jest już miastem angielskim. Brexitowcy nawet nie wiedzą, że mamy granicę lądową z UE – w Irlandii. Z drugiej strony UE nas nie chce i ponownie nie zaprasza. Nic dziwnego, kto by chciał się zadawać z takim kłopotliwym narodem.

Co dzień w mediach mówi się o tym, że bilans wystąpienia z UE jest negatywny, ale brexit sam się nie odwróci. Europa za nas tego nie zrobi.

Sami musimy się ogarnąć i skończyć z tą fantazją psychologiczną, jaką sobie zafundowaliśmy. Tymczasem nikt się nie kwapi. Jesteśmy zgubieni. Więzienia mamy pełne. Służba zdrowia w zapaści. Król ma raka. Wszystko pachnie kłapą. Straciliśmy busolę, strategię dla kraju.

Brzmi katastroficznie.

– Napisałem książkę o zaginionych królestwach. Było ich wiele w dziejach. Pytanie, kto następny? Myślałem, że Belgia, bo tyle lat nie miała rządu. Ale kto wie, czy nie będzie to Zjednoczone Królestwo. Może się rozpaść, zanim nadejdzie ratunek. W historii to normalna rzecz. Przecież 40 lat temu rozpadło się z dnia na dzień największe państwo świata – ZSRR. W 1994 r. Czechosłowacja. A potem Jugosławia.

Następna może być Rosja?

– Oczywiście, że to możliwe. Nie wiadomo tylko, w jakim tempie to będzie postępować.

Upadek i prawdopodobny rozpad Syrii zapowiada, że może się to powtórzyć w Rosji. Jeszcze kilka tygodni temu Baszar al-Asad trzymał się mocno, miał armię. I nagle z dnia na dzień wojsko przestało walczyć,

zrzuciło mundury i uciekło. Upadek dyktatury Asada to potężny cios dla Władimira Putina. Musi być tym przerażony.

Za czasów Borysa Jelcyna spodziewałem się, że rozpad ZSRR będzie postępował, że odpadną nierosyjskie państwa i sama Rosja może się rozpaść. Przyszedł Putin i jakoś to posklejał. Teraz to widmo powraca. Chińczycy maczają w tym palce, roszczą sobie pretensje do Dalekiego Wschodu. Japonia jest formalnie w stanie wojny z Rosją i nie uznaje dokonanej przez nią aneksji Wysp Kurylskich.

Jestem przekonany, że Ukraina przetrwa i doczeka się momentu, w którym Rosja zacznie się sypać. Ukraińcy walczą o życie i prawo do istnienia. Pokazują potężną siłę oporu, ich wola walki i przetrwania jest większa od woli Rosji ujarzmienia ich.

Prezydentura Donalda Trumpa temu nie przeszkodzi?

– Nie mam pojęcia. Ale Trump uwielbia zaskakiwać i nie wiadomo, jak postąpi w sprawie wojny, może nie na korzyść Rosji? Wie, że Putin jest bardzo słaby. Jak ktoś mu podpowie rano przy śniadaniu, że może by tak rozbić Rosję, to kto wie, co zrobi.

Chiny mają małe szanse na zdobycie Tajwanu. Trump zrobi wszystko, by to powstrzymać i nie dopuścić do zburzenia handlu światowego. Bo on jest handlarzem. Jeśli Chiny napadną na Tajwan, w ciągu kilku chwil może stanąć handel Chin ze światem. Zostaną odcięte w cieśninach między Malezją a Sumatrą oraz na szlaku przez Filipiny na Pacyfik, a wtedy płynie cały chiński handel.

Tymczasem w przeciwieństwie do Tajwanu cała Syberia stoi przed Chinami otworem. W dodatku na Syberii jest wszystko, czego Chiny potrzebują: woda, gaz, ropa i minerały, w tym rzadkie. Rosja nie jest w stanie ich eksploatować, a Chiny są co najmniej dziesięciokrotnie bogatsze od Rosji. To kwestia czasu, jak po nie sięgną.

Zmiany historyczne są jak lawina, wydaje się, że coś jest nie do ruszenia, zamrożone na kość, a tymczasem krople drążą blok od spodu i masa lodu się topi, aż w końcu się kruszy i rozpada. Wydaje się, że świat jest solidny, granice trwają, rządy są mocne, ale tak wcale nie jest. Zmiany są silniejsze.

Mówiliśmy o nacjonalizmie angielskim i jego skłonności do fałszowania historii. Ale inne narody również hołdują własnym mitom historycznym.

– Każdy naród ma własną ciemnotę: Amerykanie – amerykańską, Anglicy – angielską, Polacy – polską, a Węgrzy – węgierską. Wszystkie są podobne i politycznie lubią się łączyć.

Nigel Farage jest kumplem Donalda Trumpa od lat, teraz także najbogatszego człowieka świata Elona Muska. Liczy na to, że Musk da mu 30 mln dolarów, a nikt w Wielkiej Brytanii nie ma takich pieniędzy w polityce. Kto wie, czy Musk nie da też pieniędzy PiS-owi?! Pewnie nie wie, gdzie jest Polska, ale może pomagać tym, którzy chcą niszczyć Europę. Andrzej Duda też lubi Trumpa.

Mamy światową sieć takich populistów.

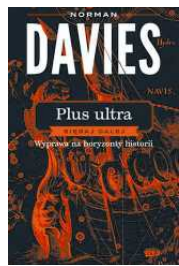
„Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!” było hasłem rewolucyjnej lewicy od XIX wieku. Podobna między-narodówka nacjonalistów to jednak sprzeczność, nie może niczego razem zbudować, bo nacjonalizmy się wykluczają.

– To prawda, ale ta międzynarodówka jeszcze nie jest na etapie wzajemnych zderzeń. Oni na razie wspólnie niszczą i to im wychodzi. Putin też jest tylko niszczycielem i oportunistą. Żadnego sojuszu nie zbuduje.

Wspomina pan w książce o Davidzie Abulafii, historyku m.in. cywilizacji Morza Śródziemnego („Great Sea. A Human History of the Mediterranean”) oraz dziejów mórz i oceanów („The Boundless Sea: A Human History of the Oceans”). Abulafia, podobnie jak pan, sięga dalej, opowiada dzieje pięciu tysiącleci basenu Morza Śródziemnego jako historię kultury i cywilizacji ludów mieszkających wokół, a nie imperiów, państw, podbojów i wojen.

– Abulafia to potomek sefardyjskiego rodu z XV wieku (hiszpańskich Żydów wygnanych w 1492 roku). Był moim uczniem w szkole, w której uczyłem francuskiego. Potem spotkałem go w Cambridge i nie poznałem. On mi przypomniał moją książkę o zaginionych królestwach, m.in. Aragonii, i powiedział, że to go zainspirowało do pisanie o kulturze i cywilizacji Morza Śródziemnego.

Obaj jesteśmy na indeksie Kremla 18 brytyjskich autorów zakazanych. On – bo napisał kiedyś coś o Rusi Kijowskiej, co się nie spodobało Putinowi. ●



„Plus ultra. Sięgaj dalej. Wyprawa ma horyzont historii”

Norman Davies
tłum. **Bartłomiej Pietrzyk**
Wydawnictwo Znak

Prof. Norman Davies

• Ur. w 1939 r., wybitny historyk brytyjski i polski. Specjalizuje się w dziejach Europy Wschodniej i Środkowo-Wschodniej, autor wielu książek, m.in. „Boże igrzysko. Historia Polski”, „Europa. Rozprawa historyka z historią”, „Biały orzeł, czerwona gwiazda”, „Powstanie 44”. Kawaler Orderu Orła Białego.

BITWA BILLA WILSONA

Ruch Anonimowych Alkoholików
to nic innego jak spożytkowane nieszczęście

Iwona Ślabuszewska-Krauze

Podczas jednego z wyjazdów służbowych poczuł, że jest w potrzasku. Na końcu hotelowego korytarza był bar, na drugim wisiała lista z adresami najbliższych kościołów. Początkowo ruszył do baru – miał za sobą wprawdzie pięć miesięcy trzeźwości, ale były one poprzedzone latami głębokiego alkoholizmu. Zdołał się jednak wycofać i zadzwonić do duchownego. Poprosił, by podał mu numer do alkoholika mieszkającego w okolicy. Prośba dziwna, ale duchowny ją spełnił.

Nazajutrz Bill Wilson spotkał się z doktorem Bobem. Tak 90 lat temu zaczęła się historia ruchu Anonimowych Alkoholików – dziś uczestniczy w nim około 2 mln ludzi w 180 krajach.

ROZWÓD

William Griffith Wilson urodził się 26 listopada 1895 roku w amerykańskim East Dorset, wówczas małej wiosce z niewielką szkołą i kilkoma warsztatami. Jego ojciec Gilman Barrows Wilson prowadził firmę wydobywającą marmur. Miał irlandzko-szkockie korzenie, był świetnym gawędziarzem, ceniono go jako zarządcę, ale z powodu picia często wpadał w kłopoty. Matka Williama Emily Griffit pochodziła z Walii z prawniczo-nauczycielskiej rodziny. Przed ślubem pracowała jako nauczycielka.

Bill miał dobry kontakt z ojcem, obaj lubili sport i często grali w piłkę. Dzieciństwo Billa i jego młodszej o cztery lata siostry Dorothy długo było idylliczne. Aż do pewnego dnia w 1906 roku, kiedy matka zabrała ich nad jezioro i oświadczyła, że właśnie rozstała się z ojcem. Wyjaśniły się wówczas jej wcześniejsze dłuższe nieobecności – Bill słyszał, że matka przebywa nad morzem, w rzeczywistości leczyła załamanie nerwowe, którego przyczyną było picie Gilmana.

Dla Billa odejście ojca było wstrząsem. W tamtym czasie rozwód uważano za hańbiący i naznaczający, i właśnie tak Bill odbierał rozejście się rodziców. Przez rok pogrążony był w depresji. Niedługo potem matka wyjechała za pracę, a dzieci zostały pod opieką dziadków. Gardner Fayette był najlepiej prosperującym przedsiębiorcą w mieście i jego wnuczkom niczego nie brakowało – Bill miał skrzypce, motocykl i konia, podczas gdy jego rówieśnicy cieszyli się z posiadania rękawicy bejsbolowej.

Był bardzo zdolny. Jako dziecko konstruował samodzielnie telegraf, szybowiec, skiboby i wystrugał bumerang. Gdy zapragnął grać w orkiestrze szkolnej, ćwiczył tak zapamiętane, aż zyskał w niej pozycję pierwszego skrzypka. Chciał być najlepszy we wszystkim, do czego się zabrał, i często był. Świetnie się uczył, odnosił sukcesy w sporcie, rówieśnicy go lubili. Wszystko to – jak później tłumaczył – miało służyć budowaniu własnej wartości.

Wkrótce jednak dostał cios. Miał kilkanaście lat, kiedy zakochał się z wzajemnością w córce pastora Berthcie Bamford. Bertha jednak niespodziewanie zmarła w trakcie operacji. Bill wpadł w depresję. Porzucił wszelkie zainteresowania z wyjątkiem gry na skrzypcach, zawałił szkołę, żył w poczuciu, że jego przyszłość legła w gruzach.

ARMIA PIJE

Z tego stanu wyciągnęła go młodsza o cztery lata córka nowojorskiego lekarza Lois Burnham, którą poznał w 1914 roku. Odwzajemniona miłość pozwoliła mu stanąć na nogi, ukończył szkołę w Arlington, a potem rozpoczął naukę na wojskowym Norwich University.

W 1915 roku zaręczył się z Lois. Trwała I wojna światowa, Bill został powołany do wojska, gdzie go doceniono, szybko awansował i został dowódcą. Wysłano go do Fort Rodman, a później do Anglii i Francji.

W wojsku zaczął pić. Wcześniej nie zaglądał do kieliszka, bo domyślał się, że alkohol był przyczyną rozvodu rodziców, i nie chciał wpaść w tę samą pułapkę. W armii jednak picie było na porządku dziennym. Jako oficer zapraszany był do bogatych domów i częstowany drinkami. Alkohol dodawał mu animuszu – nagle błyskotliwie rozmawiał i rzucił anegdota.

**Yale University przyznał
Billowi doktorat
honorowy, a Amerykańskie
Towarzystwo Zdrowia
Publicznego nagrodę.
Ale odmówił ich przyjęcia.
Magazyn „Time” chciał go
mieć na okładce, choćby tyłem,
ale też odmówił**



• Bill Wilson (1895-1971) na dworcu Waterloo w Londynie, 12 lipca 1950

FOT. DZIĘKI UPRZEJMOSCI: STEPPING STONES FOUNDATION (STEPPINGSTONES.ORG)

tami. Długo wierzył, że potrafi kontrolować picie.

Z Lois ożenił się 24 stycznia 1918 roku. Wojna się skończyła, a on nagle stał się niepotrzebny. Nie miał konkretnego zawodu, próby znalezienia pracy i utrzymania się na stanowiskach urzędniczych kończyły się niepowodzeniem, ponieważ żadnemu z nowych zajęć Bill nie był w stanie w pełni się oddać.

W końcu zdecydował się na studia prawnicze, po których związał się z Wall Street i ze światem finansów. I to było to! Miał dar przewidywania, łatwość logicznego myślenia i analizowania. Zaczął na giełdzie osiągać sukcesy – pisał raporty, przeprowadzał inspekcje spółek i w krótkim czasie stał się jednym z najlepszych analityków rynku papierów wartościowych.

ALKOHOLIZM TO CHOROBA

Pracując w firmie maklerskiej, zarabiał krocie, z Lois mieli szansę ustabilizować swoją sytuację. Marzył o najwyższych stanowiskach, ale wszystkie plany tonęły w alkoholu. Nałóg sprawił, że szefowie tracili do niego zaufanie. Wychodził z giełdy nad ranem i zanim doszedł do domu, był kompletnie pijany. Zdarzało się, że budził się w areszcie.

Zawierał intratne umowy, a potem je łamał, obrażał ludzi, na których mu zależało, zapewniał żonę i szefa, że skończył z piciem, ale kłamał. Podkradał Lois drobne z portmonetki. Ich życie stało się jeszcze trudniejsze, kiedy ona straciła trzy cięższe i stało się jasne, że nie będą mieć dzieci.

W rzadkich chwilach refleksji Bill mówił: „Jestem w połowie drogi do piekła i nadal ostro ciągnę”. Pił z bezsilności i żeby zapomnieć, że pije.

Jesienią 1933 roku mąż Dorothy opłacił pobyt Billa w szpitalu Townsa w Nowym Jorku, renomowanym ośrodku leczenia „pijaków”. Tam poznał doktora Williama Silkwortha, co okazało się przełomem w jego życiu.

Alkoholizm w latach 30. uważano za przejaw słabości, grzech, złe prowadzenie się i wstydliwą przypadłość. Dr Silkworth myślał inaczej. Twierdził, że jest on medycznym schorzeniem, więc nie da się go wyleczyć silną wolą, tak jak nie wyleczy się silną wolą gruźlicy. To było wówczas pionierskie i kontrowersyjne myślenie. A dla Billa – ulga i pierwszy krok ku zdrowieniu. Takie podejście zdejmowało z uzależnionego piętno i olbrzymie poczucie winy – przeskody na drodze do zdrowienia.

Po wyjściu ze szpitala przez kilka miesięcy Bill był trzeźwy. Pomógł wyjazd z żoną na wieś, odpoczynek. Wystarczyła jednak chwila dekoncentracji, zbyttnia pewność siebie – i znowu pił. Kolejny pobyt w szpitalu i stracone nadzieje na wyzdrowienie.

Dr Silkworth rozkładał ręce, widział, że żona wspiera męża, a on chce przestać pić, ale efektów nie było. Zauważył też u Billa oznaki uszkodzenia mózgu, uważał, że jeśli nie przestanie pić, może nie przeżyć kolejnego roku.

Po pobycie w szpitalu latem 1934 roku Bill wrócił na Wall Street. Znowu miał szansę na świetną pracę, ale niedługo potem Lois znalazła go leżącego na ulicy. Oboje stracili wiarę, Bill myślał o samobójstwie.

Wtedy spotkał Ebby'ego Thachera, dawnego kompana od kufla, który teraz był trzeźwy. Ebby opowiedział mu o Grupach Oksfordzkich, dzięki którym wyzwolił się z nałogu. Był to ruch założony przez luterńskiego pastora Franka Buchmana niosący pomoc innym, krzewił odnowę moralną i takie wartości jak: uczciwość, czystość, brak pychy i miłość.

FRAJER Z NOWEGO JORKU

W grudniu 1934 roku Ebby zaprosił Billa na spotkanie jednej z Grup Oksfordzkich. Bill miał 39 lat, nie wierzył w Boga, ale na spotkaniu stało się coś dziwnego: pojawiło się poczucie przynależności i całkowitego spokoju wewnętrznego. Mówił później, że

doświadczył przemiany duchowej – uwierzył w istnienie „siły wyższej, większej od wszystkiego”. Lois wspominała: „Jego oczy były pełne blasku. Całym sobą wyrażał nadzieję i radość”. Doktor Silkworth poradził mu: „Czymkolwiek było to doświadczenie, trzymaj się go”.

11 grudnia 1934 roku Bill wrócił po raz trzeci do szpitala. Po przekroczeniu jego progu do końca życia nie napił się ani kropli alkoholu. Od 1935 roku opowiadał o Grupach Oksfordzkich każdemu, kto chciał słuchać. Za zgodą Silkwortha spotykał się z alkoholikami w szpitalu Townsa – wbrew regułom, bo do tej pory zajmowali się nimi wyłącznie lekarze albo duchowni.

Nie pił pięć miesięcy, kiedy w maju 1935 r. służbowo pojechał do Akron. Stres i zmęczenie wyzwoliły głód alkoholowy. To właśnie wtedy zawrócił, idąc do baru, i zadzwonił do duchownego z prośbą o skontaktowanie go z jakimś uzależnionym. Tak spotkał się doktorem Bobem Smithem, wybitnym chirurgiem i beznadziejnym alkoholikiem. Początkowo Smith chciał uciec od tego „frajera z Nowego Jorku”, ale ich spotkanie trwało wiele godzin, a po zakończeniu ze zdumieniem stwierdzili, że rozmowa i wymiana doświadczeń przyniosła im ogromną ulgę i uwolniła od picia.

10 czerwca 1935 roku, czyli dzień, w którym dr Bob przestał pić, to data powstania Wspólnoty Anonimowych Alkoholików. Jak powie Bill: „AA to nic innego jak spożytkowane nieszczęście”.

Spotkanie tych dwóch mężczyzn zaowocowało przyjaźnią na całe życie. Połączył ich sukces wyzwolenia się z nalogu, wspólne rozwijanie AA, ale też żony – oddane, wspierające, bez których powrót do zdrowia byłby znacznie trudniejszy. Później te żony założyły Al-Anon, czyli grupy wsparcia dla rodzin i bliskich żyjących z alkoholikami. Działają one do dziś.

Bill i dr Bob spotkali się z kolejnym alkoholikiem – Billem D., który też przestał pić. Pod koniec 1937 roku dwie niezależne osoby sprawdzały skuteczność ich dwuletnich działań – według raportu 40 osób na stałe utrzymywało trzeźwość. Potwierdziło to przypuszczenia, że alkoholik potrzebuje kogoś, kto weźmie go za rękę i wyprowadzi z przekłętego kręgu. I to musi być ktoś taki jak on sam. Bill i dr Bob zaczęli myśleć o ruchu wyleczonych alkoholików, którzy pomagają tkwiącym w chorobie – bo za dr. Silkworthem przyjęli, że alkoholizm to choroba – umysłu, emocji i ciała.

NAWRACANIE

Wkrótce Bill i Lois udostępnili swój dom na coraz liczniejsze spotkania alkoholików. Wielu po prostu u nich mieszkało. Lois pracowała w domu towarowym i utrzymywała dom, pełniąc funkcję opiekunki, pielęgniarki, żywicielki i głowy rodziny. Po pracy gotowała posiłki. Bill poświęcał cały swój czas na „nawracanie” alkoholików i rozwijanie idei AA.

Jednym warunkiem przyjęcia do Wspólnoty była chęć przestania picia. W 1939 roku było już stu wyleczonych, a Bill i dr Bob uznali, że potrzebują rozgłosu, aby dotrzeć do innych. Brakowało pieniędzy na otwarcie szpitala, publikację, personel, podróże. Jednorazowo pomógł im John D. Rockefeller, który m.in. sfinansował wydanie pierwszej książki Billa o AA.

Rockefeller uważał jednak, że Wspólnota powinna być samowystarczalna, i wkrótce okazało się, że tak myślą też inni zaangażowani. Bill się do tego początkowo nie przychyłał, ale potem zrozumiał, że działalność w AA ma charakter misji i odpłatna praca byłaby zaprzeczeniem idei anonimowości i bezinteresowności. Odrzucił ofertę pracy jako terapeuta dla alkoholików w szpitalu Townsa, przez długi czas to Lois go utrzymywała.

W 1954 roku Yale University przyznał Billowi doktorat honorowy w dziedzinie prawa, a Amerykańskie Towarzystwo Zdrowia Publicznego nagrodę. Ale odmówił ich

przyjęcia. Magazyn „Time” chciał go mieć na okładce, choćby tyłem, też odmówił.

Lois tak to skomentowała: „Bill był strasznym egoistą, ale wiedział o tym. Uważam, że zwycięstwo, jakie odniósł nad samym sobą, stając się naprawdę człowiekiem pełnym pokory, było jego wielkim sukcesem życiowym”.

12 KROKÓW

W 1938 roku opracował „12 kroków Anonimowych Alkoholików” – program rozwoju osobistego i zbiór praktycznych wskazówek pomagających utrzymać trzeźwość i wyeliminować obsesję picia. Bill wielokrotnie odwoływał się w nim do Boga, ale „12 kroków” przeznaczone było dla wszystkich – wierzących i ateistów (słowo „Bóg” zastąpiono wyrażeniem: „Bóg, jakkolwiek go pojmujemy”, aby nikogo nie zniechęcić).

Powstało jeszcze „12 tradycji AA”, rodzaj kodeksu postępowania grup, który miał utrzymać w nich jedność i zapewnić ciągłość istnienia. Potem Bill pisał kolejne książki, których łączny nakład do dziś wyniósł 60 mln.

W 1944 roku wspólnota AA liczyła już 360 grup i 10 tys. członków. Bill był zapraszany na setki spotkań. Na jednym z medycznych kongresów poproszono go o wygłoszenie przemówienia na temat alkoholizmu jako choroby – co było sygnałem, że zmienia się postrzeganie tego problemu. Wkrótce samopomocowy ruch AA był już wszędzie. Chodziło o to, żeby chory w każdym mieście mógł spotkać się z takimi jak on i pomóc utrzymać innym i samemu trzeźwość.

W kolejnych latach Bill zaangażował się w stworzenie systemu służb AA, dużo występował publicznie. Potrafił przemawiać przez dwie godziny i nikt nie wychodził. Był autentyczny i szczery. Miał dar prostego tłumaczenia skomplikowanych zagadnień i wylapywania dobrych pomysłów. Często improwizował, okraszając wszystko gorzkim, autoironicznym humorem. Jego popularność w AA była ogromna i ciągle rosła. Ludzie czekali w kolejce tylko po to, by dotknąć jego rękawa. Wielu traktowało go jak Mesjasza lub jak gwiazdę rocka.

Paradoksalnie, po osiągnięciu sukcesów, w 1944 roku znów zapadł na depresję. Intensywna praca odbiła się na jego zdrowiu, doszedł też lęk, że „jest zbyt pięknie, żeby było prawdziwie”. W 1955 roku ogłosił, że Wspólnota wkroczyła w dojrzałość, i zaczął się wycofywać, oddając stery w ręce jej członków.

NIE SPASKUDŹMY TEGO...

Oficjalna biografia tego nie odnotowuje, ale mówi się, że Bill nigdy sam nie przerobił „12 kroków” i dlatego m.in. dotknęła go depresja. Krążyły też plotki, że miał niezliczoną liczbę romansów, a z jedną z kochanek planował ucieczkę do Irlandii.

Biografka Billa Susan Cheever w książce „My Name Is Bill” komentuje: „Założyciel ruchu AA był zwykłym facetem, który zrobił niezwykłą rzecz”, a mianowicie połączył różne elementy psychologii, teologii i demokracji w ratujący życie system.

Dziś większość terapii dla alkoholików opiera się na zasadach AA. Niektórzy twierdzą, że idee i program Wspólnoty są największym społecznym i duchowym osiągnięciem XX wieku. W 1999 roku magazyn „Time” umieścił Billa wśród stu najbardziej znaczących postaci XX wieku. Jego książki są podstawową lekturą w AA, a liczba ludzi, którym pomógł program „12 kroków”, jest nie do oszacowania.

Zmarł 24 stycznia 1971 roku, w 53. rocznicę ślubu z Lois, na rzedmę płuc. W nabożeństwach żałobnych w różnych miastach uczestniczyło 300 tys. osób.

Dr Bob odszedł znacznie wcześniej – 16 listopada 1950 r. na raka. Jego ostatnie słowa do Billa brzmiały: „Pamiętaj, nie spaskudźmy tego, zachowajmy to w prostocie”. ●



Wybra-kowane. Jak leczono kobiety w świecie zrobionym przez mężczyzn

Elinor Cleghorn, Tłum. Adrian Stachowski i Paulina Surniak
Wydawnictwo Poznańskie

CIERPIENIE dla dobra PACJENTKI

Lekarze długo uważali stosowanie środków znieczulających przy porodzie za niezgodne z wolą Boga.

Joanna Banaś

Pretekstem do napisania książki o dyletanckim traktowaniu przez medycynę problemów kobiet były osobiste perypetie zdrowotne autorki. Jednak brytyjska feministyczna historyczka i kulturoznawczyni dr Elinor Cleghorn swoją opowieść w książce „Wybra-kowane. Jak leczono kobiety w świecie urządzonym dla mężczyzn” zaczyna w starożytności, a kończy w XXI wieku i w każdej epoce niestety ma co opisywać.

Cleghorn pokazuje, jak na przestrzeni wieków nie rozumiano kobiecej anatomii i fizjologii, jak lekceważono odczucia kobiet i bezdusznie traktowano ich problemy, a fizyczne dolegliwości tłumaczono labilnością i słabością kobiecej psychiki. Opisuje męską obsesję na punkcie macicy rzekomo wędrującej po ciele, maczystowskie poglądy na kobiece libido, mity dotyczące menstruacji i arcyokrutną bzdurę, że czarne kobiety nie odczuwają bólu tak jak białe. Oraz walkę z wszechobecną kobiecą histerią – chorobą bez definicji i określonego protokołu leczenia, która pojawiała się tam, gdzie widział ją lekarz.

Autorka „Wybra-kowanych” przypomina, jak często lekarze mężczyźni po prostu wycinali części kobiecego ciała, których działania i funkcji nie rozumieli, jak lechtaczka, jajniki czy macica. Operacje miały nie tylko leczyć choroby ciała, ale także dyscyplinować kobiety. Skoro masturbacja u kobiet miała wywoływać: bóle głowy, zaburzenia miesięczkowania, zaniki pamięci napady sentymentalizmu, szukanie poklasku (!) i histerię, a do tego paraliż, drgawki, degradację psychiczną, ślepotę, manię i śmierć, to pewnie wszystkie kobiety, którym wycięto żołądź lechtaczki, powinny być wdzięczne za to, że odtąd, zamiast odczuwać przyjemność, mogą posłusznie wypełniać obowiązki małżeńskie.

Purytanie, najbardziej na świecie obawiający się rozwiązłości, przewencyjnie poddawali swoje córki klitoridektomii. A lekarze z przekonaniem wykonywali te zabiegi, o ile tylko dziewczynka skończyła 10 lat.

Wiele kobiet akceptowało okaleczenie, skoro alternatywa była straszna – terapie stosowane w razie zmyślonych lub nie zaburzeń psychicznych były nie tyle wstrząsowe, co na pewno wstrząsające. Na przykład zamknięcie w całkowitej izolacji z zakazem jakiegokolwiek aktywności, włącznie z używaniem rąk podczas

jedzenia, karmienie na siłę, także przez nos lub odbyt. Wszystko oczywiście dla dobra pacjentki.

Lekarze brzydzili się kobiecymi narządami rodnymi, nawet porody odbywały się pod przykryciem, a niekiedy lekarze zawiązywali sobie oczy podczas badania, by na pewno nie widzieć niczego niegodnego.

Po wynalezieniu wziernika, dzięki któremu można było oglądać wnętrze pochwy, przeciwnicy zaglądania „tam” twierdzili, że penetracja wziernikiem może obudzić w pacjentkach niekontrolowane pożądanie, jakie niepożądane w społeczeństwie patriarchalnym.

Wziernik stał się zresztą narzędziem opresji. Od 1810 roku, gdy we Francji zalegalizowano prostytucję, tamtejsze pracownice seksualne musiały poddawać się regularnemu badaniu narządów rodnych i odbytu. W ramach profilaktyki kily i rzeźączki wypychano kobietom wzierniki, które one nazwały penisami rządu.

Jednocześnie lekarze nie dopuszczali kobiet do praktykowania medycyny, a akuszerek, które o kobiecym ciele wiedziały znacznie więcej, chętnie pozbywali się na hasło „czarownica”.

W 1991 roku kardiolożka i szefowa amerykańskiego Narodowego Instytutu Zdrowia Bernadine Healy jako „syndrom Jentl” określiła sytuację, w której optymalne leczenie kobiety otrzymują tylko wtedy, gdy chorują jak mężczyźni. Tyle że zwykle jak mężczyźni nie chorują.

Kobiety skarżące się na potworny ból brzucha i pleców oraz obfite krwawienia do dziś odbijają się od lekarza do lekarza, choć objawy endometriozy zostały skatalogowane już dawno, a nazwę chorobie nadano sto lat temu.

Gdy w połowie XIX wieku coraz częściej zaczęto stosować znieczulenie do różnych zabiegów, pomysł, żeby poród był bezbolesny, uważano za niebezpieczny i niezgodny z wolą Boga, który zsyła ból na rodzące kobiety, by bardziej kochały swoje dzieci. Ciekawe, że nikt nie twierdził, że Bóg zsyła nam ból zębów, byśmy bardziej kochali swoje trzonowce.

I chociaż w warunkach pokoju nie ma takiej procedury medycznej, podczas której mężczyzna musiałby krzyczeć z bólu przez choćby kilka godzin, to w szpitalach ciągle brakuje anestezjologów, aby kobiety mogły rodzić ze znieczuleniem. Najnowszy raport Fundacji Rodzić Po Ludzku stwierdza, że połowa Polek po porodzie w polskim szpitalu uznała, że doświadczyła przemocy lub nadużyć ze strony personelu.

W kwestii nierównego traktowania medycyna nie powiedziała i raczej długo nie powie ostatniego słowa. ●

• Rok 2001, Marek Karp oprowadza po Ośrodku Studiów Wschodnich Zbigniewa Brzezińskiego

FOT. ARCHIWUM OŚRODKA STUDIÓW WSCHODNICH

Gdy trzeba, był ekspertem, doradcą premierów, przyjacielem pisarzy i poetów. A czasem niewyspanym facetem ze źle zawiązanymi sznurówkami.

Waldemar Kumór

Cóż to była za rodzina! W legendzie powtarzanej przez pokolenia początki wiąże ze średniowiecznym rycerzem Del Carpio, który zawędrował z Hiszpanii. Albo dalekiego potomka legendarnego bojara briańskiego, który wolał być podwładnym Jagiellonów, a nie rosyjskich carów.

Tak czy owak, Karpowie to wielka rodzina znana w całej Litwie, na całej Żmudzi. I hulacy, co nie wylewali za kołnierza, i znamienici żołnierze walczący w obronie Rzeczypospolitej, i nałogowi karciarze przepuszczający majątki, i nauczyciele czy wyprzedzający epokę wrażliwi społecznicy.

Taki na przykład Ignacy Karp, który zmarł w 1809 roku, zapisał w testamencie wolność dla swoich włościan. Mało tego – darował im wszystkie długi. To jego unieśmiertelnił Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”. O Ignacym właśnie – tuż przed koncertem Jankiela – opowiada Gerwazy, który próbuje przekonać Zosię do idei wyzwolenia chłopów: „Pan Karp nieboszczyk włościan wyswobodził”.

TAJEMNICZY WYPADEK

Andrzej Brzeziecki opowiedział historię Marka Karpi, pomysłodawcy i współtwórcy bardzo ważnej instytucji III RP – Ośrodka Studiów Wschodnich. Wyszło zajmująco, kompetentnie i zarazem brawurowo. Bo to nie było łatwe zadanie. Także dlatego, że Marek Karp zginął w dramatycznych warunkach – w sierpniu 2004 roku w koszmarnym wypadku samochodowym; wjechał w niego tir na białoruskich numerach rejestracyjnych. Zmarł 12 września 2004 roku.

Wielu się wtedy zastanawiało, czy to był zwykły wypadek, czy coś więcej. A może zamach? Zabójstwo? Kto za tym stał? Jeden z jego przyjaciół literat Tomasz Jastrun zastanawia się, czy aby Marek nie jest „ofiara tajnych służb białoruskich i rosyjskich”. Spekulacje właściwie trwają do dziś.

Krążyły też hipotezy o powodach śmierci. Alkohol? Kłopoty finansowe? Zemsta służb specjalnych? A może samobójstwo w obliczu kłopotów finansowych?

Brzeziecki – odpowiedzialnie – podjął się rekonstrukcji życia, a nie wyjaśnianiem śmierci; nie ukrywa, że nie ma do tego narzędzi ani możliwości. Nie karmi się więc tanią sensacją, ale przedstawia zajmującą historię Karpi i ludzi związanych z Ośrodkiem Studiów Wschodnich, instytucji, która od 1990 roku zasilala szeregi polityków, dyplomatów, ambasadorów wolnej Polski.

Brzeziecki stara się odpowiedzieć na pytania młodych analityków i współpracowników OSW, którzy nie zdążyli pracować z legendarnym założycielem, o co chodzi z tym Karpiem. Jak to się stało, że facet, który nie miał właściwie dorobku naukowego i niczego znaczącego nie napisał, jest tak ważny i ciekawy?

„Wielkość Marka Karpi nie polegała na tym, że potrafił z pamięci wymienić skład zarządu Gazpromu albo powiedzieć co do przecinka, ile wynosi PKB Turkmenistanu – polegała na tym, że potrafił znaleźć ludzi, którzy takie rzeczy wiedzieli i stworzyć im warunki do pracy. Bo rozumiał, że państwo



WSZYSTKIE twarze MARKA KARPIA

tego potrzebuje. Nie miał encyklopedycznej wiedzy o Wschodzie – miał za to jego wyczucie”. To właśnie pokazuje Brzeziecki. I jego opowieść może stać się niemal gotowym scenariuszem filmu, w tym także sensacyjnego.

WIELKIE KSIĘSTWO MIAŁ W GŁOWIE

Historia łączy się tu nieustannie z teraźniejszością. Weźmy takiego Benedykta Karpi, rocznik 1857. Zapalony podróżnik, pasjonat archeologii. Bogaty, można powiedzieć magnat. Jednym z zarządców jego bajecznego majątku był Gabriellus Landsbergis-Zemkalnis, czyli dziadek Vytaustasa Landsbergisa, pierwszego prezydenta niepodległej Litwy w początkach lat 90. XX wieku. Marek poznał go i zaprzyjaźnił się z nim.

W rodzinie jest też mnóstwo dziwaków i „dusz rogatych”, np. krewny Felicjan, o którym Marek Karp opowiadał przyjaciółom, że na początku XX wieku wygrał w karty swoją żonę. Ale już dziadek Marka, Feliks, był już „tylko” dobrym nauczycielem, uczestnikiem wojny polsko-bolszewickiej. Marek, jego wnuk od dziecka, pasjonował się archeologią, historii rodzinnej znał na pamięć. Był dobrym gawędziarzem – podkreśla wielu rozmówców Brzezieckiego.

Wszystkie te opowieści o rodzinie Karpiów czyta się jak te z „Pana Tadeusza”, „Lalki”, „Chłopów”, „Nocy i dni” czy „Potopu”. Notabene ciekawe musiały być

pogawędki, spory Marka, potomka Karpi z „Pana Tadeusza”, z Bartłomiejem Sienkiewiczem, też historykiem z pasji i wykształcenia, prawnikiem „tego” Sienkiewicza. Pracowali razem na chwałę i potęgę Ośrodka Studiów Wschodnich. A nieustannie spierali się o Wielkie Księstwo Litewskie. Sienkiewicz uważał, że Karp wzdychał sentymentalnie do Wielkiej Litwy, i można powiedzieć, że miało to odciąć kolonialny.

Dyplomata Jerzy Bahr mówi nawet, że „Marek był takim szlachcicem zabiegającym między przeszłością a przyszłością. Wielkie Księstwo Litewskie wciąż było w jego głowie. Czuł się potomkiem rodów litewskich, opiekunem różnorodności kulturowej i etnicznej”.

Ktoś potem powie o nim nawet, że przez całe życie tak naprawdę „uprawiał łgarstwo dla łgarstwa – artystycznie, bez mrugnięcia okiem, bez zająknięcia, bez potrzeby korzyści”. A dyplomata Jerzy Bahr dodaje: „Marek mógłby napisać poradnik, jak się targować na wschodnich bazarach” i wybierać najlepsze dywany.

KRYPTONIM „ANALITYK”

W PRL rodzina Karpiów przenosi się z Zamościa do Podkowy Leśnej pod Warszawę. Dobry adres, raczej dostatnie życie. Marek, rocznik 1952, lubi grać w tzw. inteligencję. Co to? Wtedy, w czasach przedinternetowych, przedkomputerowych, dzieci – oprócz trzepaka, biegania za piłką i harcerskich podchodów – lubiły w to grać:

po cichu mówiło się alfabet, na hasło „stop” trzeba było na wylosowaną literę jak najszybciej wymienić: państwo, miasto, rzekę, roślinę, zwierzę, słynnego człowieka itd.

Jednym z sąsiadów w Podkowie jest światowej sławy archeolog prof. Kazimierz Michałowski. Dzięki niemu Marek poważnie traktuje archeologię i historię. Trochę przez to zainteresuje się 14-letnim Markiem SB. Historia straszno-śmieszna; Marek zgodnie ze swoją pasją narysował bardzo szczegółową mapę okolic Podkowy, przez przypadek zaznaczył ośrodek wojskowy. W ten sposób „odkrył” tajny obiekt wojskowy „Motyl”. Esbecy nadają mu zdecydowanie profetycznie kryptonim „Analityk”.

W latach 80. zaczął studia – na archeologii oczywiście, potem przeniósł się na historię. Zaczął wyjeżdżać do Londynu, do brata mamy; tam ciężko pracował fizycznie, by się utrzymywać na przyzwoitym w Polsce poziomie. Tam poznał prof. Stanisława Swianiewicza, bodaj najważniejszego swojego mentora: świadka historii – cudem nie został zamordowany w Katyniu; intelektualisty, który zajmował się m.in. wyjaśnianiem natury i działania systemów totalitarnych.

UWAGA NA PUTINA

Lata 90. – ocenia trafnie Brzeziecki – to był taki „gwiazdny czas” dla Marka Karpi. Rodzina odzyskała dwór w Ludwinowie. Ułatwiał kontakty między nową Polską

a niepodległą Litwą. Te nie były łatwe. Wspomina Jan Widacki: „Karp uważał każdy nacjonalizm za głupi i wiedział, że ich nacjonalizm wzmacnia nasz i na odwrót”.

Ale przede wszystkim pojawia się realna szansa na to, by założyć Ośrodek Studiów Wschodnich. Wydawało się, że to pomysł z gatunku tych nie do zrealizowania: kraj zadłużony, na wszystko brakuje pieniędzy, dosłownie wszystko po upadku PRL wymagało głębokiej reformy, nowych ludzi, nowych instytucji. Na szczęście pasję Karpią zrozumiał Krzysztof Kozłowski, szef MSW, i jego szef, premier Tadeusz Mazowiecki. Kozłowski postawił na OSW: pomógł, by powstał, i zadbał, by były jakieś pieniądze, po to by garstka inteligentów czytała prasę, dyskutowała i pisała analizy. Taki „biały wywiad”, bank informacji głównie o ZSRR. Nieuchronnie wydawały się klótnie kompetencyjne między MSZ a MSW. Ośrodek ma podlegać MSW, a pracują tu – co też stanie się źródłem niedopowiedzeń, plotek i domysłów – młodzi pasjonaci i historycy

■
Opowieści o rodzinie Karpiów czyta się jak te z „Pana Tadeusza”, „Lalki”, „Chłopów”, „Nocy i dni” czy „Potopu”

zakładający jednocześnie Urząd Ochrony Państwa. Karp „lowił” też ludzi z wpływowego i ważnego pisma „Res Publica”. Jego naczelnym był Marcin Król, który uważał, że „praca w białym wywiadzie nie jest godna intelektualisty”.

Łatwo więc nie było. Ale na początku lat 90. nikomu, żadnej nowej instytucji nie było łatwo. Ale za to było poczucie niesłychanej przygody, praca w przełomowym momencie historycznym; nie liczyło się to, że nie ma biurek, krzeseł, czasu na życie osobiste.

Ośrodek dostał siedzibę, czyli parę pokoi w warszawskiej kamienicy przy ulicy Koszykowej 6a – przed wojną pracowali tu urzędnicy MSZ, potem Niemcy, a potem był tu Urząd Bezpieczeństwa.

Tymczasem lata 90. to też moment, gdy Rosja jest praktycznie w rozkładzie; kwitną korupcja i demoralizacja po upadku ZSRR. Mówiło się – pisze obrazowo Brzeziecki – że „każdy chłopak chce być gangsterem, a dziewczynka – k...”. Dlatego tak istotna jest praca OSW – jego analitycy, m.in. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, zauważyli, jak ważny staje się Władimir Putin, i już wtedy ostrzegali przed jego rządami. Poza tym to z połowy lat 90. pochodzą znaczące analizy o Aleksandrze Łukaszence; Karp świetnie rozumiał, dlaczego wygrał on wybory, „uwiódł” zmęczonych Białorusinów i wprowadzał autokrację.

FOLWARK I CHŁOPI

Jednocześnie połowa lat 90. to zmiany rządów – po kilku latach władzę zdobyli ludzie kojarzeni z PRL, a nie z „Solidarnością”. Zaczynają się zarzuty, że Ośrodek opracowuje za mało analiz; Karp boi się, że straci pozycję.

Działa – jak opisuje Brzeziecki – metodą „na upadłego anioła”. Karp pamięta byłych ministrów, dzwoni do nich, interesuje się nimi, rozumie frustracje związane z utratą stanowisk. Zasadniczo lawiruje między lewicą, prawicą, między UW, AWS, SLD i PSL. Sprawy załatwia wykwinnymi nalewkami. Czaruje wyrachowanymi komplementami, by coś załatwić. Zapisuje się – mimo że uważa się za wyborcę Unii Wolności – do Ruchu STU Czesława Bieleckiego.

To wtedy pochłania go dwór w Ludwinowie, jego rozbudowa, wielka hodowla rasowych krów, które mają dawać najlepszy mleko dzięki supernowoczesnym

– a więc drogim – maszynom. Zadłuża się – do 2002 roku w kilku bankach i firmie Bakoma na ponad 2 mln zł (miał je spłacić do 2010 roku). Współpracownicy, ale także wrogowie wytykają mu, że jako szef prestiżowego przecież OSW organizuje w Ludwinowie wykład głównego lekarza weterynarii o przyszłości rynku mlecznego w Unii Europejskiej. Zaprosił też radcę ds. rolnych ambasady USA.

Wspomina jego ówczesny współpracownik z OSW Jacek Cichocki: „Przez ostatnie lata był wiecznie zmęczony, sprawiał wrażenie człowieka, któremu sprawy wymknęły się spod kontroli. Wstawał o czwartej rano, jechał do Warszawy, wieczorem powrót do Ludwinowa. Szaleństwo”.

Inny współpracownik opowiada: „OSW to był jego folwark, a my jego chłopami. Był sympatycznym dziedzicem, ale oddalonym od codziennej pracy”.

Paradoksalnie – zauważa Brzeziecki – gdy OSW szło dobrze, w życiu Karpią – przeciwnie. Złe decyzje biznesowe, dziwne transakcje, podejrzenia o korupcję, przesłuchania w prokuraturze... Wojciech Brochwicz z pierwszej ekipy OSW i jednocześnie UOP mówi: „Nie był nieuczciwy, mógł być naiwny”.

Wiadomo, że miał dość luźny stosunek do procedur, czasem nadużywał swoich funkcji, wobec podejrzeń czuł się skrzywdzony. To – pisze Brzeziecki – chyba tajemnica jego dwoistości: tu Wielkie Księstwo Litewskie, Miłosz, Giedroyc, etos państwowca, a tu „godne cinkciarza oskarżenie o łapówkę”. Albo nawet o jakieś usługi za kasę dla obcych państw – nigdy niepotwierdzone.

ZASŁUŻONY DLA POLSKI

Jednocześnie analitycy Ośrodka osiągnęli wielkie sukcesy i przyczynili się waleń do członkostwa Polski w NATO, a potem w Unii Europejskiej. Jolanta Darczewska z OSW wspomina szczególnie moment przystępowania do NATO: „Amerykanie byli pod wrażeniem naszej pracy”. Bo wcześniej analitycy dostawali od nich sygnały, że jeśli analitycy zrobią choć jeden błąd, to Ośrodek stanie się dla świata kompletnie niewiarygodny. Zgodnie z zasadą „first mistake – last mistake”.

Analizy OSW okazały się też wyjątkowo trafne w diagnozie i opisie zagrożenia fundamentalistów islamskich.

No więc kim był Marek Karp? Brzeziecki: „Každy człowiek ma wiele twarzy i każdy ma takie oblicza, których sam nie lubi. Marek Karp nie mógł być wyjątkiem. Przybierał postać eksperta i doradcy premierów, przyjaciela pisarzy i poetów, a czasem ukazywał oblicze spoconego, wiecznie niewyspanego faceta ze złe zawiazanymi sznurówkami i mocno obgryzionymi paznokciami”.

Markowi Karpiowi nigdy nikt nie udowodnił, że popełnił jakiekolwiek przestępstwo, a na koniec okazało się, że oskarżenia są mało poważne. Pewne jest, że był nieudolnym przedsiębiorcą. A przede wszystkim wiele zasłużonym człowiekiem dla Polski. ●



Zmierzyć arszynek.
Marek Karp i Ośrodek Studiów Wschodnich

Andrzej Brzeziecki
Znak Horyzont

Maciej Janowski

– historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

Antypolityka historyczna

Portret Doriana Graya

Zbrodnicze idee są wynalazkiem Zachodu, ale groźniejsze okazały się w krajach peryferii.



Jeden z twórców polskiej socjologii, Ludwik Krzywicki napisał w końcu XIX wieku studium „Idea i życie”; pisze m.in. o zjawisku, które określił mianem „idei wędrownych” (skojarzenie z ptakami wędrownymi chyba nieprzypadkowe). Krzywickiego interesowała sytuacja, w której z krajów wyżej rozwiniętych (cokolwiek miaoby to znaczyć) idee migrują do krajów zacofanych: ten problem nie był chyba nigdy kluczowy dla polskich socjologów i historyków po Krzywickim, a wydaje mi się bardzo ważny.

Bo przecież kiedy patrzymy na różne nieprzyjemne ideologie, jak prawicowy populizm, to widzimy, że nie narodziły się one w Europie Środkowej czy Wschodniej. Zawsze przychodziły z Zachodu. Endecy nacjonaliści na przełomie XIX i XX wieku, kiedy Roman Dmowski pisał swoje „Myśli nowoczesnego Polaka”, a Zygmunt Balicki pouczał Polaków o zaletach narodowego egoizmu, mieli głębokie poczucie, że wprowadzają w życie najbardziej awangardowe ideały zachodnie. Że egoizm narodowy, darwinizm społeczny i walka wszystkich ze wszystkimi, dążenie do monoetnicznego państwa narodowego i prześladowanie mniejszości jest przejawem recepty najnowszych, najmodniejszych zachodnich idei o polityce. Takie przekonanie wynikało z bardzo jednostronnej wiedzy o trendach europejskich, ale był w nim jakiś element prawdy: rzeczywiście, endecy nie wymyślili swojego radykalnego nacjonalizmu, przejęli go z zewnątrz.

Bardzo różne ruchy, które na ogół przedstawiane są jako obce tradycji zachodniej, są tej tradycji integralną częścią. Radykalizm islamski tylko w pewnej części, i bardzo selektywnie, sięga do tradycji islamu; w dużym stopniu jest adaptacją europejskiego XIX-wiecznego nacjonalizmu. Również marksizmu nie wymyślili przeciw Lenin ani Stalin, oni tylko zaadaptowali zachodnią ideologię do warunków rosyjskich, radykalizowali ją i sprymitywizowali.

Ale tutaj pojawia się zaskoczenie. Kiedy patrzymy na historię Europy Zachodniej (na zachód od Niemiec, bo Niemcy to inna sprawa), wtedy łatwo dostrzeżemy, że te zbrodnicze idee na Zachodzie były w sumie mniej groźne. Ideologia marksistowska na zachód od dawnej granicy NRD z RFN nie przyniosła katastrofy, bo partię socjaldemokratyczne przystosowały się do systemu demokratycznego. Również radykalny nacjonalizm i antysemityzm, tak silny w międzywojennej Francji, a nieobcy i ówczesnej Wielkiej Brytanii, nie zniszczył demokracji w tych krajach.

Czy tak będzie i teraz? Nie wiemy, ale można liczyć, że mimo zwycięstwa Trumpa demokracja w USA nie upadnie, że niezależne sądownictwo, decentralizacja władzy w systemie federalnym itp. będą wystarczającą zaporą. Można też mieć nadzieję (choć nie pewność), że demokracja francuska przetrwa ewentualną (odpukać!) prezydenturę Marine Le Pen, podobnie jak demokracja brytyjska przerwała, jak dotąd, chaos wywołany brexitem.

Czy tak będzie i teraz? Nie wiemy, ale można liczyć, że mimo zwycięstwa Trumpa demokracja w USA nie upadnie, że niezależne sądownictwo, decentralizacja władzy w systemie federalnym itp. będą wystarczającą zaporą. Można też mieć nadzieję (choć nie pewność), że demokracja francuska przetrwa ewentualną (odpukać!) prezydenturę Marine Le Pen, podobnie jak demokracja brytyjska przerwała, jak dotąd, chaos wywołany brexitem.

Działa więc następujący mechanizm. Zachód wytwarza idee, i dobre, i złe. Europa Środkowa i Wschodnia, a dalej cały świat, przyjmuje jedne i drugie. Na Zachodzie te złe idee nie są w stanie zniszczyć wolności i parlamentaryzmu. Na Wschodzie często doprowadzają kruche instytucje liberalno-demokratyczne do upadku. Do tego intelektualisci krajów peryferyjnych mają tendencję do uspójniania i upraszczania zachodnich idei, przez co się stają one bardziej radykalne. W efekcie są groźniejsze na peryferii niż w centrum. Populistyczny nacjonalizm nie jest wynalazkiem krajów peryferyjnych, jest wynalazkiem centrum, jednak naprawdę groźny jest na peryferii.

Bohater znanej książki Oscara Wilde’a, Dorian Gray, robił różne złe rzeczy, ale nie wpływały one na jego wygląd ani stan zdrowia. Miał on bowiem cudowny portret, który starzał się i brzydl, przyjmując na siebie wszystkie grzechy swego właściciela. Czy więc to my – europejska peryferia – jesteśmy tym portretem, który brzydnie kiedy sam Dorian Gray, czyli kraje Zachodu, pozostają atrakcyjne? Tylko częściowo. Idee nie przenoszą się same, nikt nie zdejmie odpowiedzialności z populistycznych polityków w Polsce czy na Węgrzech, czy w innych krajach naszego regionu, którzy przejmują najgorsze i najszkodliwsze idee wytworzone w Zachodniej Europie.

Ale mechanizm, który próbowałem tu opisać, pozwala może lepiej zrozumieć pewne aspekty rozwoju autorytaryzmu – nawet jeśli nie mówi, niestety, jak temu autorytaryzmowi zapobiec. ●



Dwudziestego drugiego sierpnia 1911 roku francuski malarz Louis Béroud przybył do Luwru, gdzie zamierzał wykonać szkice do swego obrazu „Mona Lisa au Louvre”. Skierował się niezawodnie do miejsca, gdzie spodziewał się znaleźć dzieło Leonarda da Vinci. Jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast obrazu znalazł pustą ścianę.

Muzeum zamknięto, a kradzież początkowo starano się utrzymać w tajemnicy, jednak wieść się rozeszła. Prasa pisała o zuchwałym skoku na pierwszych stronach, paryżanie rzucili się, by schwycić złodzieja, a policja rozpoczęła drobiazgowe śledztwo, które początkowo zaprowadziło funkcjonariuszy do... poety Guillaume’a Apollinaire’a. Jego sekretarz i przyjaciel faktycznie wynosił z Luwru zabytkowe figurki, dlatego poeta został zatrzymany i wpakowany za kratki. Trop poprowadził następnie śledczych do przyjaciela Apollinaire’a, Pabla Picassa, któremu owe statuetki zdarzyło się kupić. Ostatecznie jednak okazało się, że trop ów jest fałszywy, a obu artystów uniewinniono.

Człowiekiem, który faktycznie zamachnął się na świętość i ukradł arcydzieło, był Włoch Vincenzo Peruggia, szklarz, który pracował przy oprawianiu obrazów Luwru. Miał on w dzień skoku, 21 sierpnia ukryć się w muzealnej szafie, a po zamknięciu placówki wynieść „Monę Lisę” skrytą pod białym fartuchem, jaki nosili pracownicy muzeum.

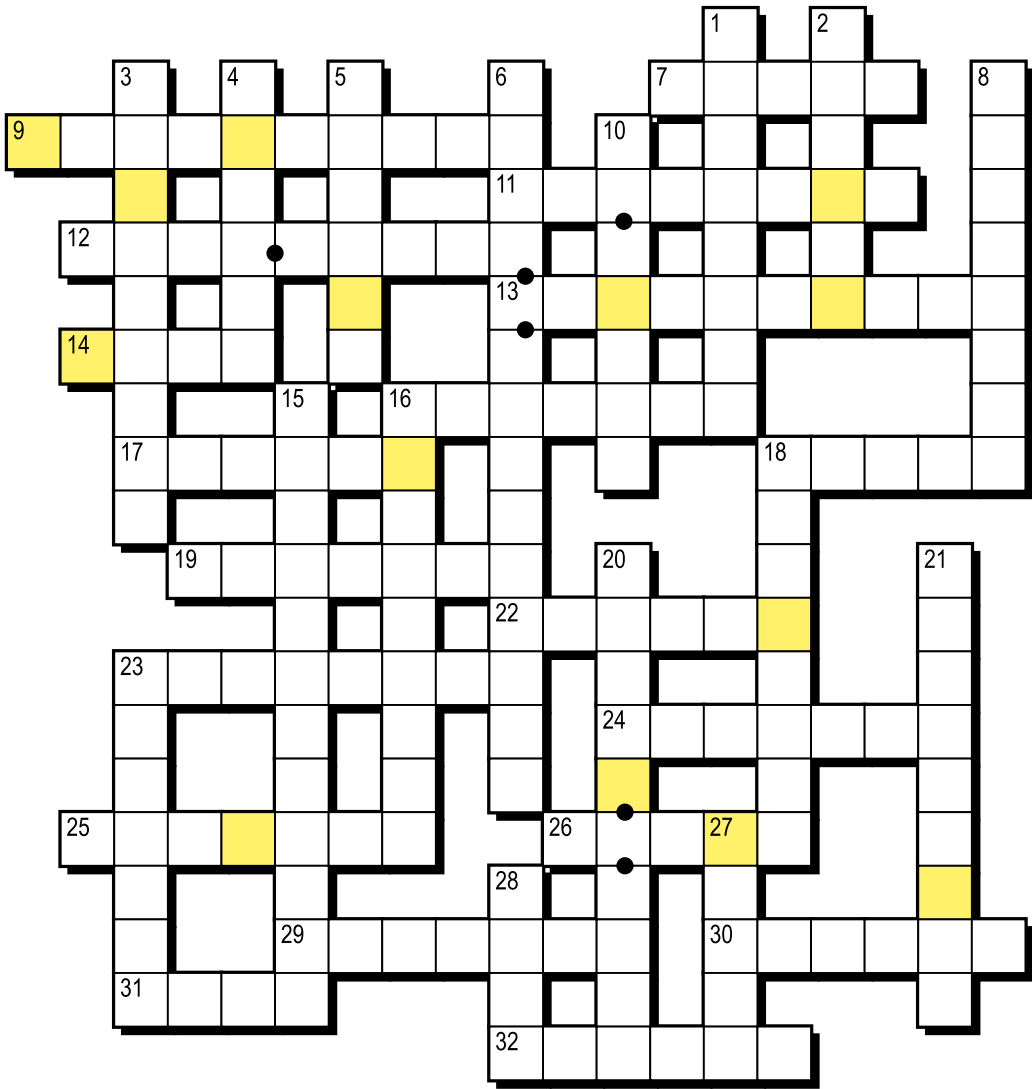
Co ciekawe, Peruggia miał zostawić na miejscu przestępstwa odcisk palca, a jego dane figurowały w policyjnej kartotece, jako że już wcześniej miał zatargi z prawem, w wyniku zaniedbań nie został jednak wciągnięty na listę podejrzanych.

Peruggia ukrył dzieło w swoim paryskim mieszkaniu, a następnie wywiózł je do Włoch. Obraz przepadł na dwa lata, by wypłynąć przy próbie sprzedaży do galerii Uffizi we Florencji. Peruggia mienił się bowiem włoskim patriotą, według którego miejsce „Mony Lisy” było we włoskim, nie francuskim muzeum, skoro namalował go artysta z Italii. Kiedy umówił się na spotkanie (w hotelu Tripolis, dziś noszącym nazwę... Gioconda) z dyrektorem Uffizi, Giovannim Poggim i antykwariuszem Alfredo Gerim, do którego uprzednio napisał list z ofertą transakcji, wpadł. Okazało się, że faktycznie był w posiadaniu „Mony Lisy”, ale jakoś tak mało patriotycznie zażądał za nią pieniędzy.

Mimo to Włosi i tak traktowali go jak bohatera, a sam rabuś, choć skazany na ponad rok więzienia, odsiedział tylko siedem miesięcy. Obraz Leonarda da Vinci przez dwa tygodnie był wystawiany we Włoszech (we Florencji, Rzymie i Mediolanie), a następnie, 4 stycznia 1914 roku powrócił do Luwru.

Dzisiejszą „Weekendówkę”, z tej właśnie okazji poświęcamy słynnemu paryskiemu muzeum oraz jego zabytkom. A Mona Lisa, zwana też Giocondą, niech uśmiecha się jak najdłużej.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 135 z 28.12

- Poziomo:**
7) bezusterkowość
10) samoloty 11) wieże
13) helikopter 14) ocalenie
17) Wright 20) Amerykanie
22) kawaleria 24) nietoty
25) kos 27) turbina
29) Dreamliner 31) drzwi
32) pozwolenie
33) katapulta 35) lotnia
37) reżyser 38) marynarka
Pionowo: 1) aeroport
2) turystka 3) stewardesa
4) przewozy 5) roleta
6) fotele 8) manewr
9) boeing 12) aerodynamika
15) linie 16) niebo
18) Ikar 19) Heathrow
21) konstruktor
23) Icelandair 25) konwekcja
26) Eagle 28) Bermudy
30) most 34) tlen 36) asy

HASŁO:
PILOT STEROWCA

KRZYŻÓWKA LUWRÓWKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 7) eksponat podziwiane w muzeum
9) nazwisko Mony Lisy
11) ... Mony Lisy, dokonana przez Vincenza Peruggię w sierpniu 1911 r.
12) zespół, który nagrał piosenkę „Nasz Disneyland” („Mona Lisą byłaś mi, marzyłem tylko o tobie...”)
13) tour de Luwr, czyli spacer od eksponatu do eksponatu
14) np. Karol X, który wydał dekret o utworzeniu w Luwrze działu zbiorów egipskich
16) bardzo szeroko pojęte okolice Luwru

- 17) ... Poznański, przemysłowiec związany z Łodzią; jego pałac przy ul. Ogrodowej i Zachodniej nazwano łódzkim Luwrem
18) imię Michałowskiego, jednego z nielicznych polskich malarzy, których dzieła znajdują się w Luwrze
19) obraz taki jak „Mona Lisa”
22) „Zbuntowany jeniec” lub „Umierający jeniec” Michała Anioła
23) Mona Lisa
24) „... Mony Lizy”, film z Julią Roberts i Kirsten Dunst
25) malarz, rzeźbiarz, ceramik albo rysownik
26) Sekwana
29) zaatakowani przez katolików w noc św. Bartłomieja w 1572 r. (wydarzenie z Luwrem w tle)
30) wiekowy przedmiot bez szans na zostanie eksponatem
31) pomieszczenie w muzeum

- 32) grecki bóg patronujący galerii, w której prezentowane są klejnoty koronne, naczynia, medalliony, gobeliny
Pionowo:
1) boczne części dużego budynku, pałacu
2) obrazy i rzeźby prezentowane w muzeach całego świata
3) Eugène, namalował „Wolność wiodącą lud na barykady”
4) namalował „Piękną Ogrodniczkę”
5) imię Maneta, francuskiego malarza, którego ukształtowało m.in. kontemplowanie i kopiowanie obrazów w Luwrze
6) marmurowy posąg odnaleziony w 1863 r. na greckiej wyspie, od 1884 r. prezentowany w Luwrze
8) upiór Luwru z filmu, w którym wystąpiła Sophie Marceau

- 10) „Kod Leonarda ...”, powieść Dana Browna rozpoczynająca się morderstwem w Luwrze
15) Mona Lisa jako bogata mieszczańska
16) włoskie miasto, w którym urodziła się Mona Lisa
18) szklana konstrukcja osłaniająca
20) słynna rzeźba, którą otrzymał w darze Ludwik XVIII
21) kardynał patronujący jednemu z pawilonów Luwru
23) ... de La Tour, francuski malarz („Pokłon pasterzy”, „Oszust z asem karo”)
27) król ... V Mądry, w XIV w. uczynił z zamku Luwr rezydencję królewską
28) z brodą i wąsami, ukazana przez Marcela Duchampa na pocztówce

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację